

Lektura z opracowaniem

Mark Twain

**PRZYGODY
TOMKA
SAWYERA**

Wydawnictwo IBIS

Tłumaczenie:
Aleksandra Kubiak

Opracowanie:
Agnieszka Nożyńska-Demianiuk

Korekta:
Justyna Kubacka

Opracowanie graficzne okładki:
Magdalena Ałtunin

Skład:
Jacek Antoniewski

ISBN 978-83-7738-166-3

Wszystkie prawa zastrzeżone.
Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana
lub przedrukowywana bez pisemnej zgody Wydawnictwa **IBIS**.

Na okładce wykorzystano ilustracje M. Goździewicz.

Wydawnictwo **IBIS**
www.wydawnictwoibis.pl

Poznań 2012

Drukowano w UE

WSTĘP

Większość przygód opisanych w tej książce wydarzyła się naprawdę; jedna, może dwie przydarzyły się mnie, a pozostałe moim szkolnym kolegom. Huck Finn to postać prawdziwa; podobnie jak Tomek Sawyer. Jednak jest on kombinacją cech charakteru trzech chłopców, których znałem, a zatem jest swego rodzaju mieszanką charakterów.

Wszelkie nietypowe, osobliwe przesady wymienione w książce były w czasach współczesnych bohaterom, czyli trzydzieści, czterdzieści lat temu, szeroko rozpowszechnione wśród dzieci i niewolników na zachodzie kraju.

Chociaż moja książka adresowana jest głównie do młodzieży, wyrażam nadzieję, że zostanie ona przyjęta także przez dorosłych, jako że częścią mojego zamysłu było również przypomnieć im, jacy sami niegdyś byli, co czuli, myśleli i mówili oraz w jak przedziwne przedsięwzięcia nieraz się angażowali.

ROZDZIAŁ I

– Tomek!

Cisza.

– Tomek!

Cisza.

– Co się dzieje z tym chłopakiem? Hej, Tomek!

Cisza.

Starsza pani zsunęła okulary z nosa i rozejrzała się po pokoju, następnie założyła je z powrotem i ponownie rozejrzała się, tym razem patrząc spod okularów. Właściwie nigdy, lub wyjątkowo rzadko, patrzyła przez okulary w poszukiwaniu czegoś tak niewielkiego jak chłopiec. Te okulary to jej stały element, największa duma. Były bardzo „stylowe” i niekoniecznie miały być funkcjonalne. Równie dobrze mogła używać pary fajerek. Przez chwilę wyglądała na zdziwioną, a potem niezbyt ostro, acz donośnie zawołała:



Ciocia Polly:
Nosí okulary.

– Oj, zobaczysz, jak tylko cię dorwę...

Nie dokończyła, bo już schylała się pod łóżko z miotłą w ręce i dźgając powietrze, musiała za każdym razem robić głębokie wdechy. Znalazła tam jedynie kota.

– Kto to widział takie chłopaczysko!

Podeszła do otwartych drzwi i wyrzała pomiędzy pnącza pomidorów i bielunie stanowiące ogród. Ani śladu Tomka. Starsza pani zawołała jeszcze głośniejszym głosem, jakby nawoływała kogoś z daleka:

– Hej, Tooomeeek!

Za plecami usłyszała jakiś szmer, odwróciła się w samą porę, by chwycić małego chłopca za połą marynarki.



Nakrycie Tomka
w spizarni.

– Mam cię! Że też nie pomyślałam o tej spizarni. Coś tam robił?

– Nic.

– Nic! A twoje ręce? A buzia? Czymś się tak upaćkał?

– Nie wiem, ciociu.

– No to ja ci powiem. To powidła. Tyle razy ci mówiłam, żebyś ich nie ruszał, bo cię spiorę. Dawaj mi tu zaraz różgę!

Różga zawisła w powietrzu. Nieuchronnie nadciągało niebezpieczeństwo.

– Aj! Ciociu, z tyłu!

Starsza pani odwróciła się gwałtownie, chwytając fałdy spódnicy. Tymczasem chłopiec czmychnął czym prędzej, wdrapał się na wysoki płot i po chwili już go nie było.

Ciotka Polly przez chwilę stała zdumiona, lecz zaraz parsknęła śmiechem.

– No i masz ci los! Czy ja się nigdy niczego nie nauczę? Powinam być mądrzejsza, skoro już tyle razy mnie przechytrzył. Ech, człowiek stary, a głupi. Jak to mówią: starego psa nowych sztuczek nie nauczysz... Nicpoń nigdy nie próbuje tego samego podstępu drugi raz i nigdy nie wiadomo, czego się człowiek może spodziewać. Doskonale wie, na ile może sobie pozwolić, zanim się naprawdę zdenerwuję i wie również, jak może sobie ze mną pogrywać albo jak rozśmieszyć. Złość mija i wciąż uchodzi mu wszystko na sucho. Święta prawda, nie tak powinien wychowywać chłopaka. Jak mówi Pismo Święte: dzieci trzeba trzymać krótko. A ja grzeszę i mam za swoje. Diabeł mu za skórą siedzi, ale Boże, wybac mi! To biedactwo to przecież syn mojej zmarłej siostry i nie mam serca go sprać. Gdy mu daruję, zawsze gryzie mnie sumienie, a znowuż, kiedy obrywa, pęka mi serce. Tak, człowiek zrodzony z niewiasty ma krótkie i bolesne życie, jak mówi Pismo. Ot, co. Nicpoń będzie wagarował po południu i będzie trzeba zmusić go potem do jakiejś pracy, żeby miał nauczkę. Piekielnie ciężko nakłonić go do jakiegokolwiek roboty w soboty, kiedy wszyscy chłopcy bawią się w najlepsze. A on pracy nie znosi jak niczego innego na świecie, ale jakże mam mu wszystko odpuszcząć? Rozpuściłabym go dokumentnie.

Tomek rzeczywiście poszedł na wagary i świetnie się przy tym bawił. Wrócił do domu w samą porę, żeby pomóc małemu murzyńskiemu chłopcu, Jimowi, w cięciu drzewa na następny dzień i naszykowaniu podpałki przed kolacją. Gdy już skończył opowiadać Jimowi wszystkie swoje przygody, ten sam wykonał trzy czwarte pracy. Młodszy brat Tomka, a właściwie przyrodni brat, Sid, już dawno skończył swoją robotę: pobierał wszystkie wióry. Cichutki z niego chłopak, żaden łobuziak.

Tomek zjadał kolację, korzystając z każdej okazji, żeby zwędzić trochę cukru, a ciotka Polly jęła zadawać mu podchwytliwe, poważne pytania, chcąc go na czymś przyłapać. Jako osoba prostoduszna, naiwnie wierzyła, że posiada nieprzeciętną umiejętność dyplomacji, a swoje wyjątkowo łatwe do rozgryzienia sztuczki uważała za niezwykle wyszukane i chytre. Spytała:



Ciotka Polly:
Naiwna, uważa
siebie za sprytną;
opiekuńcza.

– W szkole było w miarę ciepło, prawda Tomku?

– Mhm.

– Tak porządnie ciepło, co?

– Mhm.

– I nie kusiło cię, żeby iść popływać?

U Tomka pojawiło się ziarenko niepewności – takie delikatne, nieprzyjemne uczucie. Przyjrzał się ciotce, ale jej twarz nie zdradzała niczego. Odpowiedział więc:

– Eee, nie za bardzo.

Staruszka wyciągnęła rękę, dotknęła Tomkowej koszuli i powiedziała:

– A nie jest ci teraz za ciepło?

Była z siebie niezmiernie dumna, bo odkryła, że koszula była całkiem sucha, a o to jej właśnie chodziło. Tomek już dobrze wiedział, co się święci. Uprzedzając jej kolejne pytanie, powiedział:

– Polewaliśmy się wodą, no i dlatego mam jeszcze mokrą głowę. O! Widzi ciocia?

Ciotka Polly była bardzo niepokieszona, że przeoczyła ten istotny szczegół i cały jej podstęp poszedł na marne. Zaraz jednak wpadła na nowy pomysł.

– Ale przez to polewanie głowy nie musiałeś majstrować przy kołnierzyku, który ci zaszyłam, prawda Tomku? No już, rozpinaj marynarkę!

Niepokój wnet zniknął z twarzy Tomka. Posłusznie rozpiął marynarkę. Kołnierzyk był nienaruszony.

– A niech to! Niech ci będzie. Byłam pewna, że poszedłeś na węgry, nad rzekę. No już dobrze. Z ciebie to taki gagatek, ale, jak mówi przysłowie, pozory mylą. Tym razem ci się udało.

Z jednej strony starsza pani była niezadowolona, że jej fortel zawiódł, ale z drugiej cieszyła się, że Tomek choć raz nie narozrabiał.

W tym momencie odezwał się Sidney:

– A mnie się wydawało, że zaszywałaś mu ciociu ten kołnierzyk białą nitką, a ta jest czarna.

– No jak to! Przecież zaszywałaś białą! Tomek!

Ale Tomek już nie czekał, co będzie dalej. Jeszcze tylko burknął w drzwiach:

– Dostaniesz za to, Sidy!

Kiedy już Tomek się dobrze ukrył, przyjrzał się porządnie dwóm dużym igłom wpiętym w klapy swojej marynarki. Na jedną nawleczone była biała, a na drugą czarna nitka. Mruknął do siebie:

– Nigdy by nie zauważyła, gdyby nie Sid. Niech to diabli! Czasami zszywa białą, czasami czarną. Mogłaby się, do licha, zdecydować, bo już się gubię. Ale Sid i tak za to oberwie. Już ja mu pokażę!

Tomek z pewnością nie był ideałem. Znał nawet kogoś, do kogo pasowałoby to określenie, ale nie zniósł go z całych sił.

Nie minęły nawet dwie minuty, a chłopiec już zapomniał o swoich kłopotach. Wcale nie dlatego, że stały się one mniej ważne i uciążliwe niż takie, jakie miewa dorosły mężczyzna, ale dlatego, że już coś nowego zaprzętało jego głowę. Coś, co chwilowo przewyciężyło i przegoniło obecne problemy na dalszy plan.



Tomek Sawyer:
Urwis, nicpoń,
leń, wagarowicz,
klamczuch.

To trochę tak, jak wtedy, gdy niepowodzenia dorosłego bywają wyparte przez zapal do czegoś nowego. Tym „czymś” była nowo nabyta umiejętność gwizdania, której nauczył się od murzyńskiego chłopca, a którą koniecznie i natychmiast musiał w spokoju przećwiczyć. Brzmiało to jak coś w rodzaju ptasiego śpiewu, czyściutkiego świergotu, który powstaje, gdy podczas gwizdania dotyka się językiem górnego podniebienia. Jeśli sam, drogi Czytelniku, byłeś kiedyś chłopcem, to z pewnością wiesz, jak to się robi. Dzięki wytrwałym ćwiczeniom Tomek wkrótce nabrał wprawy i maszerował sobie ulicami przepełniony muzyką i wdzięcznością. Czuł się niczym astronom po odkryciu nowej planety. Jednak silne, głębokie i niezmacone zadowolenie chłopca było nieporównywalnie większe niż u naukowca.



Tomek Sawyer:
Potrafi gwizdać.

Letnie wieczory były długie. Wciąż jeszcze było jasno, kiedy Tomek postanowił wypróbować nowy sposób gwizdania. Nagle zobaczył bowiem przed sobą nieznanego chłopca, wyższego od siebie. Każdy nowo przybyły, bez względu na płeć czy wiek, był nie lada atrakcją w małym, nieciekawym St. Petersburgu. A ten chłopak był w dodatku bardzo schludnie ubrany, zbyt schludnie jak na dzień powszedni. Wydawało się to absolutnie niesamowite! Na głowie miał gustowną czapkę, porządnie zapiętą, niebieska marynarka była nowiutka i szykowna, podobnie jak i spodnie. Miał nawet buty! W piątek! I coś na kształt krawata: kolorową wstążkę. Było w nim coś miejskiego, światowego, co Tomek natychmiast odczuł. Im usilniej wpatrywał się w to olśniewające zjawisko, tym bardziej nie podobał mu się jego odświętny wygląd, a własne ubranie staowało się coraz nędzniejsze. Żaden z chłopców się nie odzywał. Kiedy jeden się poruszył, drugi zrobił to samo. Ale tylko w bok, w kółko. Stali twarzą w twarz dłuższą chwilę, aż w końcu Tomek odezwał się:

- Możesz oberwać!
- Już to widzę!
- Naprawdę mogę cię sprać.
- Jasne.
- Mogę.
- Nie możesz.
- Mogę!
- Nie możesz.
- Właśnie, że tak!
- Właśnie, że nie!

Zapadła kłopotliwa cisza. Potem Tomek zapytał:

- Jak masz na imię?
- Nie twoja sprawa.

- Zaraz ci pokażę, że moja!
- No, spróbuj.
- Powiesz jeszcze jedno słowo i ci pokażę!
- Jedno słowo, jedno słowo, jedno słowo... Bardzo proszę!
- A tobie się wydaje, że jesteś taki cwany, co? Mógłbym cię sprać jedną ręką, gdybym chciał.
- No, to proszę. Wciąż tylko gadasz.
- I tak zrobię, jak nie przestaniesz mnie wkurzać!
- Jasne! Niejednego takiego już widziałem.
- Ty, mądrala! Myślisz, że taki ważniak jesteś, co? Co to za kapelusik!
- Odczep się, jak ci się nie podoba. A tylko spróbuj go strącić, to się zdziwisz.
- Kłamczuch!
- Sam jesteś kłamczuch!
- Strach cię obleciał, co?
- A odczep się!
- Ty! Przestań się rzucać, bo dostaniesz!
- Tak, tak. Jasne...
- Żebyś wiedział!
- No, to już! Czemu się wciąż powtarzasz? No! Co jest? Strach cię obleciał?!
- Wcale nie.
- A właśnie, że tak.
- A właśnie, że nie!
- Tak!

Znów zapadła cisza, a chłopcy mierząc się wzrokiem, chodzili w kółko. Wkrótce stanęli ramię w ramię. Pierwszy odezwał się Tomek:

- Znikaj stąd!
- Sam sobie znikaj!
- Ani mi się śni.
- Mnie też.

Stali tak zaparci jedną nogą o ziemię, napierając z całych sił na siebie i obzuczając się groźnymi spojrzeniami. Żaden jednak nie mógł zyskać przewagi nad przeciwnikiem. Po chwili obaj byli już zgrzani, z wypiekami na twarzach. Ostrożnie zmniejszyli napór i Tomek odezwał się pierwszy:

- Jesteś tchórz i gówniarz! Powiem wszystko mojemu starszemu bratu, a on rozłoży cię na łopatki jednym palcem, jeśli go tylko poproszę.
- A co mnie obchodzi jakiś twój brat! Mam brata starszego niż twój i on mógłby przerzucić tego twojego braciszka przez ten płot. (Obaj bracia byli oczywiście zmyśleni).

– Nie ściemniaj!

– Wierz sobie, w co chcesz.

Tomek narysował na ziemi kreskę dużym palcem u nogi i powiedział:

– Nie próbuj nawet przejść za tę linię, bo tak cię złoję, że się nie pozbierasz.

Ktokolwiek ją przekroczy, oberwie!

Nowy przybysz natychmiast przekroczył linię i powiedział:

– Skoro tak mówisz, to się przekonajmy.

– Ty lepiej nie podsakuj i uważaj, co gadasz!



Bójka Tomka z nowym przybyszem.

– Powiedziałeś przecież, że mnie pogonisz. Na co jeszcze czekasz?

– Psiakość! Daj mi dwa centy, a wtedy ci wleję.

Nowy wyciągnął z kieszeni dwa solidne miedziaki i z drwiącym uśmiechem na twarzy podał Tomkowi. Ten rzucił monety na ziemię. Sekundę później obaj chłopcy tarzali się na zakurzonej drodze jak dwa szczipione ze sobą koty, szarpiąc i ciągnąc się za włosy i odzienie. Okładali się pięściami, drapali, coraz bardziej okrywając się kurzem i jednocześnie chwatając. Po chwili ta płatanina zaczęła nabierać bardziej konkretnych kształtów. Tomek siedział okrakiem na nowym przybyszu i walił go pięściami.

– Powiedz, że masz dość – rozkazał mu.

Ale chłopak próbował się tylko wydostać z potrzasku, płacząc z wściekłości.

– No, powiedz, że masz dość – powtórzył Tomek, nie przestając grzmocić pięściami.



Tomek Sawyer: Często wdaje się w bójki.

W końcu nowy wykrztusił zduszonym głosem: „Dosyć”, a wtedy Tomek odpuścił i powiedział:

– Teraz masz nauczkę. Następnym razem uważaj, z kim zadzierasz!

Pokonany chłopiec odszedł, strzepując kurz z ubrania. Pochlipując i pociągając nosem, odwracał się raz po raz, kręcił głową i wygrażał Tomkowi, co to on z nim nie zrobi, „jak go dorwie”. Tomek jedynie uśmiechał się szyderczo i dumny ruszył w stronę domu. Ledwie zdążył się odwrócić, kiedy nowy chwycił kamień i rzucił w plecy Tomka. Zaraz potem wziął nogi za pas i uciekał, ile sił. Tomek rzucił się w pościg za zdrajcą i w ten oto sposób dowiedział się, gdzie tamten mieszka. Odczekał jakiś czas przy furtce, wyzywając wroga na spotkanie, lecz ten jedynie stroił miny przez okno i ani myślał wychodzić. Pojawiła się za to jego matka, która nazwała Tomka złośliwym, strasznym, wulgarnym chłopaczyskiem i kazała mu się wynosić. Poszedł więc, ale mruknął pod nosem, że i tak go dostanie w swoje ręce.

Dotarł do domu dość późno i kiedy tylko wdrapał się cichaczem przez okno, wpadł w zasadzkę w postaci ciotki. Gdy ta zobaczyła, w jakim stanie są ubrania

chłopca, jeszcze bardziej utwierdziła się w przekonaniu, że zdecydowanie należy uwięzić go w domu na całą sobotę. I zakazać wszelkich zabaw!

ROZDZIAŁ II

Nadszedł letni sobotni poranek. Cały świat był rozświetlony, świeży i tętniący życiem. Każde serce przepelniała muzyka, a jeśli to serce było w dodatku młode, muzyka pojawiała się też na ustach. Każda twarz promieniała, każdy krok był sprężysty. Akacje kwitły jak szalone, a zapach ich kwiatów wypełniał powietrze. Wzgórze Cardiff wznoszące się nad miasteczkiem było całkiem zielone i wyglądało niczym raj na ziemi: czarowne, spokojne i kuszące.

Tomek pojawił się na chodniku z kubłem białej farby w jednej ręce i długim pędzlem w drugiej. Zmierzył wzrokiem płot i cała radość nagle z niego wyparowała, a w jej miejsce pojawiła się przejmująca melancholia. Trzydzieści jardów płotu wysokiego na dziewięć stóp. Życie wydało się przeraźliwie beznadziejne, a sam fakt istnienia nie do zniesienia. Westchnął więc, zanurzył pędzel w farbie i przejechał po najbliższej desce. Potem jeszcze raz i jeszcze raz tak samo. Porównał niewielki pomalowany skrawek z ogromną połacią nietkniętego płotu i usiadł zrezygnowany na drewnianej skrzyni. Z furtki wyskoczył Jim, niosąc metalowe wiadro i podśpiewując *Dziewczyzny Buffalo*. Taszczenie wody z miejskiej studzienki zawsze wydawało się Tomkowi paskudnym zajęciem, ale teraz jakoś mniej go to raziło. Dobrze pamiętał, że przy pompie zawsze był ktoś znajomy. Białe i murzyńskie dzieciaki wraz z Mulatami czekały w kolejce, odpoczywały, wymieniały się zabawkami, sprzeczały się, biły, dokazywały. Pamiętał też, że mimo, iż pompa znajdowała się nie dalej niż sto pięćdziesiąt jardów stąd, Jimowi zawsze zabierało grubo ponad godzinę, by wrócić z kubłem wody, a i to następowało dopiero wtedy, gdy ktoś po niego poszedł. Tomek odezwał się:

– Słuchaj, Jim! Ja polecę po tę wodę, a ty pomalujesz kawałek płotu.

Jim pokręcił głową i odparł:

– Nie mogę, panie Tomku. Starsza pani kazała przynieść wodę i się nie ociągać. Mówiła, że pan Tomek na pewno będzie chciał mnie zrobić w to malowanie i że mam iść zrobić swoje, i że ona już dopilnuje tego malowania.

– Oj, Jim, daj spokój! Nie przejmuj się tym, co mówiła. Ona zawsze tak gada. Dawaj mi ten kubek. Przecież ja zaraz wrócę, a ona się nawet nie zorientuje.

– Nie mogę, panie Tomku. Starsza pani by mi głowę urwała.

– Jasne! Ona? Przecież ona nigdy nie bije. No, jeśli już, to najwyżej stuknie



Malowanie płotu.

w głowę tym swoim naparstkiem, no i co z tego? Tylko tak gada i tyle. Gadanie nie boli. Chyba że się rozplącze. Słuchaj, Jim, dam ci tę kulkę. Tę dużą, białą.

Jim zaczął się wahać.

– Biała kulka, Jim! To jest wielka kulka!

– Rany! Ona jest taka fajna. Ale panie Tomku, ja się boję. Starsza pani...

– I wiesz co jeszcze? I pokażę ci mój skaleczony palec u nogi.

Dla poczciwego Jima tego było już zanadto. Odstawił wiadro, chwycił białą kulkę i schylił się, by zerknąć na nogę, podczas gdy Tomek rozwiązywał bandaże. Już po chwili Jim pędził ulicą co sił w nogach, brzęcząc wiadrem, Tomek malował płot jak szalony, a ciotka Polly wracała z pola bitwy z kapciem w ręce i błyskiem triumfu w oku. Zapamiętał Tomka nie trwał jednak zbyt długo. Przypomniawszy sobie zaraz, jaką pyszną zabawkę zaplanował na ten dzień i tak oto wszystkie smutki dopadły go ze zdwojoną siłą.



Tomek Sawyer:
Podstęp z malowaniem płotu.

Zaraz inne dzieciaki zaczną szaleć, obmyślać nowe wyprawy, i co gorsza, będą mieć niezły ubaw z tego, że on musi pracować. Ta ostatnia myśl była nie do zniesienia. Paliła jak ogień. Tomek przyjrzał się całemu swemu bogactwu, czyli fragmentom różnych zabawek i innym rupiecicom. Czy nie wystarczyłoby ich, żeby przekupić kogoś, by wykonał choć część niewdzięcznej roboty? Ale to i tak nie zapewniłoby mu nawet pół godziny całkowitej wolności. Wrzucił więc z powrotem swoje nędzne skarby do kieszeni i zrezygnował z planu przekupienia chłopaków. I właśnie wtedy, w tej okropnej chwili beznadziei, doznał olśnienia! Fantastycznego, nieprawdopodobnego olśnienia!

Chwycił pędzel i jakby nigdy nic, zabrał się spokojnie do pracy. Na horyzoncie pojawił się właśnie Ben Rogers. Ten sam Ben Rogers, którego drwin Tomek obawiał się najbardziej. Ben szedł, podrygując i podskakując, co wskazywało na to, że był w doskonałym humorze. Jedząc jabłko, wydobywał z siebie przeciągłe, melodyjne dźwięki przerywane niskim bim-bam-bom, bim-bam-bom. Udał statek. Podchodził bliżej, zwalniał, wypłynął na środek drogi, pochylał się na prawą burtę i skręcił z wielką pompą. Był bowiem wspaniałym parowcem „Big Missouri”, z zanurzeniem aż dziewięciu stóp! Był łodzią, kapitanem, silnikiem i dzwonem pokładowym jednocześnie. Wyobrażał sobie, jak stoi na pokładzie łodzi smaganej huraganowym wiatrem, wydaje rozkazy i jednocześnie je wypełnia:

– Jesteśmy, panie kapitanie! Dzyń-dzyń-dzyń!

Nabrzeże było już tuż tuż i Ben skierował się nieco w stronę chodnika.

– Cała wstecz! Dzyń-dzyń-dzyń!

Wyprostował ramiona i trzymał je sztywno wzdłuż ciała.

– Prawa naprzód! Dzyń-dzyń-dzyń! Szu! Szz-szu-szu! Szu!

Jednocześnie prawą ręką kreślił zamaszyste okręgi, bo pełniła ona teraz funkcję pokazanego koła łopatkowego.

– Z powrotem na bakburtę! Dzyń-dzyń-dzyń! Szu-szz-szu-szu!

Teraz lewa ręka kreśliła koła.

– Stop sterburta! Dzyń-dzyń-dzyń! Stop bakburta! Jeszcze na sterburtę! Stop! Niech nas nieco obróci! Dzyń-dzyń-dzyń! Szu-szzzz-szzz! Cuma dziobowa! Ru-szać się! Cuma manewrowa! Nie ociągać się! Zarzuć na ten pal! Tak jest! Trzymaj! Czekaj! Dobra, puszczaj! Silniki stoją, panie kapitanie! Dzyń-dzyń-dzyń! Żizz! Żizz! Żizz! Sprawdzanie zaworów.

Tymczasem Tomek nie przestawał malować płotu i zdawał się niczego nie widzieć. Ben gapił się na niego przez chwilę i w końcu powiedział:

– Ha, ha! Nabroiliśmy, co?

Żadnej odpowiedzi. Tomek ocenił swoje ostatnie pociągnięcie pędzla z miną wytrawnego artysty, by po chwili dodać jeszcze ostatnie poprawki i ponownie ocenić swe dzieło. Ben przysunął się bliżej. Tomkowi aż ślinka ciekła na widok soczystego jabłka, ale pracował zawzięcie. Ben odezwał się pierwszy:

– Ej, stary! Robotę ci wlepili, co?

Tomek odwrócił się gwałtownie i odparł:

– A, to ty Ben! Nie zauważyłem cię.

– A gdybym ci powiedział, że idę popływać? Też byś poszedł, co? Ale pewnie ty wolisz robotę, nie? Taaaaak, na pewno wolisz!

Tomek przyjrzał się chłopcu i powiedział:

– Co nazywasz robotą?

– A co, to nie jest robota?

Tomek znów zaczął malować i odparł obojętnym głosem:

– Może jest, a może nie. Wiem tylko tyle, że to zajęcie dla Tomka Sawyera.

– Taa, jasne! Chyba nie chcesz mi wmówić, że ci się to podoba?

Pędzel wciąż wędrował po deskach.

– Podoba? A niby dlaczego miałyby mi się nie podobać? W końcu, jak często chłopiec może malować płot?

To już było zupełnie co innego. Ben nawet całkiem zapomniał o swoim jabłku, podczas gdy Tomek starannie machał pędzlem w tę i z powrotem. Robił krok do tyłu, oglądał efekty swojej pracy, dodawał ostatnie pociągnięcia i znów spoglądał krytycznym okiem na rezultaty. A Ben przyglądał się temu z rosnącym zainteresowaniem. W końcu nie wytrzymał:

– Słuchaj, a może ja też trochę pomaluję?

Tomek podumał chwilkę i już prawie miał się zgodzić, ale jednak zmienił zdanie:

– No nie, raczej nie da rady, Ben. Wiesz, ciotka Polly ma fioła na punkcie tego płotu. No wiesz, szczególnie od strony ulicy. Gdyby to był płot za domem, to co innego. Nie byłoby problemu. Ale tutaj robota musi być najwyż-

szej klasy. A mało kto, może jeden, dwu chłopaków na tysiąc umiałoby to pożądnie zrobić.

– No coś ty! Serio? Eeee, tam! Tylko spróbuję. Kawalek. Ja tam bym ci pozwolił.

– Chciałbym, Ben, ale sam rozumiesz – ciotka! Jim też chciał malować, ale mu nie pozwoliła. I Sidowi też nie! No i sam widzisz, że nie mam wyjścia. Gdybyś się dobrał do tego płotu i coś by się z nim stało...

– O rany! Przecież będę uważał! No, daj spróbować. Słuchaj, dam ci mój ogryzek.

– A bo ja wiem, Ben! Nie, chyba nie. Trochę się boję...

– Dam ci całe jabłko!

Tomek podał mu pędzel z wyrazem niechęci na twarzy, ale z triumfem w sercu. Gdy niedawny parowiec „Big Missouri” pracował w pocie czoła, zmęczony artysta spoczął w cieniu na beczce, mając nogami, chrupiąc jabłko i planując rzeź kolejnych niewińatek. Materiału miał w bród; chłopcy pojawiali się co chwila. Z początku, żeby szydzić i drwić, ale każdy kończył z pędzlem w dłoni. Zanim Ben miał zdecydowanie dość, Tomek zdążył już przekazać pędzel Billy’emu Fisherowi w zamian za latawiec, a gdy ten też się zmęczył, doszło do zamiany pędzla na zdechłego szczura i sznurek do kręcenia tym szczurem, które przyniósł Johnny Miller. I tak dalej, i tak dalej. Mijała godzina za godziną. W ten oto sposób, po południu, Tomek przeistoczył się z biedniutkiego chłopca w bogacza kąpiącego się w dobrobycie. Poza wcześniej wymienionymi rzeczami Tomek wszedł w posiadanie dwunastu kulek, kawałka drumli, fragmentu niebieskiej butelki do patrzenia, armatki ze szpulki, klucza nie pasującego do żadnego zamka, kawałka kredy, szklanego korka do karafki, ołowianego żołnierzyka, kilku kijanek, sześciu petard, jednookiego kociaka, mosiężnej gałki od drzwi, psiej obroży (bez psa), rękojeści od noża, czterech kawałeczków skórki z pomarańczy i rozklekotanej ramy okiennej.

On sam spędził czas bardzo przyjemnie i beczynnie, w licznym towarzystwie, natomiast płot opatrzony został trójwarstwową powłoką farby! Prawdopodobnie przekupiłby każdego chłopca w miasteczku, gdyby nie skończyła mu się farba.

Tomek pomyślał sobie, że świat właściwie nie jest aż tak beznadziejny. Jednocześnie mimowolnie odkrył wielce istotną prawdę o człowieczej naturze; mianowicie, aby wzbudzić w człowieku nieodparte pragnienie czegoś, wystarczy sprawić, by to, czego pragnie, stało się praktycznie nieosiągalne. Gdyby Tomek był tak wyśmienitym filozofem, jak autor niniejszej książki, zrozumiałby już, że PRA-CA to coś, co musimy robić, a ZABAWA to coś, do czego nikt nas nie namawia. Wtedy wiedziałby, dlaczego robienie sztucznych kwiatów i cały kierat dnia codziennego to praca, a gra w kręgle czy wspinalczka na Mont Blanc to czysta rozrywka. Są pewni bogaci Anglicy, którzy każdego letniego dnia, dwadzieścia, trzy-

dzieści mil podróżują czterokonnym powozem tylko dlatego, że ten zaszczyt słono ich kosztuje, gdyby natomiast zaproponować im za to wynagrodzenie, zajęcie to automatycznie stałoby się pracą i gentelmani natychmiast by zrezygnowali.

Chłopiec zadumał się przez chwilę nad tą niezwykłą zmianą, jaka miała miejsce w jego sytuacji, a następnie powędrował w kierunku kwatery głównej w celu złożenia raportu.

ROZDZIAŁ III

Tomek stanął przed ciotką Polly, gdy ta siedziała przy otwartym oknie pokoju znajdującego się na tyłach domu. Był to przytulny pokój będący jednocześnie sypialnią, jadalnią i biblioteczką. Ciepłe letnie powietrze w połączeniu z błogą ciszą, zapachem kwiatów i monotonnym brzęczeniem pszczoł sprawiły, że ciotka przysypiała nad swoją ręczną robótką, a jej jedynym kompanem był śpiący na kolanach kot. Okulary miała na wszelki wypadek nasunięte na siwe włosy. Była święcie przekonana, że Tomek już dawno zwiął, dlatego tym bardziej zdziwiła się, widząc, jak śmiało przed nią staje. Chłopiec zapytał:

- Ciociu, mogę teraz iść się pobawić?
- Jak to? Już? A ile pomalowałeś?
- Cały, ciociu.
- Tomek, nie kłam. Nie cierpię tego.
- Ale ja nie kłamię. Cały jest pomalowany, ciociu.

Nie było możliwym, aby ciotka Polly uwierzyła w takie zapewnienia. Poszła więc przekonać się na własne oczy, myśląc po drodze, że byłaby zadowolona, gdyby chociaż dwadzieścia procent z tego, co mówił Tomek, okazało się prawdą. Na widok całkowicie pomalowanego płotu, i to nie tak od niechcienia, ale dokładnie i starannie pokrytego kilkoma warstwami farby, z dodatkowym paskiem namalowanym przy ziemi, zupełnie ją zamurowało. Powiedziała:

- No, niemożliwe! Proszę, proszę. Jak chcesz, to potrafisz.

Natychmiast potem złagodziła nieco ten komplement, mówiąc:

– Ale, niestety, stwierdzam, że zbyt rzadko chcesz. No dobrze, biegnij się pobawić, tylko wróć mi do domu o jakiejś normalnej porze, bo cię spiorę.

Była pod tak ogromnym wrażeniem pracy Tomka, że zabrała go ze sobą do spiżarni, wybrała dorodne jabłko i podała mu, wygłaszając przy tym przemowę, jak to łakocie smakują nieporównywalnie lepiej, kiedy się na nie ciężko i uczciwie zapracuje. I gdy właśnie kończyła swą mowę jakimś radosnym cytatem biblijnym, Tomek zwędził pączka.

Wybiegł na dwór i zobaczył, jak Sid wchodzi po zewnętrznych schodach prowadzących do tylnych pokoi na drugim piętrze domu. Tomek natychmiast wykorzystał całą furę grudek ziemi, które właśnie miał pod nogami i już po chwili powietrze było pełne kurzu i unoszącego się piasku. Grudki przelatowały koło Sida niczym grad i zanim ciotka Polly zdołała zorientować się w sytuacji i przybiec z pomocą, sześć lub siedem grudek trafiło w cel, a Tomek już zniknął za płotem. Mógł przebiec przez furtkę, ale zwykle zanadto się spieszył, żeby się przez nią przecisnąć. Kontent¹ był, że udało mu się wyrównać rachunki z Sidem za afery z czarną nitką i wpakowanie go w tarapaty.

Okrzyknął budynek i skręcił w błotnistą dróżkę prowadzącą na tyły ciocinej obory. Był już w bezpiecznym miejscu, gdzie nie mogła dosięgnąć go kara i pędził teraz na główny plac miasteczka, na którym dwa oddziały „wojskowe” chłopców miały stawić się na umówioną wcześniej bitwę. Tomek pełnił funkcję generała jednego z tych oddziałów, a drugim był Joe Harper (jego serdeczny przyjaciel). Naturalnie, dwaj zaciężni generałowie osobiście nie parali się walką, było to zadanie młodszej dzieciarni. Oni natomiast siadali sobie razem na wzgórkach i stamtąd dowodzili wojskami, wydając rozkazy przez adiutantów. Po długiej i zażartej walce Tomkowy oddział odniósł spektakularne zwycięstwo. Przeliczono poległych, wymieniono jeńców, ustalono warunki kolejnej waśni oraz wybrano dzień na przeprowadzenie następnej istotnej walki, po czym oddziały ustawiły się w szyku i odmaszerowały, a Tomek udał się w stronę domu.



Pierwsze spotkanie Tomka z Becky Thatcher.

Przechodząc koło domu Jeffa Thatchera, zobaczył w ogrodzie nieznaną mu dziewczynkę. Cudne, niebieskie oczy, złote włosy splecione w dwa długie warkoczki, biała, letnia sukieneczka i haftowane pantalonki. Świeżo upieczony bohater padł teraz bez oddania choćby jednego strzału. Niejaka Amy Lawrence zniknęła z jego serca bezpowrotnie. A wydawało mu się, że kochał się w niej do szaleństwa; swoje żarliwe uczucie postrzegał jako cześć i uwielbienie, a tu naraz okazało się, że to jedynie ulotna słabość. Walczył o nią miesiącami, nie minął jeszcze tydzień, odkąd przyznała, że nie jest jej obojętny. Tomek był najszczęśliwszym chłopakiem na świecie i pękał z dumy... przez siedem krótkich dni. Aż tu nagle zniknęła z jego serca niczym przygodny nieznajomy, który jedynie wpadł z krótką wizytą!

Posyłał teraz ukradkiem rozmarzone spojrzenia w kierunku tego nowego anioła, aż spostrzegł, że został zauważony. Natychmiast zaczął udawać, że jej nie widzi i rozpoczął typowe chłopięce popisowanie się, by zwrócić na siebie uwagę. Wyglądał się tak dobrą chwilę, aż tu nagle, w trakcie wykonywania jakiejś karko-

¹ kontent – zadowolony

łomnych wygibasów gimnastycznych, stwierdził, że dziewczynka właśnie kieruje się w stronę domu. Tomek podszedł do ogrodzenia, oparł się o nie i zasmucony ludził się, że piękna nieznajoma zostanie jeszcze, choć przez chwilę. Zawahała się, stojąc na schodach, lecz po chwili podeszła do drzwi. Tomek westchnął żalosiennie, gdy dziewczynka stanęła na progu, ale w chwilę potem jego twarz rozpromieniła się, bo tuż przed zniknięciem rzuciła mu przez płot zerwanego bratka.

Chłopiec podbiegł do kwiatka, zatrzymał się w odległości jednej czy dwóch stóp od niego, osłonił oczy od słońca i spojrzął w stronę drogi, jakby nagle coś niezwykłego przykuło jego uwagę. Następnie podniósł z ziemi słomkę i próbował balansować nią na nosie, odchyliwszy głowę do tyłu. Kiwając się tak z boku na bok, podszedł do bratka, dotknął go bosą stopą, chwycił zręcznie palcami i podskakując na jednej nodze, zniknął za zakrętem. Schował się jedynie na moment, żeby wpiąć sobie zdobycz w marynarkę, tuż przy sercu, a właściwie przy żołądku, gdyż znajomość anatomii nie była u Tomka zbyt imponująca, czym zresztą niespecjalnie się przejmował.

Zaraz potem wrócił i aż do zmroku sterczał przy płocie, odstawiając znów swoje popisy, ale dziewczynka już nie wyszła. Tomek miał jednak cichą nadzieję, że stała gdzieś nieopodal okna i oglądała jego wyczyny. Wreszcie niechętnie powlókł się do domu z głową wypełnioną marzeniami.

Podczas kolacji był w tak doskonałym humorze, że aż ciotka zastanawiała się „co też w niego wstąpiło”. Oberwało mu się porządnie za obrzucanie Sida grudkami, ale nie zrobiło to na Tomku absolutnie żadnego wrażenia. Próbował, jak zwykle, skubnąć cukier sprzed ciocinego nosa, za co też mu się dostało. Powiedział z żalem:

– Ale Sida to ciocia nie leje, jak podbiera cukier.

– Prawda, ale Sid nie jest takim utrapieniem, jak ty. Ty to byś bez przerwy słodycze podjadał, gdybym tylko nie patrzyła.

Chwilę później wyszła do kuchni. Tymczasem Sid, uradowany i pewien swojej bezkarności, sięgnął po cukiernicę z nieznośnym wyrazem triumfu na twarzy. Nagle cukiernica wysliznęła mu się i rozbiła o podłogę. Tomek był wniebowzięty! Tak bardzo, że nawet udało mu się zachować milczenie. Pomyślał sobie, że nie odezwie się ani słowem, nawet gdy wróci ciotka. Postanowił grzecznie siedzieć, dopóki nie zostanie zapytany, kto nabroił, a wtedy wszystko powie i wreszcie będzie mógł patrzeć z satysfakcją, jak ten wieczny lizus obrywa za swoje. Nie posiadał się z radości do tego stopnia, że ledwie mógł się powstrzymać, gdy starsza pani wróciła z kuchni i stanęła nad nieszczęsną cukiernicą, rzucając gniewne spojrzenia przez swe okulary. „No, to teraz się zacznij”, pomyślał. Jednak już chwilę potem le-



Stłuczenie cukiernicy przez Sida.

żał, jak długi na podłodze! Silna dłoń wisała w powietrzu gotowa, by znów spaść na jego głowę. Tomek krzyknął:

– Ale za co? To Sid ją zwalił!

Zaskoczona ciotka zawahała się, a Tomek czekał na łaskę i przebaczenie. Jednak, gdy przemówiła, powiedziała tylko:

– Pewno! Bez powodu nie oberwałeś, bo założę się, że jak zwykle zmalowałeś coś, jak mnie nie było.

Zaraz potem dopadły ją wyrzuty sumienia i zapragnęła powiedzieć coś czułego



Tomek Sawyer:
Użała się
nad sobą.

i miłego, ale to wyglądałoby, jak przyznanie się do błędu, a tego zdecydowanie nie chciała. Nie powiedziała więc nic i z ciężkim sercem zajęła się swoimi sprawami. Tomek zaś użał się nad sobą, siedząc nadąsany w kącie. Wiedział dobrze, że w głębi duszy ciotka padała przed nim na kolana, prosząc o wybaczenie i ta świadomość przynosiła mu nieskrywaną satysfakcję. Celowo nie dawał nic po sobie poznać i udawał, że nie zwraca na nią uwagi; wiedział dobrze, że ciotka raz po raz spogląda na niego przez łzy, ale dalej odgrywał zimną obojętność. Wyobrażał sobie, jak leży konający na łóżku, a ciotka pochyla się nad nim, wyczekując tego jednego, jedynego słowa wybaczenia. On jednak odwraca głowę do ściany i... umiera bez słowa miłosierdzia. No, i jakby się wtedy czuła? Wyobrażał sobie też, jak przynoszą go martwego do domu znad rzeki: loki ociekające wodą, a udręczone serce milcząca na wieki. Jak ciotka w rozpacz przypada do niego, oblewając jego ciało strugami łez, jak żarliwie modli się, by Bóg zwrócił jej ukochanego chłopca i jak już nigdy, ale to nigdy, przenigdy go nie zloi. On jednak leży bez ruchu, zimny i bledy – biedna, mała istotka, której nie dosięgną już żadne cierpienia. Tak bardzo zagłębił się w te tragiczne wizje, że o mało się nie zakrztusił, przelękając ślinę, a oczy zrobiły się mokre i po zamknięciu powiek łzy popłynęły z nich strużką po twarzy. Tak upajał się rozpamiętywaniem swego dramatu, że nie mógłby znieść ani odrobiny radości, ani kawałka pocieszenia. Nic nie mogło zakłócić tej rozpacz, tak była podniosła. Zatem, gdy do domu w podskokach wpadła jego kuzynka Mary, rozpromieniona faktem powrotu po niewyobrażalnie długiej tygodniowej wizycie na wsi, chłopiec wstał i z posępną miną wyszedł jednymi drzwiami, podczas gdy drugimi wkroczyły śpiew i wesołość.

Powędrował w miejsca samotne, gdzie z dala od często uczęszczanych okolic mógł pozostać w zgodzie ze stanem swojego ducha. Przy rzece usiadł na krawędzi tratwy i wpatrując się w posępny bezmiar wody, rozmyślał o tym, że chętnie by się utopił. Od razu, bezwiednie, bez tego całego przykrego procesu wymyślonego przez naturę. Wtedy przypominał sobie o kwiatku. Wyciągnął pomietą i zwędniętą roślinkę. To jedynie spotęgowało jego cierpienia. Zastanawiał się, czy byłoby jej żal, gdyby go teraz widziała. Płakałaby, pragnąc objąć go za szyję

Powędrował w miejsca samotne, gdzie z dala od często uczęszczanych okolic mógł pozostać w zgodzie ze stanem swojego ducha. Przy rzece usiadł na krawędzi tratwy i wpatrując się w posępny bezmiar wody, rozmyślał o tym, że chętnie by się utopił. Od razu, bezwiednie, bez tego całego przykrego procesu wymyślonego przez naturę. Wtedy przypominał sobie o kwiatku. Wyciągnął pomietą i zwędniętą roślinkę. To jedynie spotęgowało jego cierpienia. Zastanawiał się, czy byłoby jej żal, gdyby go teraz widziała. Płakałaby, pragnąc objąć go za szyję

i pocieszyć? Czy raczej bezdusznie odwróciłyby się od niego, jak reszta tego nieczulego świata? Ta wizja przyniosła tak rozkoszne cierpienie, że roztrząsał ją jeszcze raz i jeszcze raz, w coraz to innych wariantach, aż wreszcie skończyły mu się pomysły. W końcu wstał i wdychając, oddalił się w mrok.

Około dziewiątej trzydzieści czy dziesiątej dotarł pustą ulicą do miejsca, gdzie mieszkała cudna nieznajoma. Zatrzymał się, nasłuchując bezskutecznie. Widział jedynie odbicie słabego światła świeczki na zasłonie w oknie, na drugim piętrze. Czy to tam była boska istota? Tomek przelazł przez płot i błędząc między krzewami, podszedł pod okno. Wpatrywał się w nie długo i namiętnie, a potem położył się pod nim na ziemi, na wznak, z rękoma skrzyżowanymi na piersiach, trzymając w nich nieszczęsny kwiatek. I tak dokona żywota: na zimnie, bez dachu nad głową, bez przyjaznej dłoni ocierającej pot z czoła, bez kochającej twarzy pochylonej nad nim w jego ostatniej chwili życia... A ona takim go zobaczy, gdy jutro wyjrzy powitać świeży poranek. Ach, czy uroni choć jedną łzę nad jego biednym, zgasłym ciałem? Czy widząc młode, cudne życie zakończone w tak brutalny sposób, wyda choćby jedno westchnienie?!

Okno otworzyło się, skrzekliwy głos służącej zakłócił jego spokój, a na marne szczątki męczennika połały się strugi wody!

Podtopiony bohater zerwał się na równe nogi, krztusząc się i prychając. W powietrzu rozległ się dźwięk podobny do świstu pocisku okraszonego przytłumionym przekleństwem, a potem kolejny, tym razem rozbijanego szkła. Mała, niewyraźna postać śmignęła przez płot i zniknęła w mroku.

Niedługo potem, gdy Tomek szykował się do snu i w świetle łożowej świecy przypatrywał się swoim przemokniętym ubraniom, obudził się Sid. Nawet jeśli zaświtała mu myśl o robieniu JAKICHKOLWIEK aluzji, to wzrok Tomka skutecznie go powstrzymał.

Chłopiec wpakował się do łóżka, oszczędzając sobie niepotrzebnych trudów pacierza, co Sid natychmiast dobrze zanotował w pamięci.

ROZDZIAŁ IV

Nad spokojnym, sennym światem zaświeciło słońce, kierując swe promienie nad ciche miasteczko, niczym na znak błogosławieństwa. Po śniadaniu ciotka Polly urządziła rodzinne modły: najpierw cała masa biblijnych cytatów połączonych z odrobiną własnej twórczości, potem przygnębiający rozdział z prawa mojżeszowego wygłoszony niczym z góry Synaj.

Następnie Tomek zebrał się w sobie, zakasał rękawy i zabrał się za wkuwanie fragmentów. Sid wyuczył się swoich już kilka dni



Tomek Sawyer:
Nauka fragmen-
tu Pisma Świę-
tego.

temu. Wkładając całą swą energię w zapamiętanie pięciu linijek, Tomek wybrał fragment *Kazania na Górze*, bo miało najkrótsze wersety. Po pół godzinie nauki miał jedynie mgliste pojęcie, o co w tym chodzi, gdyż jego myśli były zupełnie gdzie indziej, a ręce zajęte miał wszystkim, tylko nie nauką. Mary wzięła od niego *Biblię*, żeby go przepytać, a chłopiec starał się odnaleźć wśród mgły niewiedzy:

- Błogosławieni... yyy... yyy...
- Ubodzy...
- No, ubodzy. Błogosławieni ubodzy... yyy... yyy...
- W duchu...
- W duchu. Błogosławieni ubodzy w duchu, albowiem oni... oni...
- Do nich...
- Do nich. Błogosławieni ubodzy w duchu, albowiem do nich należy królestwo niebieskie. Błogosławieni, którzy się smućą, albowiem oni... oni...
- B...
- Albowiem oni... y...
- Bę... No, bę...
- Albowiem oni bę... No nie wiem, no!
- Będą!
- A „będą”! Albowiem oni będą... oni będą... y... y... się smućć... y... błogosławieni ci, którzy będą... będą... y... się smućć, albowiem oni będą... y... no co będą? No powiesz mi co będą, Mary? Nie bądź taka!
- Rety, Tomek, ty tępoto! Nie robię ci na złość. Musisz się jeszcze tego pouczyć. Nie poddawaj się, dasz radę. A jak się nauczysz, dam ci coś w nagrodę! No już, postaraj się.

- No dooobra! A co to jest, Mary? Powiedz, co to.
- Nie powiem. Jak mówię, że jest super, to jest super.
- No ja myślę. Dobra, idę znowu wkuwać.



Tomek dostaje od Mary szczyryk.

I rzeczywiście „wkuwał znowu”, a zdwojona presja ciekawości i perspektywa niespodzianki sprawiła, że wyuczył się śpiewająco. Dostał od Mary nowiutki szczyryk „Barlow” wart dwanaście i pół centa. Radostą, jaka ogarnęła Tomka, dosłownie nim wstrząsnęła. Co prawda, ten szczyryk nie nadawał się do cięcia czegokolwiek, ale z pewnością TO BYŁ niewyobrażalnie wspaniały „Barlow” – chociaż wieczną tajemnicą pozostanie to, jak goście z Zachodu wpadli na pomysł, że taka oto broń może kiedyś zostać podrobiona i to ze szkodą dla niej samej. Tomek zdołał pociąć nim powierzchnię kredensu i właśnie miał zabrać się za komodę, kiedy nagle został wezwany do przygotowania się do wyjścia do szkółki niedzielnej.

Mary wręczyła mu miednicę z wodą i kawałek mydła, a on, tak uzbrojony,

wyszedł na dwór, postawił miednicę na ławeczce, umoczył w niej mydło i zaraz potem odłożył je na bok. Następnie zakasał rękawy, ostrożnie wylał całą wodę na ziemię, by potem wrócić do kuchni, skrupulatnie wycierając twarz wiszącym za drzwiami ręcznikiem. Ale Mary odebrała mu ręcznik i powiedziała:

– Tomku, jak ci nie wstyd! Tak się nie robi. Woda cię nie zabije.

Chłopiec stał nieco zmieszany, a miednica została ponownie napełniona wodą i tym razem Tomek gapił się na nią przez chwilę, próbując zebrać się na odwagę, po czym wziął głęboki wdech i zaczął się myć. Kiedy wrócił do kuchni, miał mocno zacisnięte oczy, machał rozpaczliwie rękoma w poszukiwaniu ręcznika, a po jego twarzy ściekały niepodważalne dowody w postaci obfitych mydlin. Jednak, gdy już wyłonił się zza ręcznika, jego sytuacja nie poprawiła się ani trochę. Czysta powierzchnia kończyła się gwałtownie na linii brody i szczęk, jak maska. Pod nią i nad nią rozciągały się połacie gleby biegnące w dół z przodu i z tyłu szyi. Te obszary z pewnością nie uświadczyły ani kropli wody. Wtedy zabrała się za niego Mary, a kiedy skończyła, wyglądał wreszcie jak człowiek i brat; bez różnic kolorystycznych, a jego mokre włosy były porządnie uczesane z krótkimi loczkami ułożonymi z największą starannością. Po kryjomu pieczołowicie wygładził kędziorki i przyklepał włosy do głowy. Loczki, według niego, były bardzo dziewczynskie i jedynie dodawały goryczy do jego życia. Tymczasem Mary wydobyła z szafy ubranie, które Tomek przez ostatnie dwa lata używał tylko w niedziele; nazywane było ono po prostu jego „drugim ubraniem” i dzięki temu wiemy, ile strojów miał nasz bohater.



Tomek Sawyer:
Odświętny wy-
gląd Tomka.

Kiedy Tomek już się ubrał, kuzynka doprowadziła go do porządku, zapinając porządnie marynarkę aż po samą szyję, wykładając szeroki kołnierzyk koszuli na ramiona i strzepując paproszki. Na ukoronowanie dzieła, na głowę założyła mu nakrapiany słomkowy kapelusik. Teraz chłopak wyglądał zdecydowanie lepiej, choć jednocześnie wydawało się, że czuje się bardzo nieswojo. I faktycznie, było mu straszliwie niewygodnie. Denerwowała go ta cała niedzielna odświętność i czystość. Miał jeszcze cichą nadzieję, że Mary zapomni chociaż o butach, ale już wkrótce okazało się, że nic z tego. Wyciągnęła obuwie, które wcześniej, zgodnie ze zwyczajem, nasmarowała obficie łojem. Tomek nie wytrzymał i jęczał, jak to on zawsze musi robić coś, czego nie chce, ale Mary odparła stanowczo:

– Tomku, zachowuj się, proszę.

Założył więc te buty, ale zachował naburmuszoną minę. Po chwili Mary była również gotowa i cała trójka dzieciaków wyruszyła do szkoły niedzielnej – miejsca, którego Tomek nie cierpiał z całego serca, a za którym Sid i Mary wprost przepadali.

Zajęcia w szkółce odbywały się od dziewiątej do wpół do jedenastej, a potem było nabożeństwo. Dwoje z dzieci zawsze chętnie zostawało na nabożeństwie, natomiast trzecie zostawało z zupełnie innych powodów. Twarde ławki kościelne z wysokimi oparciami mieściły około trzystu osób, a sam budynek był niewielki, z prostym ołtarzem i czymś na kształt sosnowej donicy na dachu jako wieżyczki. Już w drzwiach Tomek został nieco z tyłu i zaczepił jednego z wystrojonych kolegów:

- Cześć, Billy. Masz żółtą karteczkę?
- Mam.
- A co byś za nią chciał?
- A co masz?
- Kawalek lukrecji i haczyk na ryby.
- Pokaż.



Tomek Sawyer:
Odkupywanie od kolegów kartek – nagród za znajomość Biblii.

Tomek wydobył skarby, a że były odpowiednie, zmieniły właściciela. Potem wymienił jeszcze kilka białych kulek na trzy czerwone karteczki i jakieś inne drobiazgi na kilka niebieskich. Przez kolejne dziesięć, piętnaście minut zaczepił jeszcze paru innych przechodzących chłopców i zdobył więcej różnokolorowych karteczek. Następnie, wraz z innymi czyściutkimi i hałaśliwymi chłopcami i dziewczętami, wszedł do kościoła, odnalazł swoje miejsce i od razu zaczął sprzeczać się z pierwszym chłopakiem, który się nawinał. Nauczyciel – poważny, starszy pan – zwrócił im uwagę, a gdy nie patrzył, Tomek pociągnął za włosy chłopaka z sąsiedniej ławki. Kiedy tamten się odwrócił, Tomek udawał pochłoniętego lekturą modlitewnika. Zaraz potem ukłął szpilką innego chłopca tylko po to, by tamten wydał z siebie żałosne „Aua!”. Tomkowi znów oberwało się od nauczyciela. Cała Tomkowa grupa była zbieraniną wiecznie rozbrykanych i rozgadanych wiercipiętów. Gdy przychodziło do recytowania zadań domowych, okazywało się, że nikt nie umiał ich porządnie i ciągle trzeba było im podpowiadać. Mimo wszystko każdy dostawał w końcu nagrody: małe, niebieskie karteczki, każda z fragmentem *Pisma*. Niebieska karteczka była nagrodą za dwa poprawnie wyrecytowane wersety. Dziesięć niebieskich karteczek równało się jednej czerwonej i mogło być na nią zamienione. Dziesięć czerwonych karteczek natomiast równało się jednej żółtej. A dziesięć żółtych oznaczało, że dyrektor szkoły wręczał uczniowi skromne wydanie *Biblii* (warte na owe czasy czterdzieści centów). Swoją drogą, ciekaw jestem, ilu z moich Czytelników znalazłoby w sobie tyle zapału i gorliwości, żeby wyuczyć się na pamięć dwóch tysięcy wersetów – nawet, gdy nagrodą jest *Biblia* z ilustracjami Dorego. A jednak Mary zdobyła w ten sposób już dwie *Biblie* jako nagrodę za dwa lata sumiennej pracy, a chłopiec niemieckie-

go pochodzenia miał już cztery czy pięć. Pewnego razu ten chłopak wyrecytował trzy tysiące wersetów za jednym razem. Było to, jak się okazało, zbyt duże obciążenie dla jego umysłu i od tamtej pory nieco zidiociał, co stanowiło nieodżałowaną stratę dla szkoły, gdyż przy jakiegokolwiek większej okazji dyrektor zwykł wybierać tego chłopaka, by (jak mawiał Tomek) „uwywnętrznił się” przed gośćmi. Jedyne starsi uczniowie pilnowali swoich karteczek i uczyli się na tyle pilnie, by dostać *Biblię*, dlatego wręczanie jej odbywało się niezwykle rzadko i było pamiętnym wydarzeniem. Szczęśliwiec chodził w takiej glorii i chwale, że natychmiast w pozostałych uczniach wstępował świeży zapach, który wystarczał na mniej więcej kilka tygodni. Sama nagroda niespecjalnie przemawiała do Tomka, ale z całą pewnością od dawna marzył o towarzyszącym jej splendorze i uznaniu.

Wreszcie dyrektor szkoły stanął na podeście pulpitu z zamkniętym modlitewnikiem w dłoni, z palcem wskazującym wetkniętym między kartki i zarządził ciszę. Kiedy dyrektor szkoły wygłasza swą zwyczajową mowę, modlitewnik, dzierżony w dłoni, pełni taką funkcję, jak partytura niezbędna śpiewakowi, gdy stoi on przed publicznością, występując solo. Dlaczego tak jest? Tego nie wie nikt, bowiem żaden z nich nigdy nie zagląda do modlitewnika czy rzeźzonej partytury. Dyrektor był szczupłym, trzydziestopięcioletnim mężczyzną, o żółtej koziej bródce i takich samych włosach, nosił sztywno postawiony kołnierzyk, którego górne krawędzie niemal dotykały uszu, a ostre końcówki zaginały się na wysokości kątek ust. Wyglądało to niczym ogrodzenie zmuszające go do ciągłego patrzenia przed siebie i skręcania całego ciała, ilekroć musiał spojrzeć w bok. Broda opierała się na fularze szerokim i długim niczym banknot, z frędzelkami na obrzeżach. Noski jego butów, zgodnie z panującą wówczas modą, mocno zagięte były ku górze, niczym płozy sań, który to efekt młodzi panowie uzyskiwali, siedząc niestrudzenie godzinami z palcami opartymi o ścianę. Pan Walters miał niezmiernie poważne oblicze i wielce szczodre, dobre serce. Miejsca i rzeczy święte traktował z takim namaszczeniem i tak pieczołowicie oddzielał je od spraw doczesnego świata, że całkiem nieświadomie jego niedzielny głos nabierał specyficznego, uroczystego brzmienia, które w dni powszednie nie występowało. Zaczął tak:

– Drogie dzieci, usiądźcie teraz grzecznie i ładnie, i posłuchajcie mnie przez chwilę bardzo uważnie. O, właśnie tak. Dokładnie tak powinny się zachowywać grzeczne dzieci. Ale widzę jedną dziewczynkę wyglądającą przez okno. Może wydaje jej się, że ja gdzieś tam jestem – może siedzę na drzewie i rozmawiam z ptaszkami. (Cała klasa rechocze). Chcę wam powiedzieć, że to cudowne uczucie widzieć tyle ślicznych, jasnych twarzątek zebranych w tym miejscu, uczących się, jak być dobrym i dobrze postępować.



Charakterystyka
dyrektora szkoły
niedzielnej.

I tak dalej, i tak dalej. Nie ma zbytniego sensu przytaczać reszty tego przemówienia. Było dokładnie takie samo, jak wszystkie inne, zatem wszyscy możemy sobie wyobrazić, czego dotyczyło.

Ostatnia część przemowy przerywana była przepychankami, sprzeczkami i innymi rozrywkami urwisów oraz wszechobecnymi szeptami i ogólnym rozluźnieniem. To rozproszenie dotarło nawet do takich bastionów skupienia² i uwagi, jak Sid i Mary. Nagle, wraz z końcem przemówienia pana Waltera, cały ten rozgardiasz ucichł i zapadła wielka cisza.

Owo poruszenie wywołane było w znacznej mierze wydarzeniem niezwykle rzadkim, a mianowicie przybyciem gości: mecenasa Thatchera w towarzystwie słabowitego staruszka – wytwornego, pulchnego, szpakowatego jegomościa w średnim wieku oraz eleganckiej damy będącej zapewne żoną tego ostatniego i prowadzącej za rękę dziecko. Tomek niecierpliwił się i był wyraźnie naburmuszony. Gryzło go sumienie. Nie mógł spojrzeć w kierunku Amy Lawrence, nie mógł znieść jej czulego spojrzenia. Kiedy jednak zauważył najmłodszego z gości, jego duszę natychmiast ogarnęło niewyobrażalne szczęście. W mig zaczął się strasznie popisywać, szturchając chłopców, pociągając za włosy, strojąc miny, czyli po prostu robiąc wszystko, co mogłoby wyrzucić wrażenie na dziewczynce. Jego uniesienie zmacone było jedynie przez wspomnienie owego niefortunnego wieczoru w jej ogrodzie, lecz i to nieprzyjemne zdarzenie było wkrótce zniweczone przez władający nim ogrom szczęścia.

Goście zasiedli na zaszczytnych, honorowych miejscach, a gdy tylko pan Walters dokończył przemówienie, niezwłocznie przedstawił ich wszystkim zebranych. Szpakowaty jegomość okazał się być wielce dostojną personą. Był to sam sędzia okręgowy, a zatem najznakomitsza osobistość, jaką dzieci kiedykolwiek widziały i zastanawiały się, z czego mógł być zrobiony. Chciały też, by gość wydał z siebie jakiś potężny ryk, a jednocześnie bały się, że naprawdę może to zrobić. Sędzia pochodził z Konstantynopola oddalonego o dwanaście mil; a więc podróżował, zwiedzał świat! Te same oczy patrzyły na gmach sądu, którego dach podobno pokryty był blachą! Podziw dla tego faktu był potwierdzony absolutną ciszą i całą masą wytrzeszczonych oczu. To był TEN sędzia Thatcher, brat ich mecenasa. Jeff Thatcher niezwłocznie podszedł, by przywitać się ze znakomitym człowiekiem i wzbudzić powszechną zazdrość u wszystkich zgromadzonych. Byłby absolutnie wniebowzięty, słysząc szepty:

– Jim, zobacz! Podchodzi! Zobacz! Zaraz poda mu rękę! Podaje mu rękę! O kurczę, ale ten Jeff to ma fajnie!

² bastion skupienia – tu: największe skupienie

Pan Walters zaczął popisywać się, robiąc wiele niepotrzebnego hałasu i udając wielce zajętego wydawaniem poleceń, wymyślaniem rozmaitych ogłoszeń i rozstawianiem po kątach, kogo tylko się dało. Bibliotekarz biegł tam i z powrotem z nareczkami książek, robiąc przy tym mnóstwo zamieszania, co zawsze sprawia niesłychaną radość podrzędnym urzędnikom. Z kolei młode nauczycielki brylowały, pochylając się troskliwie nad uczniami, których przed momentem targwały za uszy; groziły im teraz ślicznymi paluszkami, a grzecznych czule głaskały po głowach. Młodzi nauczyciele zaś udawali, że upominają łobuzów i utrzymują dyscyplinę swoim autorytetem. Zdecydowana większość nauczycieli, niezależnie od płci, wynalazła sobie nagle jakieś niezmiernie pilne zajęcie w bibliotece, czyli w okolicy pulpitu, a te niezwykle naglące sprawy wymagały dwukrotnych lub nawet trzykrotnych wizyt w tamtym miejscu (wszystko to z pozornym rozgorączkowaniem i zniecierpliwieniem). Dziewczynki popisowały się na różne sposoby, a chłopcy robili to tak zawzięcie, że w powietrzu roilo się od papierowych kulek i odgłosów przepychanek. Arcyważny pan rozpromieniał całe wnętrze kościoła swoim majestatycznym sędziowskim uśmiechem i grzał się w promieniach własnej świetności, ponieważ on również się popisował.

Brakowało tylko jednej rzeczy, by uczynić pana Waltersa nieskończenie szczęśliwym. Tym czymś było podarowanie *Biblii* jako nagrody i pochwalenie się cudownie zdolnym uczniem. Było wprawdzie kilku uczniów z paroma złotymi karteczkami, ale żaden nie miał ich wystarczająco dużo. Nauczyciel przeszedł pomiędzy najpilniejszymi uczniami i dokładnie to sprawdził. Oddałby wszystko, żeby tylko mieć teraz przy sobie tego niemieckiego chłopca, zdrowego na umyśle.

I właśnie wtedy, gdy wydawało się, że ostatni promyk nadziei zgasł bezpowrotnie, na środek wyszedł Tomek Sawyer, niosąc dziewięć złotych, dziewięć czerwonych i dziesięć niebieskich karteczek i poprosił o *Biblię*. Było to niczym grom z jasnego nieba! Pan Walters nie spodziewał się zgłoszenia od tej akurat osoby przez najbliższe co najmniej dziesięć lat, ale nie było rady: chłopak miał niezbite dowody. Zupełnie legalne i niepodważalne. Tomek stanął więc na podeście obok sędziego i reszty gości, a radosną nowinę podano do publicznej wiadomości. Była to największa niespodzianka dekady, a przy tym tak wzniosła chwila, że nowy bohater został otoczony taką samą chwałą, jak zacny gość i teraz szkoła miała przed sobą dwa cuda jednocześnie. Innych chłopców zżerała zazdrość, a tymi, którzy cierpieli najbardziej, byli ci, którzy dopiero teraz zorientowali się, że sami przyczynili się do tego nieznośnego triumfu, wymieniając się z Tomkiem karteczkami, w zamian za jego skarby, które zdobył, handlując przywilejem malowania płotu. Gardzili sobą, że dali się tak wrobić w sztuczki tego podstępnego oszukańca!



Wręczenie Tomkowi *Biblii* jako nagrody.

W atmosferze największego uniesienia, na jakie mógł zdobyć się dyrektor szkoły, Tomek otrzymał nagrodę, ale brakowało w tej ceremonii autentycznego entuzjazmu. Biedny nauczyciel przeczuwał bowiem, że za tą niespodzianką kryła się jakaś ciemna tajemnica; wydawało się to wręcz niedorzeczne, żeby ten oto chłopiec zgromadził w swoim spichlerzu dwa tysiące snopków biblijnej mądrości, nawet tuzin, to już byłoby z pewnością zbyt wiele.



Zazdrość Amy Lawrence o nową dziewczynkę.

Amy Lawrence promieniała z radości i dumy, i starała się, jak mogła, by Tomek to zauważył, ale on nie patrzył. Zastanowiło ją to, potem nieco zmartwiło, a jeszcze później pojawił się cień podejrzenia, zniknął i wrócił ponownie. Przyglądała się Tomkowi, a jego jedno ukradkowe spojrzenie powiedziało wszystko. Jej serce pękło, wdarała się w nie zazdrość pomieszana ze złością, łzami i nienawiścią do całego świata. Tomka nienawidziła najbardziej (chyba).

Tomek natomiast został przedstawiony sędziemu, ale kompletnie zapomniał języka w gębie. Ledwo oddychał i serce mu waliło, po części ze względu na wielkość tego człowieka, ale przede wszystkim dlatego, że on był JEJ rodzicem! Gdyby było ciemno i nikt nie widział, padłby przed nim na kolana z uwielbieniem. Tymczasem sędzia położył rękę na chłopięcej głowie, nazywając go dzielnym, małym mężczyzną i zapytał, jak mu na imię. Ten chrząknął, sapnął i wykrztusił:

– Tomek.

– Och, nie! Nie Tomek, tylko...

– Tomasz.

– Ach, Tomasz! Myślałem, że coś jeszcze. Bardzo ładnie, ale zapewne jest jeszcze nazwisko, prawda? No, powiedz ładnie.

– Powiedz panu swoje nazwisko, Tomaszu – nakazał pan Walters. – I nie zapomnij powiedzieć „proszę pana”. Co z twoimi manierami?

– Tomasz Sawyer, proszę pana.

– No proszę! Doskonale! Zuch z ciebie! Bardzo dobrze dzielny, młody człowieku. Dwa tysiące wersetów to dużo, bardzo, bardzo dużo. Nigdy nie będziesz żałował wysiłku, jaki włożyłeś w tę naukę. Wiedza jest najcenniejsza. To dzięki niej wielcy mężowie są wielcy, a dobrzy ludzie są dobrzy. I ty też pewnego dnia będziesz wielki i dobry, Tomaszu, a wtedy spojrzysz wstecz i powiesz: „To wszystko dzięki wspaniałej szkółce niedzielnej z dzieciństwa. Dzięki moim cudownym nauczycielom, którzy uczyli, jak się uczyć. Dzięki dobremu panu dyrektorowi, który zachęcał mnie, czuwał nade mną i podarował mi piękną *Biblię*, wspaniałą *Biblię*. Podarował mi ją na własność i na zawsze. To wszystko dzięki dobremu wychowaniu!” Tak właśnie powiesz, Tomaszu. I nigdy w życiu nie wzięłbyś żadnych pieniędzy za te dwa tysiące wersetów, nigdy byś nie wziął. A teraz zechciej

powiedzieć mnie i tej miłej pani coś z tego, czego się nauczyłeś, hmm? Śmiało! Jesteśmy tacy dumni z chłopców, którzy pilnie się uczą. Tak, na pewno znasz imiona wszystkich dwunastu apostołów. Powiedz nam może imiona dwóch wybranych jako pierwszych.

Tomek, bardzo zmieszany, gmerał w dziurce od guzika. Zacerwienił się i spuścił wzrok. Panu Waltersowi zrobiło się słabo. Pomyślał, że to zdecydowanie niemożliwe, żeby ten chłopak odpowiedział na najprostsze pytanie. „I po co pan sędzia go pyta?” Czuł się jednak w obowiązku i powiedział:

– Odpowiedz panu, Tomaszu. Nie bój się.

Tomek nadal milczał.

– Z pewnością to wiesz – odezwała się dama. – Imiona pierwszych dwóch apostołów to...

– DAWID I GOLIJAT!

Na to, co było dalej, spuścimy zasłonę miłosierdzia.

ROZDZIAŁ V

Okolo wpół do jedenastej odezwał się popękany dzwon małego kościółka i wierni zaczęli schodzić się na poranne nabożeństwo. Dzieciaki ze szkółki niedzielnej rozeszły się po kościele i usiadły w ławach obok rodziców, żeby ci mogli mieć na nie oko. Przyszła także ciotka Polly, więc Tomek, Sid i Mary usiedli przy niej. Tomek został posadzony najbliżej środkowej nawy, od strony przejścia, aby był jak najdalej od otwartego okna, za którym kusił ciepły letni dzień. Kościół wypełniał się wiernymi. Przybył leciwy i zniedołężniały naczelnik poczty, który lata świetności miał już dawno za sobą, burmistrz z żoną (poza innymi zbytkami, miasteczko miało także i burmistrza), sędzia pokoju, wdowa Douglass – ładna, elegancka, czterdziestoletnia, szlachetna i pocziwa osoba, a przy tym zamożna, posiadająca największą posiadłość w miasteczku, w której odbywały się najznakomitsze przyjęcia w St. Petersburgu. Pojawił się także zgarbiony i sędziwy major Ward z małżonką, prawnik Roverson – nowa znakomitość z daleka, następnie miejscowa piękność w otoczeniu świty młodych uwodzicielek odstrojonych w odświeżone sukienki ze wstążeczkami, wszyscy młodzi urzędnicy, którzy przybyli jednocześnie, ponieważ stali dotychczas w przedsionku, zabawiając się główkami swoich lasek – szpaler mizdrzących się adoratorów, wiercących się niespokojnie, aż ostatnia panna nie przedefilowała między nimi. A na samym końcu pojawił się wzór niedościgniony, Willie Muffer-son, troskliwe i z namaszczeniem prowadzący swoją matkę, jakby była z delikat-



Niedzielne nabożeństwo.

nego szkła. Zawsze przyprowadzał matkę do kościoła i był pupilkiem wszystkich szacownych dam w miasteczku. Był tak doskonały, że wszyscy chłopcy szczerze go nie cierpieli, a poza tym wiecznie stawiano im go za przykład. Z tylnej kieszeni, jak zwykle w niedzielę, przypadkowo, wystawała mu biała chusteczka. Tomek chusteczki nie miał i tych, którzy je nosili, uważał za snobów.

Gdy wszyscy wierni już się zebrali, dzwon odezwał się po raz ostatni, przywołując guzdrały i maruderów, a potem zapadła podniosła cisza, przerywana jedynie chichotami i szeptami dochodzącymi z chóru. Chór zawsze chichotał i szepotał przez całe nabożeństwo. Był kiedyś taki jeden dobrze wychowany chór kościelny, ale nie pamiętam już, gdzie to było. Musiało to być wieki temu i właściwie zupełnie tego nie pamiętam, ale sądzę, że było to za granicą.

Pastor zapowiedział hymn i przeczytał go z lubością, w charakterystyczny, wielce podziwiany w tamtych stronach sposób. Zaczynał od zwykłego tonu, po czym przechodził do coraz wyższych dźwięków, aż do pewnego momentu, kiedy z wielkim namaszczeniem i emfazą³ wypowiadał jedno słowo, a następnie zniżał głos tak gwałtownie, jak podczas skoków na trampolinie:

*Czyż kroczyć mam do niebios bram po spokojnych płatkach róż,
gdy inny, by dotrzeć tam, płynie przez otchłań mórz?*

Pastor uważany był za znakomitego deklamatora. Na wszelkich kościelnych „impresach” był zawsze proszony o czytanie poezji, a gdy kończył, panie wznosiły ręce ku niebu i bezładnie je opuszczały, przewracając przy tym oczami i kręcąc głowami, jakby mówiły: „To nie do opisaniania! Cudowne! Zbyt cudowne w tym doczesnym życiu”.

Po odśpiewaniu hymnu, wielbny pan Sprague, zmienił się w tablicę ogłoszeń i zaczął odczytywać komunikaty o spotkaniach towarzyskich i innych takich, aż wydawało się, że ta lista będzie ciągnęła się w nieskończoność. Dziwaczny był to zwyczaj, który wciąż ma miejsce w Ameryce nawet w miastach; w czasach powszechnego dostępu do gazet. Jak to często bywa, im zwyczaj bardziej bezsensowny, tym trudniej go wykorzenić.

Następnie pastor rozpoczął modlitwę. Była to piękna, serdeczna i bardzo szczegółowa modlitwa: modlitwa za kościół i małą dziatwę w kościele, za inne kościoły w miasteczku, za samo miasteczko, za hrabstwo, za stan, za jego urzędników, za Stany Zjednoczone, za wszystkie kościoły amerykańskie, za Kongres, za prezydenta, za rząd, za smaganych morskimi falami, za uciemione masy pod jarzmem europejskich monarchii i wschodnich tyranii, za tych, do których dotarły światło i dobre nowiny, a którzy tkwili wciąż z oczami i uszami zamkniętymi, za

³ emfaza – przesadna emocjonalność wypowiedzi

pogan gdzieś tam na łądach odległych, a zakończona pokornym błaganiem, by słowa, które pastor miał zaraz wypowiedzieć, spodobały się Panu i były niczym ziarno rzucone na żyzną glebę i wydające w swoim czasie plon obfity. Amen.

Rozległ się szelest sukien i wszyscy usiedli. Bohater tej książki nie wsłuchiwał się w modlitwę radośnie. On co najwyżej ją jakoś znosił. Przez cały czas był niespokojny, rejestrował jedynie bezwiednie wyrywkowe szczegóły modlitwy, ponieważ wcale jej nie słuchał. Wiedział jednak doskonale, jak będzie przebiegała, gdyż pastor zawsze podążał tym samym torem myślenia i gdy pojawiał się choćby najdrobniejszy nowy element, jego ucho natychmiast to rejestrowało, ku ogólnemu niepokieszeniu słuchającego. Wszelkie nowe wstawki uważał bowiem za oszustwo i świństwo. W połowie modlitwy, na oparciu ławki, przed chłopcem pojawiła się mucha i zaczęła go dręczyć, powolnie pocierając łapkami, obejmując nimi łeppek i czyszcząc go tak zawzięcie, że o mało nie oderwał się od reszty ciała, odstaniając przy tym cieniutką niteczkę szyi. Tylnymi nóżkami pocierała skrzydełka, wygładzając je wzdłuż tułowia niczym poły fraka. Cały ten obrządek wykonywała tak spokojnie, jakby była głęboko przeświadczona, że zupełnie nic jej nie grozi. I faktycznie tak było, bo choć Tomka aż ręce świerzbiły, nie odważył się jej tknąć. Był święcie przekonany, że skazałby się na potępienie, gdyby dopuścił się czegoś podobnego w trakcie modlitwy. Jednak, kiedy zbliżał się koniec modłów, jego ręka zaczęła przesuwać się nieznacznie do przodu. A gdy wybrzmiało „amen”, mucha już była w niewoli. Zauważyła to jednak ciotka i natychmiast kazała wypuścić więźnia.

Pastor snuł swój monotony wywód w tak jednostajny i pozbawiony polotu sposób, że wiele głów zaczęło się kiwać, mimo iż wykład traktował o ogniu piekielnym i ograniczał liczbę osób zasługujących na zbawienie do tak znikomej, że prawie nie było kogo zbawiać. Tomek, jak zwykle, liczył strony kazania i po nabożeństwie wiedział dokładnie, ile ich było, rzadko natomiast wiedział, co zawierały. Jednak tym razem zainteresował się na jedną krótką chwilkę. Pastor bardzo poruszająco i wzniosłe zobrazował zgromadzonym schyłek tysiąclecia, kiedy to lew i cielę paść się będą wspólnie, dogładane przez małe dziecię. Tomek nie skupił się jednak na patosie, nauce i mądrości płynących z owego zjawiska, gdyż myślał jedynie o tym, jak wyjątkowo musiał czuć się bohater tej sytuacji: oczy wszystkich narodów skupione wyłącznie na nim. Twarz mu pojaśniała i pomyślał, że ogromnie by chciał być na miejscu tego chłopca, pod warunkiem oczywiście, że lew byłby oswojony.

Po chwili powrócił do swych mrocznych myśli, gdy tylko pastor wznowił nudną, suchą przemowę. Tomkowi przypomniało się właśnie o pewnym skarbie, który posiadał i natychmiast go wydobył. Był to pokaźny, czarny chrząszcz z potężnymi szczypcami, zwa-



Wypuszczenie
chrząszcza.

ny przez chłopca szczypawką. Siedział w pudełku po kapiszonach i pierwszą rzeczą, jaką zrobił, gdy tylko pudełko się otworzyło, było złapanie Tomka za palec. Odruchowa reakcja chłopca sprawiła, że żuk poturlał się na podłogę i wylądował na grzbiecie, a uszczypnięty palec powędrował do ust właściciela. Chrząszcz leżał na wznak, machając nogami i nie mogąc się przewrócić. Tomek odszukał owada wzrokiem i strasznie chciał go z powrotem, ale żuk znajdował się poza jego zasięgiem. Ludzie, znudzeni kazaniem, również przyglądali się chrząszczowi. Po chwili pojawił się zabłąkany pudel, nieco przygnębiony, znudzony letnim lenistwem i ciszą, zmęczony i szukający przygód. Zauważył żuka, natychmiast podniósł oklapły ogon i zaczął nim merdać. Przeprowadził inspekcję zdobyczy, obszedł ją dookoła, powąchał z bezpiecznej odległości, obszedł raz jeszcze, zebrał się na odwagę i znów powąchał. Uniósł wargę, ostrożnie kłapnął zębami, ale nie trafił. Potem jeszcze raz i jeszcze raz, bez skutku, ale wyraźnie mu się to spodobało. Położył się więc na brzuchu z chrząszczem między przednimi łapami i zabawił się dalej. W końcu pies się znudził. Łeb nieco mu opadł, a broda pomalutku zbliżała się do podłogi, aż w końcu dotknęła wroga, który natychmiast ją capnął. Rozległ się głośny skowyt, głowa pudła gwałtownie podskoczyła, a żuk przeleciał kilka metrów dalej i znów upadł na grzbiet. Widzący to z bliska zachichotali, kilka twarzy dyskretnie ukryło się za wachlarzami i chusteczkami, a Tomek był przeszczęśliwy. Pies wyglądał nieco głupkowato i pewnie tak też się czuł, ale jednocześnie był urażony i żądny zemsty. Podszedł więc znów do szczypawki i ponowił ostrożny atak, skacząc dookoła, pacając przednimi łapami tuż obok wroga, kłapiąc zębami coraz bliżej i bliżej i odrzucając łeb, aż uszy mu trzepotały. Ale po chwili znów się znudził. Próbował pobawić się z muchą, ale na niewiele się to zdało. Z nosem przy ziemi ruszył w pościg za mrówką i też się znudził. Ziewnął, westchnął i kompletnie zapomniawszy o chrząszczu... usiadł wprost na nim! Z dzikim skowytom bólu, pies pognął główną nawą. Wycie nie ustawało, szaleńczy bieg również. Pudel przebiegł w poprzek kościoła, skręcił w inną nawę, przeleciał koło drzwi, hałasując, wpadł na ostatnią prostą. Ból był coraz większy i po kościele z prędkością światła krążyła teraz puchata kula, ciągnąca za sobą jasną poświatę. W końcu nieszczęśnik skręcił i wpadł z impetem⁴ na kolana swego właściciela. Ten wyrzucił go przez okno, a rozpaczliwy skowyt wnet przycichł i wkrótce całkiem rozplynął się w oddali.

Cały kościół dusił się ze śmiechu i pastor zmuszony był przerwać swoje kazanie. Po chwili wznowił je, ale nie szło mu zbyt i nie miał większych szans na wywarcie jakiegokolwiek wrażenia na słuchaczach. Nawet po najbardziej podnio-

⁴ impet – siła rozpędu, szybkość

słych wywodach słyhać było w tylnych ławach stłumioną wesołość, jakby pastor powiedział właśnie coś niebywale śmiesznego. Z wielką ulgą przyjęto zatem zakończenie tej męki i końcowe błogosławieństwo.

Tomek Sawyer wracał do domu w dobrym nastroju, rozmyślając o tym, że jest nawet coś fajnego w tych świętych nabożeństwach, jeśli tylko wprowadzi się do nich odrobinę urozmaicenia. Jedno tylko nie dawało mu spokoju. Co prawda chciał, żeby pies drażnił się ze szczypawką, ale zabieranie jej na zawsze, nie było już w porządku.

ROZDZIAŁ VI

Poniedziałkowy poranek zastał Tomka Sawyera w podłym nastroju. Poniedziałkowy poranek zawsze znajdował go w takim nastroju, bo rozpoczynało się kolejne pasmo cierpień szkolnych. Zazwyczaj zaczynał ten dzień od narzekania, że w ogóle miał te dwa dni przerwy, bo przez to powrót do niewoli stawał się jeszcze bardziej nieznośny.

Leżał i myślał.

Fajnie by było, gdyby okazało się, że jest chory. Mógłby nie iść wtedy do szkoły. Pojawił się malutki promyk nadziei. Dokładnie przestudiował swój organizm... żadnej dolegliwości. Spróbował jeszcze raz. Tym razem wydawało mu się, że ma coś w rodzaju kolki i skupił się na tych objawach, jak najmocniej potrafił. Niestety, szybko zelżały, a w końcu zupełnie minęły. Szukał więc dalej. I nagle dokonał odkrycia! Ruszał się jeden z górnych przednich zębów! To było prawdziwe szczęście! Już miał rozpocząć pojękiwanie, kiedy zdał sobie sprawę, że jeśli wytoczy taki „dentystyczny” argument, ciotka na pewno ząb wyrwie, a to będzie bolało. Postanowił więc zostawić pomysł z zębem na zapas i szukać dalej. Przez chwilę nic się nie działo, aż nagle chłopiec przypomniał sobie, jak doktor opowiadał o czymś, co rozłożyło pacjenta na dwa czy trzy tygodnie i o mało nie zakończyło się amputacją palca. Natychmiast wydobył spod kołdry swój obtarty palec u nogi i dokonał dokładnych oględzin. Nie mógł sobie tylko przypomnieć, jakie powinny być objawy. Postanowił jednak spróbować, więc z wielkim zapalem zaczął pojękiwać.

Sid jednak spał jak zabity.

Tomek jęknął głośniejszy i wydawało mu się, że palec naprawdę zaczyna go boleć.

Sid wciąż nie reagował.

Tomek aż się zasapał od tego wysiłku, odetchnął chwilę, nadał się i wydał z siebie całą serię potężnych jęków.

Sid chrapał dalej.

Tomek był już zirytowany. Zawołał:

– Sid! Sid!

Potrząsał chłopcem. Poskutkowało, więc Tomek szybko wznowił jęki. Sid ziewnął, przeciągnął się, chrząkając, podniósł się na łokciu i spojrzął na Tomka. Ten wciąż jęczał. W końcu Sid powiedział:

– Tomek! Ej, Tomek!

Żadnej reakcji.

– No, Tomek! Tomek! Co jest?

Potrząsał nim, patrząc na chłopca z niepokojem.

Tomek wyjęczał:

– Aaa! Sid, nie szarp!

– Co ci jest? Tomek, o co chodzi? Zawołam ciocię!

– Nie, daj spokój. Może zaraz przejdzie. Nikogo nie wołaj.

– No, ale ja muszę. Nie jęcz tak, Tomek, to okropne! Jak długo tak masz?

– Parę godzin. Aua! Nie ruszaj! Sid, zabijesz mnie!

– Rety, Tomek, czemuś mnie wcześniej nie obudził? Przestań! Dostaję dreszczy, jak tego słucham! Co ci jest?

– Wybaczam ci wszystko, Sid. (jęk) Wszystko, co mi zrobiłeś. Kiedy mnie już nie będzie...

– Rany! Tomek, ty nie umierasz, co? Nie umieraj, no proszę! A może...

– Wszystkim wybaczam, Sid. (jęk) Powiedz im, Sid. Aha! I daj tę moją ramię od okna i jednookiego kota tej nowej dziewczynie w miasteczku. I powiedz jej...

Ale Sid już złapał ubranie i wyleciał z pokoju. Teraz to Tomek cierpiał naprawdę. Tak silnie działała jego wyobraźnia, że jego jęki zrobiły się naprawdę przejmujące.

Sid zbiegł pędem ze schodów i krzyknął:

– Ciociu, szybko! Tomek umiera!

– Umiera?

– No! Chodź! Szybko!

– Bzdura! Nie wierzę!

Mimo to popędziła na górę, a w ślad za nią Sid i Mary. Ciotka zbladła i wargi jej się trzęsły, a gdy dopadła do łóżka z trudem wysapała:

– Tomek, co z tobą?

– Och, ciociu, ja...

– Co się dzieje? Dziecko, co się stało?

– Ach, ciociu, mój palec... jest martwy!

Starsza pani opadła na krzesło, roześmiała się, potem rozplakała, a potem jedno i drugie razem. To ją otrzeźwiło i wnet powiedziała:

– Aleś mnie nastraszył! Przestań już się wygłupiać i wyskakuj z łóżka!

Jęki ustały, a ból zniknął. Chłopcu zrobiło się trochę nieswojo i powiedział:
– Ciociu, ale kiedy on naprawdę wyglądał jak martwy i tak bolał, że nawet o zębie zupełnie zapomniałem.

– A, teraz o zębie? A co z nim?

– Rusza się i strasznie boli.

– Dobrze, dobrze, tylko mi tu nie jęcz znowu. Otwórz buzię. No faktycznie, rusza się, ale od tego jeszcze nikt nie umarł. Mary, przynieś mi jedwabną nitkę i polano⁵ spod kuchni.

Tomek od razu zareagował:

– Och nie, ciociu! Nie wyrrywaj! Już nie boli... Niech skonam, jeśli boli. Ciociu, proszę, nie! Ja już nie chcę zostać dziś w domu.

– Ach, nie chcesz, tak? To o to chodziło! Myślałeś, że zostaniesz? I że czmychniesz na ryby, tak? Oj, Tomek, Tomek... Ja cię tak kocham, a ty robisz wszystko, żeby złamać moje stare serce tymi swoimi wybrykami.

W międzyczasie przygotowano wszystkie instrumenta dentystyczne. Jeden koniec nitki starsza pani przymocowała do Tomkowego zęba, a drugi do łóżka. Następnie złapała gorące polano i machnęła nim gwałtownie chłopakowi przed nosem, a ząb dyndał już na nitce przy łóżku...

Okazało się jednak, że wysiłki nie poszły na marne, bo w drodze do szkoły Tomek wzbudzał powszechną zazdrość u chłopców. A to dlatego, że przerwa między zębami sprawiła, iż posiadał on nową, niezwykłą umiejętność plucia. Tomek zgromadził okazałą publiczność zaciekawioną nowym talentem, a chłopak, który zaciął się w palec i był dotąd w centrum zainteresowania, został nagle pozbawiony swych zwolenników i obdarty z chwały. Z raną w sercu stwierdził więc z udawaną pogardą, że takie plucie to nic trudnego. Ale inny chłopak mruknął: „Zazdrościsz!” i zostawił pogrążonego bohatera w rozpacz.

Niedługo potem Tomek napotkał miejscowego wyrzutka, Huckleberry'ego Finna, syna lokalnego pijaka. Huckleberry był powszechnie nienawidzony i budził strach we wszystkich matkach w miasteczku, gdyż był leniem, awanturnikiem i złym, wulgarnym chłopcem, a także dlatego, że był obiektem podziwu wszystkich dzieci, które przepadały za jego zakazanym towarzystwem i chciały być takie, jak on. Z Tomkiem było podobnie: jak wszystkie porządne dzieci zazdrościł Huckleberry'emu życia wyrzutka i pod żadnym pozorem nie wolno mu było się z nim zadawać. Dlatego bawił się z nim, kiedy tylko nadarzała się ku temu okazja. Huckleberry ubierał się zawsze w znoszone łachy dorosłych facetów, które aż



**Huckleberry
Finn:**
Charakterystyka.

⁵ polano – kawał drewna przeznaczonego na opał

kwitły od brudu, były całe postrzępione i poprzecierane. Kapelusz był w stanie opłakanym, z wielką dziurą w rondzie; płaszcz, gdy go miał na sobie, zwiślał mu prawie do pięt, a guziki z tyłu znajdowały się nisko na plecach; spodnie, podtrzymywane jedną szelką, zwiślały mu luźno i nisko na siedzeniu, a postrzępione, niepodwinięte nogawki szorowały po ziemi.

Huckleberry chodził własnymi drogami. W ciepłe noce spał pod drzwiami różnych domów, a gdy padało, znajdował sobie puste beczki. Nie chodził ani do szkoły, ani do kościoła. Nie słuchał nikogo i nikt mu nie rozkazywał. Mógł sobie chodzić na ryby albo popływać, kiedy tylko i gdzie tylko chciał i mógł tam zostać, jak długo tylko chciał. Nikt nie zabraniał mu się bić i nie mówił mu, kiedy ma iść spać. Wiosną, zawsze, jako pierwszy, chodził bez butów, a jesienią, jako ostatni je zakładał. Nie musiał się myć ani zakładać czystych ciuchów. Potrafił niesamowicie kłąć. Mówiąc krótko, miał wszystko, czego trzeba do szczęśliwego życia. Tak przynajmniej myśleli wszyscy uciśnieni, utrapieni, porządni chłopcy w St. Petersburgu.

Tomek zawołał do romantycznego wykolejénca:

– Cześć, Huckleberry!



Dyskusja Tomka z Huckiem o sposobie leczenia kurzajek.

– No cześć. Patrz, co mam.

– A co to?

– Zdechły kot.

– Pokaż! O kurcze, całkiem sztywny! Skąd go masz?

– A, kupiłem od takiego jednego gościa.

– A co dałeś w zamian?

– Niebieską karteczkę i pęcherz z rzeźni.

– Skąd miałaś niebieską karteczkę?

– Odkupiłem dwa tygodnie temu od Bena Rogersa za patyk do hula-hoop.

– No, a po co ci zdechły kot, Huck?

– Po co? Do leczenia kurzajek.

– No coś ty! Serio? Znam lepszy sposób.

– Akurat! Że niby jaki?

– No, deszczówka prosto z pniaka.

– Deszczówka! A co mnie obchodzi jakaś deszczówka!

– A próbowałaś kiedyś?

– Nie, ja nie, ale Bob Tanner próbował.

– Skąd wiesz?

– Bo powiedział Jeffowi Thatcherowi, a Jeff Johnny'emu Bakerowi, a Johnny Jimowi Hollisowi, Jim Benowi Rogerowi, a Ben Murzynowi, a Murzyn mnie. Proste!

– No i co z tego? Kłamią wszyscy. A Murzyn to już na pewno. Nie znam go, ale nigdy nie spotkałem Murzyna, który by nie kłamał. A niech to! To jak ten

Bob Tanner to zrobił, Huck?

– No zwyczajnie. Wziął zanurzył rękę w spróchniałym pniu z deszczówką.

– W dzień?

– No pewno.

– Tak twarzą do pniaka?

– No. Chyba raczej.

– A mówił coś?

– Chyba nie. Nie wiem.

– No tak! Aż głupio nawet mówić o tak kretyńskim sposobie na kurzajki! Przecież to i tak nic nie da. Trzeba iść samemu do lasu, gdzie jest pniak z deszczówką. O północy opierasz się o pniak, wsadzasz rękę do środka i mówisz: „Ogień, woda, sól i pieprz, niech kurzajki zginą precz!”. A potem robisz szybko jedenaście kroków z zamkniętymi oczami, obracasz się trzy razy i idziesz do domu, nie odzywając się do nikogo. A jak się odezwiesz do kogokolwiek, to nici z zaklęcia.

– To całkiem dobrze brzmi, ale to nie jest ten sposób Boba Tannera.

– No, na pewno nie ten. On ma kurzajkę na kurzajce, a gdyby używał metody z deszczówką, to nie miałby ani jednej. Sam się w ten sposób pozbyłem mnóstwa kurzajek. Ja się ciągle bawię żabami i dlatego zawsze mam jakieś kurzajki. Czasami załatwiam je też fasolą.

– No, fasola też dobra. Próbowałem.

– Powaga? A jak to robisz?

– Przekrawasz fasolę, potem przecinasz kurzajkę, wyciskasz trochę krwi na półówkę fasoli i zakopujesz to wszystko o północy, w bezksiężycową noc, na rozstaju dróg, a resztę fasoli spalasz. No i ten kawałek fasoli z krwią ciągnie, i ciągnie i próbuje przyciągnąć do siebie ten drugi kawałek, i tak ta krew wyciąga całą kurzajkę, i ona potem szybko znika.

– Dokładnie tak, Huck. Dokładnie. Tylko, że jak zakopujesz, to najlepiej jest powiedzieć: „Niech fasola zginie, niech kurzajka zginie i każda następna niechaj mnie ominie!” Tak robi Joe Harper, a on był prawie w Coonville i w innych miejscach. Ale jak ty to robisz z tymi zdechłymi kotami?

– Bierzesz tego kota i idziesz koło północy na cmentarz, po tym jak pochowają tam jakiegoś zbrodniarza. O północy przychodzi diabeł albo dwa czy trzy, ale ty ich nie widzisz, tylko słyszysz jakby wiatr albo jak gadają. I jak oni zabierają tego gościa z grobu, to ciskasz za nimi tego kota i mówisz: „Diabeł za trupem, kot za diabłem, kurzajki za kotem, nie wracać z powrotem!” To załatwi KAŻDĄ kurzajkę.

– Nieźle. Próbowałeś kiedyś?

– Ja nie, ale babcia Hopkins mi opowiadała.

– Acha! To pewnie tak jest. Bo podobno ona jest czarownicą.

– No jasne, że jest. Ja to wiem! Zaczarowała kiedyś tatkę. Tatko sam tak mówi. Idzie sobie raz i widzi, jak ona próbuje go zaczarować. No to wziął kamień i gdyby się nie schyliła, to by w nią rąbnął. I tej samej nocy, po pijaku, złamał rękę.

– Co ty! Ale numer! A skąd wiedział, że chciała go zaczarować?

– On tam już swoje wie. Tatko mówi, że jak takie się na ciebie gapią bez przerwy, to czarują. A jak jeszcze coś mamroczą, to już w ogóle, bo one wtedy odmawiają „Ojcie Nasz” wspan.

– Huck, a kiedy będziesz próbował z tym kotem?

– Dzisiaj. Pewnie dzisiaj przyjdą po starego Hossa Williamsa.

– Ale jego zakopali w sobotę. To przecież by go zabrały od razu w sobotę, co nie?

– Głupoty gadasz! No przecież muszą go rozgrzebać do północy, a potem to już jest niedziela. Diabły to chyba nie pałętają się w niedzielę?

– No, racja. A mogę z tobą iść?

– Pewno... jeśli się nie boisz.

– Boję? A w życiu! To co, zamiauczysz?

– Dobra, ale odmiauknij, jak dasz radę. Bo ostatnim razem to tak miauczałem, że stary Hays zaczął walić kamieniami i wrzeszczeć: „Przeklęte kocisko!”. Aż mu posłałem cegłówkę przez okno, tylko gęba na kłódkę!

– Pewnie. Wtedy nie mogłem, bo ciotka mnie pilnowała, ale teraz odmiauknę.

A co tam masz?

– Zwykły kleszcz.

– Skąd go masz?

– Z lasu.

– A co chcesz za niego?

– Nie wiem. Nie chcę go sprzedawać.

– A zresztą, jakiś taki mały ten kleszcz...

– Cudzego kleszcza to łatwo krytykować. A mnie się podoba. Jest taki, jak trzeba.

– E tam! Tych kleszczy jest od groma. Jakbym chciał, to bym miał ich z tysiąc.

– No to czemu nie masz? Ja ci powiem czemu: bo nie możesz ich mieć. To jest bardzo wczesny kleszcz. Pierwszy w tym roku!

– Ej, Huck, a jakbym ci za niego dał mój ząb?

– Pokaż.

Tomek wydobył kawałeczek papieru i ostrożnie go rozwinął. Huckleberry zajrzał zaciekawiony. Pokusa była bardzo silna i w końcu zapytał:

– A prawdziwy?

Tomek pokazał mu szczerbę po zębie.

Huckleberry odparł:

– Niech będzie. Zgoda.

Tomek wsadził kleszcza do pudełeczka po kapiszonach, które do niedawna było więzieniem dla szczypawki i chłopcy rozstali się w poczuciu, że właśnie ubili świetny interes.

Gdy Tomek dotarł do niewielkiego budynku, w którym mieściła się szkoła, wmaszerował do środka tak dziarsko, jakby bardzo się spieszył. Odwiesił kapelusz na kołku i udając wielki pośpiech, klapnął na swoim miejscu. Nauczyciel, znużony monotonnym szmerem nauki, przysypiał na swoim wysokim krześle, ale wejście Tomka przerwało drzemkę:

– Tomaszu Sawyerze!

Tomek dobrze wiedział, że kiedy woła się go pełnym imieniem i nazwiskiem, oznacza to kłopoty.

– Tak, proszę pana?

– Chodź no tu. A teraz wyjaśnij mi, dlaczego znowu się spóźniłeś!

Tomek już miał uciec się do jakiegoś kłamstewka, gdy nagle zauważył dwa długie jasne warkoczki, które, tchnięty miłosnym impulsem, natychmiast rozpoznał. A w dodatku jedyne wolne miejsce w klasie znajdowało się właśnie po dziewczynskiej stronie, obok właścicielki warkoczy. Odparł bez wahania:

– Gadałem z Huckleberrym Finnem.

Nauczyciel zamarł w bezruchu i oniemiały patrzył na chłopca. Szmer nauki ucichł, a uczniowie zastanawiali się, czy ten oto straceniec całkiem postradał zmysły. W końcu nauczyciel się ocknął:

– Że co? Mówisz, że co robieś?

– Gadałem z Huckleberrym Finnem.

Nikt się nie przesłyszał.

– Tomaszu Sawyerze, to jest najbardziej zdumiewające usprawiedliwienie, jakie kiedykolwiek słyszałem. Nie wywiniesz się z tego. Zdejmuj marynarkę!

Ciężka ręka nauczyciela czyniła swoją powinność aż do zmęczenia, a zapas różg zdecydowanie się uszczuplił. W końcu Tomek usłyszał:

– A teraz, mój panie, siadaj z dziewczętami! I niech to będzie dla ciebie nauka.

Chichot, jaki rozległ się po klasie, nieco Tomka speszył, ale w gruncie rzeczy to jego skryte uczucie i podziw dla nieznanym oraz nieopisane szczęście sprawiły, że czuł się nieco zmieszany. Przysiadł na brzegu ławki, a dziewczynka odwróciła się od niego i odsunęła na drugi koniec. Szept, szturchańce i porozumiewawcze mrugnięcia kolegów nie robiły na Tomku żadnego wrażenia. Siedział grzecznie z rękoma na długiej ławce i udawał, że skupia się na czytaniu.

Po chwili zainteresowanie jego osobą zmalowało i znów dał się słyszeć znajomy szmer nauki. Tomek zaczął rzucać ukradkowe spojrzenia w kierunku nieznanym. Ta tylko wydeła usta i jeszcze bardziej odwróciła się od niego. Nie trwało to jednak długo



Ofiarowa-
nie brzoskwini
ukochanej.

i kiedy znów ostrożnie się odwróciła, dostrzegła leżącą przed nią brzoskwinę. Odepchnęła ją od siebie, ale Tomek delikatnie odłożył ją w to samo miejsce. Odepchnęła znów, ale jakby mniej gwałtownie. Tomek znowu umieścił ją bliżej dziewczynki. Tym razem brzoskwinia została na miejscu, więc nagryzłolił na swojej tabliczce: „Weź proszę, ja jeszcze mam.” Dziewczynka zerknęła, ale nic się nie wydarzyło. Tymczasem chłopiec zaczął rysować, zasłaniając dzieło lewą ręką, żeby nic nie było widać. Przez chwilę dziewczynka udawała, że nic jej to nie obchodzi, ale w końcu ciekawość wzięła górę i zerknęła niezauważalnie w stronę tabliczki. A Tomek, jakby nigdy nic, rysował dalej. Kiedy dziewczynka udawała, że zerka od niechcienia, on udawał, że tego nie widzi. Wreszcie nie wytrzymała i niepewnym głosem szepnęła:

– Daj zobaczyć.

Tomek odstłonił kawałek kompletnie nieudanej karykatury domku z dwiema szczytowymi ścianami i smużką dymu wylatującego z komina. Dziewczynka, już całkiem skupiona na rysunku, zapomniała o całym świecie. Gdy dzieło było skończone, przyjrzała mu się lepiej i szepnęła:

– Ładnie. A dorysuj ludzika.

Artysta malarz stworzył ludzika na podwórku. Tyle, że ludzik wyglądał trochę jak dźwig. Równie dobrze mógłby on przejść nad domem, ale dziewczynka nie była zbyt krytyczna. Wręcz przeciwnie – podobał jej się olbrzym. Szepnęła znów:

– Śliczny. Teraz narysuj mnie, jak idę.

Tomek nakreślił coś na kształt klepsydry opatrzonej księżycem w pełni, słomkowymi kończynami i rozcapierzonymi palcami przypominającymi wielki wachlarz. Dziewczynka wpadła w zachwyt:

– Łaaadnie! Chciałabym tak umieć.

– To łatwe – odparł Tomek po cichu. – Nauczę cię.

– Serio? A kiedy?

– W południe. Idziesz na obiad do domu?

– Jak ty zostaniesz, to ja też.

– Dobra, załatwione. A jak masz na imię?

– Becky Thatcher. A ty? A, no tak, Tomasz Sawyer.

– Za karę tak mnie nazywają. Jak jestem grzeczny, to jestem Tomek. Mów mi Tomek, dobra?

– Dobra.

Tomek znów zaczął tworzyć coś na swojej tabliczce, zasłaniając ją przed dziewczynką. Tym razem nawet nie próbowała udawać, że jej to nie interesuje. Bardzo chciała zobaczyć, ale Tomek stwierdził:

– A, to nic fajnego.

- A właśnie, że fajne!
- Wcale nie. Nie warto patrzeć.
- Warto! Ja chcę zobaczyć! No pokaż!
- Nie, bo ty powiesz panu.
- Wcale nie! Słowo daję, że nie!
- Nikomu nie powiesz? Nigdy, nigdy?
- Nikomu, nigdy! No pokaż!
- Eee, nie warto.
- No, nie rób tak! Sama sobie zobaczę!

Położyła swoją rękę na jego dłoni i wywiązała się mała przepychanka. Tomek udawał, że chowa tabliczkę, ale tak naprawdę pozwalał jej powoli odsłaniać wykaligrafowany napis: „Kocham cię”.

– Ty wstręciuchu! – szepnęła zmieszana i zarumieniona, acz wyraźnie zadowolona i trzepnęła go solidnie po ręce.

W tym samym momencie chłopak poczuł, jak na jego uchu wolno, ale zdecydowanie coś się zaciska i ciągnie go w górę. W ten oto sposób Tomek został przetransportowany na drugą stronę klasy i przy wtórze rehotu wszystkich dzieci, posadzony na dawnym miejscu. Nauczyciel stał nad nim jeszcze przez parę okropnie długich minut, a potem bez słowa wrócił na swój tron. A Tomek, pomimo piekącego ucha, był cały uradowany.

Po chwili, gdy uczniowie znów zagłębili się w nauce, on też próbował się skupić, jednak był zbyt podekscytowany. Na lekcji czytania szło mu tragicznie. Na geografii jeziora pozamieniał w góry, góry w rzeki, rzeki w kontynenty i na świecie znów zapanował jeden wielki chaos. Na dyktandzie zaś wyłożył się na dziecinnie prostych słówkach. W końcu musiał oddać cynowy medal, który dumnie nosił przez kilka ostatnich miesięcy.



Tomek Sawyer:
Wyznaje Becky
miłość.

ROZDZIAŁ VII

Im bardziej Tomek starał się skupić nad książką, tym większy rozgardiasz panował w jego głowie. W końcu, z głębokim westchnieniem i solidnym ziewnięciem, zarzucił czytanie. Zdawało się, że południowa przerwa nigdy się nie zaczyna. Powietrze było jakby kompletnie martwe, nawet najmniejszego podmuchu. To był najbardziej leniwy z leniwych dni. Senny, jednostajny pomruk dwudziestu pięciu pogrążonych w pracy uczniów jeszcze bardziej spowalniał myśli i działał niczym magiczne brzęczenie pszczół. W oddali wzgórze Cardiff, skąpane w słońcu, pyszniło się w zielonym welonie gorąca, lekko przesianym fioleto-

wym kolorem odległości. Na niebie kilka ptaków leniwie machało skrzydłami i była to jedyna, poza paroma krowami, oznaka życia. Tomek cały aż się wyrwał do tej wolności albo przynajmniej do jakiegoś ciekawego zajęcia, które pozwoliłoby mu zabić nudę. Ręka powędrowała do kieszeni i twarz chłopca natychmiast się rozpromieniła. Pudełko po kapiszonach ukradkiem wywędrowało z ukrycia. Mieszkaniec, w postaci kleszcza, został wypuszczony na długi blat ławki. Stworzonko najprawdopodobniej było zachwycone i wręcz wdzięczne swojemu wybawcy, ale nie na długo. Gdy zaczęło się radośnie oddalać, Tomek końcem szpilki odwrócił je i nakazał inny kierunek marszu.

Obok Tomka siedział jego najlepszy kumpel, który również cierpiał szkolne katusze, a teraz był żywo zainteresowany nową rozrywką. Tym kumplem był Joe Harper. Chłopcy byli oddanymi druhami przez cały tydzień, a w soboty zmieniali się w zaciekłych wrogów. Joe wyciągnął szpilkę z klapy swojej marynarki i przyłączył się do dręczenia więźnia. Zabawa od razu stała się znacznie ciekawsza. Wkrótce jednak Tomek doszedł do wniosku, że obaj z Joe przeszkadzają sobie nawzajem i żaden nie może w pełni nacieszyć się kleszczem. Położył więc tabliczkę Joego na ławce, narysował na niej linię przez środek i powiedział:

– Dobra, jak jest na twojej stronie, to możesz nim kierować, jak chcesz, a ja się trzymam z daleka, ale jak ucieknie ci na moją połowę, to musisz go zostawić w spokoju tak długo, aż znów nie przelezie przez linię.

– No dobra, to zaczynaj. Puść go...

Kleszcz szybko uciekł od Tomka i przekroczył granicę. Joe pastwił się nad nim przez dobrą chwilę, aż ten znowu zwiął i przelał przez linię. Te zmiany stron zdarzały się bardzo często. Podczas gdy jeden chłopiec całkiem pochłonięty był dręceniem kleszcza, drugi przyglądał się temu z wielkim zaciekawieniem. Głowy pochylone były nisko nad tabliczką i chłopcy zapomnieli o całym bożym świecie. W końcu Joe zaczął wyraźnie wygrywać. Kleszcz próbował różnych sposobów i wydawało się, że sam zaczął bawić się równie dobrze, jak oni, ale za każdym razem, gdy zdawało mu się, że zwycięstwo jest tuż, tuż, a Tomek już szykował się na swoją kolej, Joe znów zręcznie go obracał i nie pozwalał uciec. Wreszcie Tomek nie wytrzymał. Pokusa była zbyt silna, więc wyciągnął rękę ze szpilką. Joe się wściekł i prawie krzyknął:

– No, Tomek, zostaw go!

– Ja tylko chcę go trochę rozruszać, Joe.

– Nie ruszaj go! To niesprawiedliwe! Zostaw!

– Wielkie mi! Tylko trochę!

– A ja ci mówię, zostaw go!

– A nie!

– Tak! Jest po mojej stronie!

– Słuchaj no, a czyj to kleszcz, co?

– A co mnie to obchodzi czyj! Jest po mojej stronie linii, więc trzymaj łapy przy sobie!

– A nie będę! To mój kleszcz i mogę z nim robić, co mi się żywnie podoba!

Nagle coś potężnie trzepnęło Tomka po plecach. Taki sam los spotkał Joego, przez jakieś dwie minuty cała klasa miała niezły ubaw z tumanów kurzu, jakie unosily się z ich dwóch marynarek. Chłopcy byli tak pochłonięci swoją zabawą, że zupełnie nie zauważyli, jak w całej klasie zapadła kompletna cisza na chwilę przed tym, jak nauczyciel po cichutku podszedł i stanął tuż nad nimi. Przyglądał się temu przedstawieniu przez dobrą chwilę, zanim postanowił włączyć się do akcji.

Gdy wreszcie nadeszła południowa przerwa, Tomek podbiegł do Becky Thatcher i szepnął jej do ucha:

– Włóż czepek i udawaj, że idziesz do domu. A jak będziesz za rogiem, to wymknij się po cichu i wróć. Ja pójdę w drugą stronę i tak samo zwieję.

I tak oboje wyszli ze szkoły. Jedno z jedną grupą uczniów, drugie z drugą, ale już po chwili spotkali się na ścieżce i wrócili do szkoły, która była teraz całkiem pusta. Usiedli razem nad tabliczką. Tomek wręczył dziewczynce ołówek, przytrzymał jej dłoń, prowadząc ją po tabliczce i tworzył kolejny nietypowy domek. Kiedy rysowanie nieco im się znudziło, zaczęli rozmawiać. Tomek był niezmiernie szczęśliwy i tak nawiązał rozmowę:

– Lubisz szczury?

– Faj! Nie cierpię!

– No, ja też nie cierpię, ale żywych. A chodzi mi o zdechłe. Takie, co to można kręcić nad głową na sznurku.

– Nie, ja w ogóle nie lubię szczurów. Za to lubię gumę do żucia.

– Się wie! Szkoda, że nie mam żadnej.

– Nie? Ale ja mam trochę. Pozwolę ci trochę pożuć, ale potem musisz mi oddać.

Umowa została zawarta, więc żuli na zmianę, siedząc na ławce i leniwie maj-tając nogami.

– Byłaś kiedyś w cyrku? – zagadał Tomek.

– Mhm. Tata znowu mnie niedługo zabierze, jeśli będę grzeczna.

– Ja byłem trzy albo cztery razy. Dużo razy! Kościół to kicha przy cyrku. Tam się ciągle coś dzieje, a ja będę klaunem, jak dorosnę.

– Poważnie? Fajnie. Są tacy śliczni, cali w kropeczki...

– No! Zarabiają kupę forsy! Ben Rogers mi mówił, że nawet dolara dziennie! A słuchaj, byłaś kiedyś zareczona?

– A co to znaczy?

– No, zaręczona. Tak przed ślubem.
– Nie.
– A chciałybyś?
– Chyba tak. Nie wiem. A jak to się robi?
– Jak? Nic trudnego. Musisz po prostu powiedzieć chłopcu, że nie będziesz miała nigdy nikogo innego niż on, tak nigdy, przenigdy, a potem się całuje i już. Każdy tak może.

– Całuje? A to po co?
– No, żeby... ten... no, tak się robi!
– Zawsze?
– No, zawsze. Wszyscy tak robią, kiedy są zakochani. Pamiętasz, co ci napisałem na tabliczce?

– No... no, pamiętam.
– No to powiedz, co?
– O nie!
– Ja mam powiedzieć?
– No... no... tak, ale kiedy indziej.
– No nie. Teraz.
– Nie, teraz nie. Jutro.
– Właśnie że teraz. Proszę, Becky... Po cichu powiem. Nikt nie usłyszy.

Ponieważ dziewczynka się zawahała, Tomek natychmiast wziął to za dobrą monetę, objął ją ramieniem i wyszeptał tajemnicę prosto do ucha. A potem dodał:
– To teraz ty mi powiedz to samo.

Znów się zawahała i odparła:

– To się odwróć, żebyś nie patrzył. I nikomu masz nie mówić. Nie powiesz, tak?
– Nie, nikomu ani słowa. No, to mów.



Becky wyznaje Tomkowi miłość.

Odwrócił głowę, Becky pochyliła się speszona, aż Tomkowe loki poruszył jej oddech i szepnęła:

– Ko... cham... cię!

Następnie odskoczyła i puściła się pędem między ławkami, a Tomek za nią. Uciekła do kąta, przyciskając biały fartuszek do twarzy.

Tomek objął ją za szyję i poprosił:

– No i prawie po wszystkim, tylko jeszcze buziak. Nic się nie bój, to nic straszniego. No, proszę, Becky.

Pociągnął za fartuszek i za jej dłonie. W końcu dała za wygraną, opuściła ręce, a zarumieniona buzia wyłoniła się zza fartuszka i nie stawiała już oporu. Tomek pocałował ją w usta i powiedział:

– No i już. I teraz to wiesz, nie możesz nikogo innego kochać, tylko mnie i nie

możesz za nikogo wyjść za mąż, tylko za mnie. Nigdy, przenigdy. Tak?

– Tak, nikogo innego nie będę kochać, tylko ciebie i za nikogo nie wyjdę za mąż, tylko za ciebie. Ale ty też możesz się ożenić tylko ze mną.

– No pewnie. Jasne, że tak. O to właśnie chodzi. I zawsze, jak nikt nie patrzy, to idziesz do szkoły i do domu tylko ze mną. I tańczymy tylko ze sobą na zabawach, bo tak się robi, jak się jest zaręczonym.

– Fajnie! Nigdy o tym nie słyszałam.

– No, to bardzo fajne. Jak ja i Amy Lawrence...

Wielkie oczy dziewczynki uświadomiły Tomkowi, co zrobił. Zamilkł zmieszany.

– No wiesz co! To ty już byłeś kiedyś zaręczony?!

I wybuchnęła płaczem. Tomek starał się jakoś temu zaradzić:

– Nie płacz, Becky. Ona mnie już nic nie obchodzi.

– Nieprawda. Wiesz, że to nieprawda!

Chłopiec próbował objąć dziewczynkę ramieniem, ale go odtrąciła i odwróciła się do ściany, wciąż chlipiąc. Spróbował jeszcze raz, pocieszał słowami, ale wszystko na nic. W końcu duma wzięła górę i wyszedł. Stał przez chwilę na dworze, nie wiedząc, co począć. Spoglądał na drzwi w nadziei, że Becky zmięknie i wyjdzie go szukać. Nic z tego. Poczul się paskudnie i pomyślał, że chyba nie był w porządku. Walczył ze sobą, aż w końcu wrócił do klasy. Stała wciąż w kącie odwrócona do ściany i pochlipywała. Tomkowi pękało serce. Podszedł, stał przez chwilę i nie wiedział, co robić. Aż w końcu zdobył się na odwagę i powiedział niepewnym głosem:

– Becky, bo... bo mi tylko na tobie zależy.

Szloch.

– Becky – powiedział błagalnie. – Powiedz coś.

Jeszcze większy szloch.

Tomek wydobyl swój najcenniejszy skarb – mosiężną gałkę rusztu z kominka i podał dziewczynce, mówiąc:

– Proszę, weź.

Zrzuciła ją na podłogę. Tomek zaś wymaszerował ze szkoły i powędrował w siną dal. Tego dnia do szkoły już nie wrócił. Za to Becky zaczęła się martwić. Pobiegła do drzwi – nie było go. Wybiegła na podwórko – też nie ma. Zawołała:

– Tomek! Wracaj, Tomek!

Nastłuchiwała, ale nikt jej nie odpowiedział. Dookoła tylko cisza i samotność. Usiadła więc i znów zaczęła płakać i użalać się nad sobą. Uczniowie schodzili się na kolejną lekcję, więc musiała ukryć swoją rozpacz i złamane serce oraz wziąć na ramiona swój krzyż na całe długie, straszne, koszmarnie bolesne popołudnie.



Kłótnia
z Tomkiem.

Nie miała nikogo, komu mogłaby się wyżalić.

ROZDZIAŁ VIII



Tomek Sawyer:
Przeżycia
po rozsta-
niu z Becky.

Tomek wędrował tam i z powrotem po wąskich uliczkach, aż znalazł się w miejscu, gdzie z pewnością nie mógł natknąć się na wracających ze szkoły kolegów i puścił się szalonym pędem przed siebie. Przeskoczył kilkakrotnie mały strumyczek, bo, zgodnie z młodzięcym przesądem, przejście przez wodę udaremnia ewentualny pościg. Pół godziny później mijał posiadłość Douglasów na szczycie wzgórza Cardiff, a budynek szkoły w dolinie był już właściwie niewidoczny. Wszedł w gęsty las i brnąc przez zarośla, dotarł do jego centrum. Tam usiadł na mchu pod okazałym, rozłożystym dębem. Powietrze zdawało się stać w miejscu, nie było najmniejszego podmuchu; żar południa uciszył nawet ptactwo; przyroda zastygła w transie niezakłóconym przez żaden dźwięk poza sporadycznym, dalekim stukaniem dzięcioła sprawiającym, że cisza i pustka zdawały się być jeszcze bardziej przenikliwe i wszechobecne. Dusza chłopca przesiąknięta była melancholią, a jego uczucia zgrywały się idealnie z przyrodą wokół. Długo dumał z łokciami wspartymi na kolanach i brodą spoczywającą na dłoniach. Życie wydawało mu się być jednym wielkim pasmem kłopotów i zazdrościł niezmiernie niedawno uwolnionemu Jimmy'emu Hodgesowi. Jak to musi być cudownie, myślał, leżeć, spać sobie i śnić bez przerwy przy wtórze wiatru szumiącego w gałęziach drzew, pieszczącego lekkim powiewem nagrobne kwiatki. Zero trosk i smutków. Nigdy więcej. Gdyby tylko miał jasną sytuację ze szkółką niedzielną... Mógłby już teraz odejść na zawsze i mieć to wszystko z głowy. I jeszcze do tego ta dziewczyna. Co on takiego zrobił? Nic. Miał najszczerze zamiary, a potraktowano go jak psa, zwykłego psa. Jeszcze tego kiedyś pożałuje. A wtedy może być już za późno. Ach! Gdyby tak mógł umrzeć, tak, tylko na chwilę!



Tomek Sawyer:
Marzenia
o przyszłości
– zostaniu
żołnierzem,
Indianinem
lub piratem.

Młodziące serce nie może zbyt długo trwać w tym samym stanie, więc myśli Tomka zaczęły znów płynąć ku bolączkom doczesnego życia. A gdyby tak nagle zniknął bezpowrotnie? Gdyby tak odszedł daleko, daleko, na obce ziemie za morzami i nigdy nie wrócił? Ciekawe, jak by się wtedy czuła! Nagle przypomniał mu się pomysł z klaunem, który wydał mu się teraz odrażający: głupstwa, żarciki, nakrapiane rajtuzki były teraz obelgą dla duszy targanej romantycznym uniesieniem. Nie, zostanie żołnierzem. I wróci po latach z piętnem wojny wyciśniętym na twarzy, okryty dumą i chwa-

lą. Albo nie, lepiej przyłączy się do Indian. Będzie polował na bizona, walczył na górzystych i równinnych wojennych ścieżkach Dalekiego Zachodu. A potem powróci jako wielki wódz okryty piórami, w wojennych barwach i pewnego letniego poranka wmaszeruje do szkoły niedzielnej z mrozującym krew w żyłach wojennym okrzykiem i ujrzy, jak kolegom oczy zapłoną z niezmierzonej zazdrości. Albo nie! Było coś jeszcze lepszego! Będzie piratem! To jest to! Widział już oczyma duży swój misterny, zachwycający plan. Widział jasno i wyraźnie. Jak na dźwięk jego imienia truchleje cały świat! Jak mężnie przemierza bezkresne, wzburzone wody na swej smukłej, czarnej łodzi „Sztormowy Duch”, ze złowrogą flagą dumnie powiewającą na maszcie! Jak u szczytu swej sławy pojawi się nieoczekiwanie w miasteczku i wkroczy do kościoła opalony i osmagany wiatrem, w czarnym, aksamitnym kaftanie i spodniach, wysokich butach, ze szkarłatną szarfą, wielkimi pistoletami za pasem, wyszczerbioną w bojach piracką szablą u boku, kapeluszu ze spuszczonej rondem, z wpiętymi weń piórami, powiewając trupią czaszką i piszczelami na czarnej fladze i usłyszy gorączkowe szepty: „To pirat Tomek Sawyer! Czarny Mściciel Karaibów!”

Postanowione! Decyzja o przyszłej karierze podjęta! Ucieknij z domu i bądź piratem. Najlepiej już jutro, z samego rana. Musi więc już teraz rozpocząć przygotowania. Zbierze cały swój dobytek. Udał się od razu do spróchniałej kłody i zaczął kopać pod jednym końcem, używając swojego szczyryka – „prawdziwego Barłowa”. Już po chwili natrafił na kawałek drewna, które zagadało głuchym dźwiękiem. Tomek wsadził rękę do środka i uroczyście wypowiedział zaklęcie:

„Czego nie ma, niech przybędzie! A co jest, niech dalej będzie.”

Rozgarnął ziemię i odszukał sosnową deseczkę. Podniósł ją. Pod nią znajdował się mały, zgrabny schowek również zbudowany z deseczek. W środku leżała szklana kulka. Tomek nie mógł uwierzyć! Zakłopotany podrapał się w głowę i stwierdził:

– To już przesada!

Ze złością cisnął kulką daleko w zarośla i pograżył się w rozmyśleniach. Okazało się, że zawiódł największy pewnik wśród przesądów, w które tak wierzył wraz z kolegami. Jeśli przy wtórce odpowiednich zaklęć zakopie się kulka i nie będzie się jej ruszało przez dwa tygodnie, a potem odkopie się ją, używając tego samego zaklęcia, to odnajdzie się w tym miejscu wszystkie zgubione do tej pory kulki, które miały się do tego czasu wzajemnie odnaleźć, choćby dzieliły je nie wiadomo jakie odległości. A tu coś się najwyraźniej zepsuło. Cała wiara chłopca zachwiała się w posadach. Wiele razy już słyszał o tym, jak ten przesąd zadziałał, ale nigdy jeszcze nie słyszał, żeby NIE zadziałał. Nie przyszło mu jednak do głowy, że próbował już sam wielokrotnie to sprawdzić, ale nigdy nie mógł odnaleźć kryjówki. Dumął jeszcze przez chwilę, aż w końcu doszedł do wniosku, że to z pewnością

sprawka jakiejś czarownicy, która złamała zaklęcie. Postanowił upewnić się, że ma rację i znalazłszy mały, piaszczysty kawałek podłóża w kształcie lejka, położył się, przykładając usta blisko otworu i zawołał:

„Mrówkolwie, mrówkolwie, powiedz mi, co wiedzieć muszę! Mrówkolwie, mrówkolwie, powiedz mi, co wiedzieć muszę!”

Piasek poruszył się i na wierzch wylał mały, czarny robak, który czym prędzej czmychnął z powrotem pod ziemię.

– No i nic nie powiedział. Czyli jednak czarownica! Wiedziałem!

Tomek wiedział dobrze, że nie ma co zadzierać z czarownicą, więc niechętnie odpuścił. Nagle zdał sobie sprawę, że mógłby teraz mieć chociaż tę kulkę, którą przed chwilą wyrzucił i wnet rozpoczął mozolne poszukiwania. Kulki ani śladu. Wrócił więc do skrytki, ustawił się dokładnie tak, jak stał, rzucając ją, z kieszeni wydobyl drugą kulkę i rzucił ją w tym samym kierunku, mówiąc:

– Znajdź swój swego!

Uważnie patrzył, gdzie polecą kulki i poszedł w tamtym kierunku. Musiała jednak upaść bliżej albo polecieć dalej, więc spróbował jeszcze raz. Ta ostatnia próba okazała się skuteczna, bo znalazł dwie kulki leżące blisko siebie.

W tym momencie przez zielone leśne korytarze przedarł się daleki dźwięk blaszanej, dziecinnej trąbki. Tomek zrzucił marynarkę i spodnie, z szelki zrobił sobie pas, rozgarnął chaszczę za spróchniałą kłodą, wydobywając koślawy łuk wraz ze strzałą, drewniany miecz i blaszaną trąbkę. Chwycił wszystkie te dobra i bosko popędził przed siebie z powiewającą koszulą. Zatrzymał się dopiero pod okazałym wiązem, zadał w trąbkę i zaczął skradać się na palcach, uważnie rozglądając się na wszystkie



Tomek Sawyer:
Zabawa w Robin Hooda.

strony. Wyszpeptał do swoich wymaglinowanych towarzyszy:

– Czekajcie tu bracia w ukryciu, aż głos trąby was zawoła.

Po chwili pojawił się Joe Harper, przyodziany równie luzacko i uzbrojony równie wymyślnie jak Tomek, który wydał okrzyk:

– Stój! Kimżesz jesteś ty, który wkraczasz w las Sherwood bez mojego zezwolenia?

– Guy z Gisborne o zgodę pytać nie musi. A kimżesz ty jest, że... że...

– Mowa twa tak zuchwałą jest... – odpowiedział Tomek, ponieważ recytowali tekst jak należy.

– A kimżesz ty jest, że mowa twa tak zuchwałą jest?

– Istotnie! Jam Robin Hood, o czym twój mierny trup przekonać się niebawem zdoła!

– Tyś więc jest ten opryszek sławny w każdym grodzie? Chętnie zatem rozprawię się z tobą o prawo wstępu w te lasy. Broń się!

Dobyli drewnianych mieczy, resztę uzbrojenia rzucili na ziemię, przyjęli bo-

jowe postawy – stopa przy stopie – i rozpoczęli wielki, ostrożny pojedynek. Dwa kroki w przód, dwa w tył. Po chwili Tomek odezwał się pierwszy:

– Teraz, gdy już pojąłeś, mój panie, rusz się! Ino żwawo!

Ruszyli zatem „żwawo”, sapiąc i dysząc z wysiłku. Tomek krzychał raz po raz:

– Padnij! Padnij! No, czemu nie padasz?

– Nie padnę! Ty czemu nie padasz? Bardziej obrywasz.

– No i co z tego? Ja nie mogę upaść. Nie tak było w książce. Tam było tak: „Wtedy jednym potężnym ruchem ubił nieszczęsnego Guy'a z Gisborne”. To ty się masz obrócić, a ja cię wtedy łupnę w plecy.

Nie chciało być inaczej. Joe musiał się odwrócić, oberwać po plecach i paść.

– No, dobra – wydukał Joe, podnosząc się z ziemi. – To teraz ty musisz dać mi się zabić. Będzie po równo.

– Co? Nie mogę. Tego nie ma w książce.

– E tam! Bez sensu!

– No niech będzie, Joe. Możesz być braciszkiem Tuckiem albo Muchem, synem młynarza, i nakopać mi drągiem albo ja będę szeryfem z Nottingham, a ty na chwilę Robin Hoodem i mnie zabijesz.

To było zupełnie co innego, więc przygoda potoczyła się dalej. Potem Tomek znów był Robinem, któremu podstępna mniszka pozwoliła wykrwawiać się przez źle opatrzoną ranę. Aż w końcu Joe w roli całej bandy zrozpaczonych zbójców powłókł go smętnie za sobą, włożył mu jego łuk w słabowite dłonie i wtedy Tomek powiedział:

– Gdzie padnie ta strzała, tam pogrzebicie pocziwego Robin Hooda pod liściościwym drzewem.

Wypuścił strzałę, upadł bezładnie i prawie by umarł, gdyby nie wylądował na pokrzywie i nie wyskoczył w górę jak z procy, co trupowi nie przystoi zupełnie.

Chłopcy pozakładali ubrania, ukryli oręż i oddalili się, żalując, że nie ma już prawdziwych zbójców i zastanawiając się, co też współczesna cywilizacja może im oferować w zamian za tę niepowetowaną stratę. Stwierdzili zgodnie, że woleliby przez rok być zbójcami w lesie Sherwood niż prezydentem Stanów Zjednoczonych przez całe życie.

ROZDZIAŁ IX

Tego wieczoru o wpół do dziesiątej Tomek i Sid jak zwykle powędrowali do łóżek. Zmówili wieczorny pacierz i już po chwili Sid chrapał. Tomek zaś leżał rozbudzony i niecierpliwie wyczekiwał. Kiedy już wydawało mu się, że lada moment

zrobi się jasno, usłyszał, jak zegar wybija dziesiątą! Czarna rozpacz! Najchętniej wierciłby się nerwowo i rzucał na łóżku, ale bał się, że Sid się obudzi. Leżał więc bez ruchu i gapił się w ciemność. Dookoła panowała niewzruszona cisza. Jednak z czasem zaczęły się z niej wydobywać delikatne, prawie niesłyszalne dźwięki. A to zegar wydawał się tykać głośniejsze. A to znów belki tajemniczo zatrzeszczały. Schody lekko zaskrzypiały. Najwyraźniej duchy wyszły na przechadzkę. Z pokoju ciotki Polly dobiegało miarowe, przytłumione chrapanie. Po chwili do kakofonii⁶ dźwięków dołączyło jeszcze nieznośne cykanie świerszcza, którego najbardziej zmysłny łowca nie byłby w stanie zlokalizować. A jeszcze później upiorne stukanie kołatki w ścianę tuż przy łóżku przyprawiło Tomka o dreszcze – to znak, że czyjeś dni są policzone. Gdzieś z oddali dało się słyszeć wycie psa, a zaraz potem inny odpowiedział mu z jeszcze dalszej okolicy. Tomek męczył się straszliwie. W końcu czas jakby się zatrzymał i stała się wieczność. Chłopiec zaczął mimowolnie zasypiać. Zegar wybił jedenastą, ale tego Tomek już nie usłyszał. W ten półsen wkradło się także rzewne miauczenie przerwane nagle dźwiękiem otwieranego okna. Okrzyk: „Zjeżdżaj stąd, bydlaku!” i brzęk butelki rozbijającej się o ciociną drewnianą skutecznie obudził Tomka. Nie minęła minuta, a on już ubrany wyłaził przez okno i skradał się na czworakach wzdłuż gzymsu. Zamiauczał po drodze ostrożnie raz czy dwa, potem zeskoczył na dach drewniany i na ziemię. Czekał na niego Huckleberry Finn ze swoim zdechłym kotem. Chłopcy oddalili się i po chwili zniknęli w ciemnościach. Po półgodzinnej wędrówce przedzielali się przez cmentarne zarośla.



Wyprawa
z Huckiem
na cmentarz.

Był to niewielki cmentarz w starozachodnim stylu, położony na wzgórzu, jakieś półtorej mili od miasteczka. Otaczał go pokręcony płot, który raz zdawał się wybrzuszać na zewnątrz, a raz wciskać do środka cmentarza – nigdy za to nie stał prosto. Trawa i chwasty królowały na całym terenie, wszystkie stare grobowce były pozapadane, ani jedna nagrobna płyta nie leżała na swoim miejscu; poprzekrzywiane, zaokrąglone i nadgryzione przez robactwo tabliczki pochylały się, bezskutecznie szukając oparcia. „Świętej pamięci taki i taki” wymalowane niegdyś na tabliczkach było już całkiem niewidoczne na większości z nich, nawet w pełnym świetle.

Lekki wiatr zawodził pośród drzew, a Tomek obawiał się, że mogą to być duchy zmarłych narzekające na zakłócanie spokoju. Chłopcy mówili niewiele, a jeśli już, to tylko szeptem, gdyż późna pora i miejsce oraz przenikająca podniosłość chwili i cisza robiły na nich wrażenie. Odnaleźli świeżo usypany kopiec i ukryli się za trzema olbrzymimi wiązami rosnącymi niedaleko grobu.

⁶ kakofonia – nieprzyjemnie brzmiąca mieszanina dźwięków

Wyczekiwali w kompletnej ciszy przez, zdawałoby się, bardzo długi czas. Gdzieś daleko pohukiwała sowa i był to jedyny dźwięk w tej przerażającej ciszy. Tomka zaczęły dręczyć złowrogie myśli. Czuł, że musi rozpocząć jakąś rozmowę, więc wyszeptał:

– Hucky, a ty myślisz, że tym umarłakom to nie przeszkadza, że tu jesteśmy?

Huckleberry odparł:

– Sam chciałbym wiedzieć. Strasznie tu jakoś dziwnie, nie?

– No!

Na chwilę zapadła cisza, gdyż chłopcy rozmyślali nad tym, każdy z osobna. W końcu Tomek szepnął:

– A powiedz, myślisz, że Hoss Williams nas teraz słyszy?

– No pewnie! Jego duch to na pewno!

Tomek odczekał chwilę i znów się odezwał:

– Powinienem powiedzieć „pan Williams”. Ale ja nie miałem nic złego na myśli. Wszyscy mówią na niego Hoss.

– Jak się mówi o umarłakach, to lepiej uważać na słowa.

To nie była dobra wiadomość i rozmowa urwała się ponownie.

Nagle Tomek złapał towarzysza za rękę i wyszeptał:

– Ciii!

– Co jest?

Przyłgnęli do siebie z walącymi sercami.

– Ciii! Znowu! Słyszałeś?

– Aha!

– O, i znowu! Słyszysz?

– Jezu, Tomek, idą! Jak słowo daję, idą tu. Co robimy?

– Nie wiem. Myślisz, że nas zobaczą?

– Przecież one widzą w ciemnościach, tak jak koty. Po co myśmy tu leżli!

– Nie pękaj! Nie będą się przecież nas czepiać. Nic złego nie robimy, a jak będziemy zupełnie cicho, to może wcale nas nie zauważą.

– Spróbuję, ale... Jezu, cały się trzęsę.

– Słuchaj!

Pochylili się ku sobie i prawie wstrzymali oddech. Z dalekiego krańca cmentarza dobiegały przytłumione głosy.

– Patrz! Widzisz? – szepnął Tomek. – Co to?

– Diabelski ogień. To jest okropne!

Z ciemności wyłoniły się zamglone postaci niosące staroświecką, blaszaną latarnię, rzucającą na ziemię setki płamek światła. Huckleberry wyszeptał drżącym głosem:

– Diabły, na sto procent! Trzy! Tomek, już po nas! Umiesz się modlić?
– Spróbuję, ale nie bój się tak, nic nam nie zrobią. Aniele Boży, stróżu mój...
– Ciii!
– Huck, co jest?
– To ludzie! A na pewno jeden z nich. Ma głos starego Muffa Pottera.
– No coś ty, serio?
– Na bank! Nie wierć się. Za głupi jest, żeby nas zauważyć. Pewnie jak zwykle pijany, stary piernik!

– Dobra. Będę cicho. Zatrzymali się. Nie widzę ich. O, idą znowu. Ciepło, ciepło. I zimno. Znowu ciepło. Gorąco! I teraz ich widać. Ej, Huck, ja znam drugi głos, to Indianiec Joe.

– Faktycznie, to ten zbój. Mieszaniec jeden! Już wolałbym diabły. Ciekawe, po co tu przyleźli.

Nagle przestali szeptać, gdyż trzej mężczyźni stali teraz przy grobie, zaledwie kilka stóp od kryjówki chłopców.

– Jest – zabrzmiał trzeci głos, a jego właściciel uniósł latarnię, oświetlając twarz młodego doktora Robinsona.

Potter wraz z Indianinem Joe taszczyli coś na kształt noszy, a na nich parę łopat. Rzuciwszy wszystko na ziemię, zabrali się za rozkopywanie mogiły. Doktor postawił latarnię u szczytu grobowca, a sam usiadł, opierając się o drzewo. Był tak blisko, że chłopcy mogliby go dotknąć.

– No, jazda, panowie! – powiedział niskim głosem. – Zaraz nam tu księżyc wylezie.

Tamci jedynie coś odburknęli i kopali dalej. Przez chwilę słyszeć było tylko zgrzyt łopat odgarniających ziemię. Ten dźwięk był nadzwyczaj monotony. Nagle łopata natrafiła na deski, o czym dała znać tępym, drewnianym odgłosem. Po chwili dwaj mężczyźni wyciągnęli na wierzch trumnę. Podważyli wieko, wydobyli umarlaka i cisnęli nim bezbożnie na ziemię. Zza chmur wyjrzał księżyc, oświetlając pobladłe lico. Mężczyźni przygotowali nosze, na które wtaszczyli ciało, przykryli je kocem i przywiązali liną. Potter odciął zwisający kawałek liny okazałym scyzorykiem i rzekł:

– No, doktorzyno, parszywa robota zrobiona. Teraz wyskakuj z piątką, bo go tu zostawimy.

– Ot co! – przytaknął Indianin.

– Że jak? Co to ma być? – oburzył się doktor. – Chcieliście kasę z góry i dałem.

– No, taaak. I coś jeszcze zrobiłeś – odpowiedział Indianin, podchodząc do stojącego doktora. – Pięć lat temu przegnałeś mnie z kuchni twojego ojca, kiedym prosił o coś do jedzenia. I powiedziałaś, że mam się wynosić. Poprząsiłem ci,

że się z tobą policzę, choćby za sto lat, a twój ojciec wsadził mnie do pudła za szlajanie się. Myślałeś, że zapomniał? Nie na darmo płynie we mnie indiańska krew. Teraz cię dopadłem i to właśnie teraz mi zapłacisz!

Mówiąc te słowa, wymachiwał już doktorowi pięścią przed nosem. Ten zamachawszy się, powalił indiańskiego zbira na ziemię. Potter upuścił nóż i wrzasnął:

– Nie pozwalaj sobie!

Po chwili prali się z doktorem, ile wlezie, trując trawę i orząc obcasami w ziemi. Indianin Joe skoczył na równe nogi, chwycił Potterowy nóż i niczym kot skradał się wokół szamotaniny, czekając na dogodną okazję. Nagle doktor wyswobodził się z uchwytu, złapał ciężką deskę z grobu Williamsa i przygrzmocił nią Potterowi, aż ten zwał się na ziemię. W tej samej chwili kundlowaty Indianin dostrzegł swoją szansę i dźgnął młodego doktora prosto w serce. Ten zatoczył się i padł prawie na Pottera, obryzgując go krwią, a chmury jakby na komendę rozstały się i ukazały cały ten przerażający spektakl. Dwaj śmiertelnie przestraszeni chłopcy ziewali, co sił przez ciemności.



Zbrodnia
na cmentarzu.

Indianin Joe stał w świetle księżycy nad leżącymi i przyglądał im się przez chwilę. Doktor wybełkotał coś niezrozumiale, wydał przeciągłe westchnienie i wyzionął ducha. Mieszaniec wymamrotał:

– No to jesteśmy kwita. Do diabła z tobą!

Po czym obrabował umarlaka, włożył feralny nóż w otwartą prawą dłoń Pottera i usiadł na rozwartej trumnie. Po trzech czy pięciu minutach Potter zaczął pojękiwać i stękać. Podniósł zaciśniętą na nożu dłoń i natychmiast wypuścił go z obrzydzeniem. Potem usiadł, zepchnął z siebie trupa, i nic nie rozumiejąc, rozejrzał się wokół. Napotkał wzrok Joego.

– Jezu, Joe, jak to się stało? – wymamrotał.

– Paskudna sprawa – odparł Joe, ani drgnąwszy. – Po coś to zrobił?

– Ja? Ja tego nie zrobiłem!

– Słuchaj no! Gadanie nic tu nie da.

Potter zaczął się trząść i pobladł.

– Wydawało mi się, że trzeźwy już. Po kiego ja piłem dzisiaj? We łbie mi się kręci, gorzej niż przedtem. Mętlik mam, nic prawie nie pamiętam. Powiedz szczerze, stary, ale serio – jak to się stało? Przysięgam, przysięgam na wszystko, że ja nie chciałem... Joe, jak to było? Powiedz. To straszne! Taki młody i się dobrze zapowiadał...

– No to tak: szamotaliście się, a on trzasnął cię tą grobową deską, aż się rozplaszczyłeś. A potem się pozbierałeś i słaniając się, dorwałeś nóż i wbiłeś mu w chwilę, gdy rzucał się znów na ciebie. I tak leżałeś tu martwy jak kłoda, aż do teraz.

– Rany, nie wiedziałem, co robię! Niech skonam, jeśli łzę! To wszystko przez

whisky i te nerwy. Joe, ja w życiu żadnej broni nie używałem... Łąłem się, to prawda, ale bez broni! Wszyscy to wiedzą, Joe. Nie mów nikomu! Nie sypniesz, co? Joe, stary! Przecież zawsze cię lubiłem... Wstawiałem się za tobą, broniłem. Pamiętasz? Nie puścisz pary, Joe? Biedak padł na kolana przed okrutnym zabijaką, z rękoma złożonymi w błagalnym geście.

– Racja, zawsze byłeś równy gość dla mnie, Muffie Potter. Nie podłożę ci świni. Tak się nie robi.

– Och, Joe, jesteś aniołem! Nigdy ci tego nie zapomnę! – Potter zalał się łzami.

– Dość już tego, daj spokój. Nie ma czasu się mazać. Ty pójdziesz tędy, a ja tamtędy. No, ruszaj się i nie zostawiaj żadnych śladów.

Potter ruszył truchcikiem, ale wkrótce pędził, ile sił. Mieszaniec wymamrotał, spoglądając za nim:

– Jeżeli faktycznie jest tak otumaniony od rąbnienia dechą i we łbie szumi mu od rumu tak, jak na to wygląda, to na pewno długo nie przypomni sobie o nożu. A jak już sobie przypomni, to nie wróci tutaj sam. Tchórz!

Dwie czy trzy minuty później na ofiarę, owiniętego kocem trupa, otwartą trumnę i rozbebeszony grób patrzył już jedynie księżyc. Znowu zapadła kompletna cisza.

ROZDZIAŁ X

Chłopcy pędzili w kierunku miasteczka, z przerażenia nie mogąc wykrztusić ani jednego słowa. Co jakiś czas patrzyli ze strachem za siebie, czy przypadkiem ktoś ich nie śledzi. Każdy pniak na drodze wydawał się być człowiekiem, i to złym człowiekiem, a oni ze strachu wstrzymywali oddech. Gdy biegnąc przez zabudowania wokół miasteczka, słyszeli szczekanie zbudzonych psów, wydawało im się, że dostawali skrzydeł i biegli znacznie prędzej!

– Aby tylko dolecieć do starej garbarni! – wysapał Tomek. – Już nie mogę!

W odpowiedzi usłyszał tylko ciężkie dyszenie Huckleberry'ego. Wlepili wzrok w upatrzony cel ucieczki i uparcie biegli dalej. Byli coraz bliżej, aż w końcu łeb w łeb wpadli przez otwarte drzwi. Wykończeni, ale szczęśliwi, znaleźli schronienie w zaciszu ciemnego pomieszczenia. Powoli ich oddechy uspokoiły się i wtedy Tomek powiedział cicho:

– Huckleberry, co teraz?

– No, jeśli doktor Robinson umrze, to pewnie stryczek będzie.

– Myślisz?

– Ja to wiem, Tomek.

Tomek zadumał się przez chwilę, a potem rzekł:

- A kto powie? My?
- Co ty bredzisz? A jak Indianina jednak nie powieszą? Załatwi nas prędzej czy później. Jak nie!
- No, tak właśnie myślałem, Huck.
- Jeśli ktoś ma wyśpiewać, to tylko Muff Potter, jeśli jest na tyle głupi. Zwykle jest wystarczająco nاپity.

Tomek nie odpowiedział, bo zagłębił się w swoich myślach. Po chwili szepnął:

- Huck, ale Muff Potter nic nie wie. To jak powie?
- Czemu niby nie wie?
- Bo przecież oberwał solidnie, kiedy Indianin Joe to zrobił. Nic nie widział, pamiętasz? Nic nie wie, no nie?
- Niech to szlag! Masz rację!
- A poza tym, słuchaj, może on też wykorkował od tego łupnięcia!
- E, nie wydaje mi się. Był zalany, było widać, a poza tym on zawsze jest zalany. Jak ojciec sobie pochła, to możesz mu kościół zwalić na łeb i nic go nie ruszy. Sam tak mówi. I tak samo jest z Muffem Potterem. Ale jakby był całkiem trzeźwy, to pewnie by go załatwiło na cacy, tak myślę.

Po kolejnej chwili ciszy odezwał się Tomek:

- Hucku, ale na pewno nie sypniesz?
- Przecież nie możemy sypnąć, wiesz dobrze... Ten indiański diabeł utopiłby nas jak koty, gdybyśmy szepnęli choć słowo, a oni by go nie powiesili. Tomek, słuchaj, przysięgnijmy sobie. Tak trzeba. Że nie puścimy pary z gęby.

– Dobra! To najlepsze wyjście. Dawaj rękę i przysięgamy, że...

- No coś ty. To za mało na taką sprawę! To się nadaje do jakichś bzdetów dla dziewczyn. One i tak wygadają, jak się naburmuszają na siebie. A z taką sprawą to musi być na piśmie. Krwią.



Przysięga między Huckiem a Tomkiem spisana krwią.

Tomek nie wymyśliłby niczego lepszego. Kupił pomysł od razu. Był mroczny, straszny i idealnie pasował do pory, okoliczności i miejsca. Tomek wziął czystą, sosnową deseczkę, wyciągnął z kieszeni kawałek kadłuba jakiegoś statku i przy świetle księżycy, z mozołem, nabazgrał następujące zdanie, wtykając język między zęby, podczas rysowania kreski w dół i wysuwając go, kreśląc linię w górę:

*Huck Finn
i Tomek Sawyer przysięgają,
że nie puszczą pary z gęby
o tym i niechby
skonali marnie, gdyby
wygadali i niechby zgnili.*

Huckleberry był pełen podziwu dla Tomkowych umiejętności literackich i podniosłości języka. Natychmiast wydobyl z kłapy marynarki szpilkę i już miał przekłuć sobie skórę, gdy Tomek gwałtownie zawołał:

– Czekaj! Stój! To mosiądz. Może mieć patynę.

– A co to jest?

– Trucizna! Połknij trochę, to się przekonasz.

Tomek wyciągnął nitkę z jednej ze swoich igieł. Chłopcy kolejno wbili ją sobie w kciuk i wycisnęli po kropli krwi.

Po wielokrotnym wyciskaniu, Tomkowi udało się wypisać swoje inicjały za pomocą koniuszka palca służącego za pióro. Potem pokazał Huckleberry'emu, jak napisać H i F, i tak oto przysięga została zawarta. W atmosferze ponurej ceremonii i chmurnych zaklęć zakopali deseczkę w pobliżu ściany budynku. W ten sposób ich usta na zawsze pozostać miały zamknięte niewidzialną kłódką, a klucz od niej wyrzucony.

Przez otwór w przeciwniejszej ścianie wsunęła się niepostrzeżenie jakaś postać, ale chłopcy nie wiedzieli o jej istnieniu.

– Tomek, czy to znaczy, że nigdy nikomu nic nie powiemy? Nigdy? – wyszeptał Huckleberry.

– No jasne! Cokolwiek by się działo, siedzimy cicho. Inaczej będzie po nas! Przecież wiesz, nie?

– No, chyba tak.

Szeptali jeszcze przez chwilę. Nagle z zewnątrz dobiegło ich przeciągłe, smętne wycie psa – zaledwie dziesięć stóp od nich. Z przerażenia przypadli do siebie.

– O którego z nas chodzi? – wysapał Huckleberry.

– Nie mam pojęcia, wyjrzyj przez dziurę. Szybko!

– Ty wyjrzyj, Tomek!

– Ja nie mogę, nie mogę, Huck.

– No proszę cię, Tomek. O! Znowu!

– O, Jezu, dzięki Ci! – wyszeptał Tomek. – Ja znam ten głos. To Bull Harbison⁷.

– No, to po strachu. Mówię ci, Tomek, mało nie umarłem, myślałem już, że to jakiś przybłąda.

Pies zawył ponownie. Chłopcom znów serce stanęło.

– O rany! To nie jest Bull Harbison! – szepnął Huckleberry. – Wyjrzyj, Tomek!

Trzęsąc się ze strachu jak osika, Tomek przyłożył oko do szpary i prawie niesłyszalnym głosem powiedział:

– Matko, Huck! To JEST przybłąda!

⁷ Gdyby pan Harbison miał niewolnika o imieniu Bull, Tomek nazywałby go „Bull Harbisona”, ale syn lub pies o tym imieniu był określany jako „Bull Harbison” (przyj. autora).

– Szybko, Tomek! O co mu chodzi?
– On chyba ma na myśli nas obu, Huck. Razem tu siedzimy...
– Już po nas! Już ja dobrze wiem, gdzie trafię... Nagrzeczyłem tyle, że hej!
– O mamo! Tak to jest jak się zrywa z lekcji i robi wszystko, czego nie wolno. A mogłem być grzeczny, tak jak Sid, ale gdzie tam, w życiu! Ale jeśli wyjdę z tego, to przysięgam, że będę biegł do szkółki niedzielnej! – mówiąc to, Tomek pociągnął trochę nosem.

– Też mi coś! – odparł Huckleberry i też pociągnął nosem. – Aleś powiedział. Tomku Sawyer, ty to jesteś święty w porównaniu ze mną. O Jezuniu, Jezuniu, Jezuniu, gdybym tak miał chociaż połowę tych szans, co ty...

Tomek zamilkł, przestał szlochać i szepnął:

– Patrz, Hucku, patrz! On stoi do nas TYŁEM!

Uradowany Hucku spojrzał teraz na psa.

– A niech to! Faktycznie! A wcześniej jak stał?

– Tak samo. Ale ja, głupi, w ogóle o tym nie pomyślałem. Dobrze jest! Tylko teraz, o co jemu może chodzić?

Wycie ustało, a Tomek nadstawił uszu.

– Ciii! Co to? – wyszeptał.

– No, jakby chrząkanie świń. Nie, to ktoś chrapie, Tomek!

– Rzeczywiście! Ale gdzie, Huck?

– Chyba tam w drugim końcu. Tak mi się wydaje. Ojciec czasami tam sypiał, razem z tymi świniami. Ale on to tak chrapie, że się wszystko trzęsie dookoła. Właściwie to nie wydaje mi się, żeby się jeszcze pojawił w tych stronach.

Duch przygody znów wstąpił w chłopiące serca.

– Hucku, a pójdziesz ze mną, jak pójdę przodem?

– No, lepiej nie, bo to może być ten Indianin Joe!

Tomek aż struchlał, ale po chwili pokusa stała się nie do odparcia i chłopcy postanowili jednak spróbować, ustalwszy, że w razie, gdyby chrapanie ustało, wieją jak najdalej. Skradając się na palcach, poszli jeden za drugim, lecz gdy byli już jakieś pięć stóp od źródła pochrapywania, Tomek nadepnął na patyk, który złamał się z głośnym trzaskiem. Mężczyzna stęknął, poruszył się nieco, a jego twarz ukazała się w świetle księżyca. Był to Muff Potter. Gdy się poruszył, chłopcy zamarli w bezruchu i porzucili wszelką nadzieję, ale chwilę później cały strach ich opuścił. Po cichutku wymknęli się na zewnątrz, ostrożnie przechodząc przez dziurę w drewnianej ścianie. Zatrzymali się dopiero kawałek dalej, żeby się pożegnać. W nocnych ciemnościach ponownie rozległo się przeciągłe, grobowe niemal wycie! Chłopcy odwrócili się i zobaczyli psa przybłądę stojącego w odległości kilku stóp od Pottera. Co więcej, pies stał przodem do mężczyzny, z nosem

uniesionym ku niebu.

– O rany! To o niego chodzi! – jednocześnie wykrzyknęli chłopcy.

– A słuchaj, Tomek, podobno taki przybłąda był też koło domu Johnny’ego Millera około północy, jakieś dwa tygodnie temu. A potem jeszcze tej samej nocy przyleciał lelek, usiadł na poręczu i śpiewał. A przecież nikt tam jeszcze nie umarł.

– No, właśnie wiem. Ale może wcale nie musi umrzeć. Za to zaraz w następną niedzielę Gracie Miller paskudnie się poparzyła w kuchni, pamiętasz?

– No dobra, ale nie umarła. I jeszcze w dodatku ma się coraz lepiej.

– No, no. Pożyjemy, zobaczymy. Umrze, zobaczysz. Tak samo, jak Muff Potter. Tak Murzyni mówią, a oni to się znają na tych sprawach, Huck.

I tak chłopcy rozstali się w zamyśleniu.

Gdy Tomek wślizgiwał się przez okno do sypialni, noc właściwie już się kończyła. Bardzo ostrożnie zdjął ubranie i zasnął rad, że nikt nie wie o jego nocnych wędrówkach. Nie wiedział jednak, że Sid, który leciutko pochrapywał, tak naprawdę nie spał już od godziny.

Kiedy Tomek się obudził, Sida nie było już w pokoju. Światło na zewnątrz i ogólna atmosfera wskazywały, że było już całkiem późno, więc Tomek miał nie lada zagwozdkę⁸: czemu nikt go nie wołał i nie dręczył, aż wstanie, jak to zwykle bywało? To nie wróżyło niczego dobrego... W pięć minut ubrał się i zszedł na dół, wciąż zaspany i nieco obolały. Wszyscy siedzieli jeszcze przy stole, ale byli już po śniadaniu. Nikt na niego nie krzyczał, ale też nikt na niego nie patrzył. Cisza i powaga wiszące w powietrzu, przyprawiły serce delikwenta o drżenie. Usiadł przy stole i udawał wesołego, jednak strasznie trudno mu to przychodziło. Nikt się nie uśmiechał, nikt nic nie mówił, więc i on po chwili pograżył się w ciszy i swojej rozpacz.

Po śniadaniu ciotka wzięła go na stronę, a on ucieszył się, że teraz pewnie dostanie burę, ale tak się nie stało. Zapłakana ciotka pytała, jak mógł złamać jej sterrane życiem serce, a potem powiedziała mu, żeby robił tak dalej, rujnował sobie życie i wpędzał ją do grobu, bo ona już nie ma na niego siły. To było dużo gorsze niż lanie, a serce Tomka bolało od tego bardziej niż całe ciało. Płakał, błagał o wybaczenie, wciąż obiecywał poprawę, aż w końcu pozwolono mu odejść z wrazeniem, że uzyskał jedynie częściowe rozgrzeszenie i nieco zaufania.

Czuł się tak kiepsko, że nawet zapomniał zemścić się na Sidzie, którego pospieszna ucieczka przez tylną furtkę okazała się całkiem zbyteczna. Powłókł się do szkoły markotny i przybity. Nawet lanie, które oberwali za wcześniejsze wagary razem z Joe Harperem, przyjął z postawą kogoś, kto ma gorsze zmartwienia i zupełnie

⁸ zagwozdka – problem do rozwiązania

nie ma głowy do takich bzdur. Zajął swoje miejsce, oparł łokcie na ławce, głowę na dłoniach i tak gapił się pełnym bólu wzrokiem na ścianę. Cierpienie to było tak ogromne, że już większe być nie mogło. W pewnej chwili poczuł, że pod łokciem ma coś twardego. Przesunął się nieco i wdychając, sięgnął po twarde przedmiot. Zawinięty był on w papier, więc rozwinął go i wtedy westchnął jeszcze głośniejsze, a serce rozpękało się na kawałeczki! Była to mosiężna gałka rusztu od kominka!

Ta kropla przepelniła czarę goryczy.

ROZDZIAŁ XI

Okolo południa całe miasteczko niespodziewanie zelektryzowała potworna wiadomość. Telegraf, o którym nikt jeszcze wtedy nie słyszał, był całkiem zbędny, gdyż wieść przechodziła z ust do ust, z jednej grupy do drugiej, z domostwa do domostwa, z prędkością istic telegraficzną. Naturalnie, nauczyciel odwołał tego dnia szkolne zajęcia, zresztą gdyby tego nie zrobił, wszyscy na pewno mieliby mu to za złe.

Nieopodal zabitego mężczyzny odnaleziono zakrwawiony nóż, który ktoś zidentyfikował jako własność Muffa Pottera i tak historia roznosiła się dalej. Mówiło się, że któryś z mieszkańców widział, jak okolo pierwszej czy drugiej w nocy Potter mył się w strumyku i, że zauważony, natychmiast czmychnął. Dziwne to były okoliczności, a szczególnie fakt, że Potter się MYŁ, co raczej mu się nie zdarzało. Mówiono też, że przetrząsnięto już całe miasteczko w poszukiwaniu tego „mordercy” (opinia publiczna jest niezwykle sprawna w wybiórczym analizowaniu dowodów i ferowaniu wyroków), ale nigdzie nie było ani śladu winowajcy. Wszystkie drogi miasteczka obstawione były konnymi policjantami, a szeryf był „całkowicie przekonany”, że przed zmierzchem zbieg zostanie złapany.

Wszyscy mieszkańcy ciągnęli w kierunku cmentarza. Był wśród nich także Tomek, który zdążył już zapomnieć o swoim miłosnym zawodzie i maszerował z innymi, mimo że tak naprawdę wołał być wszędzie, tylko nie tam. Jakaś niezbadana, niepojęta siła ciągnęła go jednak na miejsce zbrodni. Gdy już tam doszedł, precisnął się przez tłum gapiów i znalazł bezpośrednio przy miejscu zdarzenia. Zdawało mu się, że od czasu, gdy był tam poprzednio, minęły całe wieki. Ktoś uszczypnął go w ramię, a gdy się odwrócił, napotkał wzrok Huckleberry’ego. Natychmiast jednocześnie spojrzeli w innym kierunku, zastanawiając się, czy ktokolwiek mógł zauważyć to ich porozumiewawcze spojrzenie. Inni zajęci byli jednak gadaniem i skupiali się na makabrycznym widoku.

– Biedaczysko!

– Taki młody był, biedak!

– A niech to będzie dobra nauczka dla tych cmentarnych hien!

– Muff Potter spotka się ze stryczkiem, jak tylko go znajdą!

Takie to uwagi padały z każdej strony, a pastor powiedział:

– Kara boska to była. Widzę w tym Jego rękę.

Tomek cały zadrzał z przerażenia, bo właśnie odnalazł w tłumie kamienną twarz Indianina Joe. W tym samym momencie tłum poruszył się i dały się słyszeć okrzyki:

– To on! To on! Idzie tu!

– Kto idzie? Kto? – odpowiedziało jakieś dwadzieścia głosów.

– Muff Potter!

– Patrzenie, zatrzymał się! Odwraca się! Nie dajcie mu nawiać!

Ludzie, siedzący na wysokich gałęziach drzew nad Tomkiem, mówili, że Potter nie wyglądał, jakby miał zamiar uciekać, raczej jakby był zakłopotany i zdezorientowany.

– Co za obrzydliwa bezczelność – zauważył jeden z gapiów. – Chciał się podkraść i w tajemnicy napawać swoim czynem. Raczej nie spodziewał się towarzystwa.

Tłum rozstąpił się, a środkiem przeszedł sam szeryf, ceremonialnie prowadząc za ramię Pottera. Biedaczysko wyglądał mizernie, a w oczach miał wielkie przerażenie. Kiedy stanął nad zamordowanym, zatrząsł się niczym porażony prądem i zakrywając twarz dłońmi, wybuchnął płaczem.

– Nie zrobiłem tego, przyjaciele – wyłkał. – Na wszystko przysięgam, nie zrobiłem.

– A kto cię oskarża? – odezwał się ktoś z tłumu.

To był celny strzał. Potter rozejrzał się bezradnie. Wypatrzył Indianina i wykrzyknął:

– Indianinie Joe, przecież obiecałeś, nigdy...

– Czy to twój nóż? – spytał szeryf, podstawiając mu pod nos zbrodnicze narzędzie.

Gdyby nie gapie, którzy go złapali i posadzili na ziemi, Potter padłby jak kłoda. Wreszcie odrzekł:

– Coś mi mówiło, że jeśli nie wrócę po...

Zatrząsł się, a potem zrezygnowany machnął zdrętwiałą ręką i powiedział:

– Powiedz im, Joe, powiedz. To i tak już nic nie da.

Huckleberry i Tom słuchali w osłupieniu jak ten perfidny kłamca bez zająknięcia przedstawia swoje zeznania. Byli przekonani, że lada moment dobry Bóg grzmotnie piorunem w tego łgarza i nie mogli się nadziwić, dlaczego jeszcze tego nie robi. Ale gdy ten skończył swą opowieść i nadal stał tam cały i zdrowy, mgliła się chęć złamania przysięgi i uratowania nieszczęsnego więźnia rozpierzchnęła się zupełnie. Byli teraz bowiem przekonani, że stojący przed nimi łotr zaprzędał się

diabłu, a zgoła nieroztropnym byłoby zadzierać z taką siłą.

– Czemuś nie zwiął? Po coś tu wracał? – rzucił ktoś z gapiów.

– Nie mogłem... nie mogłem – wydusił Potter. – Chciałem uciec, ale coś mi kazało przyjść właśnie tutaj.

I znów wybuchnął szlochem.

Parę minut później Indianin Joe z kamienną twarzą powtórzył swoje zeznanie pod przysięgą, a chłopcy widząc, że żaden piorun nadal go nie dosięga, byli już święcie przekonani, że musiał on faktycznie mieć jakieś konszachty z diabłem. Stał się teraz dla nich najbardziej niesłychanie i przerażająco interesującym zjawiskiem, jakie kiedykolwiek widzieli i wręcz nie mogli oderwać od niego wzroku.

Poprzysięgli sobie obserwować go nocą, gdy tylko będzie okazja, w nadziei, że uda im się ujrzeć diabła, jego upiornego władcę.

Indianin Joe pomógł umieścić ciało na wozie, który miał je zabrać, a wokół rozległy się szepty, że rana zaczęła nawet nieco krwawić! Chłopcy mieli nadzieję, iż ten zbieg okoliczności sprawi, że podejrzewania skierują się we właściwą stronę, ale zawiedli się mocno, gdyż wielu mówiło:

– Obok Muffa Pottera go przenosili, jak to się stało?

Przez tydzień Tomek nie mógł normalnie spać, bo mroczny sekret i dręczące wyrzuty sumienia dawały mu się we znaki. Pewnego ranka, przy śniadaniu, Sid powiedział do Tomka:

– Tak się wierzysz i gadasz przez sen, że prawie spać nie mogę.

Tomek zbladł i spuścił wzrok.

– To zły omen – powiedziała z powagą ciotka Polly. – Co cię trapi, Tomku?

– Nic. Nic chyba... – ale ręka trzęsa mu się tak bardzo, że rozlał kawę.

– I gadasz takie jakieś rzeczy – dodał Sid. – Wczoraj w nocy na przykład, mówiłeś „to krew, to krew, to właśnie krew!” I tak ciągle. I jeszcze „nie dręcz mnie, wszystko powiem!” Co powiesz? Co takiego możesz powiedzieć?

Tomkowi świat wirował przed oczami. Kto wie, co stałoby się później, gdyby nie nagłe olśnienie, które nawiedziło ciotkę Polly i która całkiem niechcący wybawiła Tomka z opresji, mówiąc:

– No tak! To przez to okrutne morderstwo. Mnie samej się to śni prawie co noc. Czasem śni mi się nawet, że ja to zrobiłam.

Mary wtrąciła, że też ma coś takiego i Sid wydawał się być ukontentowany. Tomek usunął się z pola widzenia tak szybko, jak się dało, a potem, narzekając przez tydzień na ból zęba, co noc związywał sobie szczęki bandażem. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że Sid każdej nocy bacznie go obserwował, a czasem zsuwał bandaż i wsparty na łokciu przysłuchiwał się pojękiwaniom, a potem na powrót nakładał opatrunek. Tomkowe męki zelzały z czasem, a że ból

zęba stał się wyjątkowo męczącym pomysłem, został wkrótce zarzucony. Jeśli nawet Sid rozumiał cokolwiek z nieskładnego mamrotania Tomka, to nikomu nie powiedział ani słowa.

Tomkowi wydawało się, że jego koledzy nigdy nie dadzą spokoju dochodzeniom w kwestii zdechłych kotów, co tylko powiększało jego męki. Sid natomiast zauważył, że Tomek nigdy nie grał w tych dochodzeniach swojej zwyczajowej roli sędziego, jak to miało miejsce przy każdym nowym przedsięwzięciu. Nie był też świadkiem, co też nie było normalne. Uwadze Sida nie uszło także to, że Tomek w ogóle był wyraźnie niechętny tym dochodzeniom i unikał ich, gdy tylko mógł. Sid głowił się nad tym, ale siedział cicho. Wkrótce te zabawy wyszły z mody, co przyniosło ulgę Tomkowemu udręczonemu sumieniu.

W tym ciężkim czasie, co parę dni korzystał z okazji, by podkraść się pod matki, okratowane okienko aresztu i przemycać „mordercy” różne niewielkie drobiazgi mające przynieść mu choć znikome pocieszenie. Areszt mieścił się w małej, ceglanej komórce stojącej na terenach bagiennych, na końcu miasteczka. Było to miejsce bez nadzoru, jako że go stosunkowo rzadko używano. Te małe podarki zdawały się koić sumienie Tomka.

Sami mieszkańcy miasteczka najchętniej wysmarowaliby Indianina Joe w smołę i wytarziali w pieprzu, a potem zafundowali przejażdżkę na drągu za obrabowywanie grobowców, ale strach przed tym złoczyńcą był na tyle wielki, że nikt nie odważył się zabrać za takie tortury i wkrótce zaniechano tego pomysłu. Tymczasem Indianin rozmyślnie rozpoczynał oba swoje zeznania od opisu bójki, nic nie wspominając o uprzednim plądrowaniu grobów. Uznano zatem, że lepiej będzie nie robić z tego wielkiej sprawy w sądzie.

ROZDZIAŁ XII

Jednym z powodów, dla których myśli Tomka nie zaprzętały już dręczące go sekrety było to, że znalazł sobie właśnie nowy problem. Becky Thatcher przestała chodzić do szkoły. Przez parę dni Tomek próbował unieść się honorem i dumą i starał się „gwizdać na to”, że jej nie ma, ale nie dał rady. Sterczał wieczorami pod jej domem, pogrążony w swym nieszczęściu. Dziewczynka była chora. A gdyby umarła?! To była bardzo niepokojąca myśl. Tomka już nic nie obchodziła jakaś tam wojna ani nawet piraci. Radość życia prysła i pozostała tylko męka. Kółko i patyk poszły w ką; nie były mu już potrzebne. Ciotka zaczęła się o niego martwić. Próbowała wszelkich sposobów, by mu pomóc. Była absolutnie zafascynowana wszelkimi



Ciocia Polly:
Naiwna, wierzy
w porady z ko-
lorowych pism.

cudownymi lekami, nowymi metodami przywracania i podtrzymywania zdrowia i niestrudzenie w tej dziedzinie eksperymentowała. Gdy tylko pojawiała się w tej materii coś nowego, natychmiast musiała to wypróbować; naturalnie nie na sobie, bo sama nigdy nie chorowała, ale na kimkolwiek, kto się tylko nawinął. Prenumerowała czasopismo „Zdrowie” i inne tego typu frenologiczne⁹ bzdety, a wiertne brednie, które tam znajdowała, działały na nią, jak woda na młyn. Cały ten chłam o tym, jak trzeba się wietrzyć, jak kłaść się spać, jak wstawać, co jeść, co pić, ile się gimnastykować, jaki mieć humor i jak się ubierać, były dla niej niczym *Biblia*. Nigdy jakoś nie zauważyła, że kolejne numery tych jej medycznych pisemek zwykle zalecały coś zupełnie odwrotnego niż poprzednie.

Ciotka była istotą prostoduszną, na wskroś uczciwą i łatwo było jej wiele wmówić. Zbierała te swoje szarłatańskie pisemka i medykamenty i tak uzbrojona podążała na białym rumaku „z piekłem depczącym jej po piętach”. Nie podejrzewała nigdy, że dla nieszczęsnych sąsiadów wcale nie jest kojącym aniołem ani balsamem z Gilead.

Najświeższa była wówczas metoda wody, a Tomkowa słabość była idealną okazją. Codziennie o świcie prowadziła go więc do drewnutni i wylewała nań całe morze zimnej wody, potem energicznie wycierała ręcznikiem ostrym jak pilnik, aż sam przypominał taki pilnik i zawiniętego w mokre prześcieradło układała pod kocami, aż wypocił z siebie duszę do cna i, jak to mawiał Tomek, „pojawiały się żółte plamy duszy na skórze”.

Jednakże chłopiec był coraz smętniejszy, bladszy i markotniejszy.

Ciotka wprowadziła więc gorące kąpiele, nasiadówki, prysznicze i zanurzania.

Chłopiec wciąż był posępny. Ciotka jęła wspomagać wodną kurację lekką dietą owsianą i plastrami na bąble. Przeliczyła sobie pojemność Tomka, jakby był jakimś dzbanem, i codziennie wtlaczała w niego swoje cudowne lekarstwa na wszystko.

Tomek już zdążył zobojętnieć na te przesładowania, co sprawiło ciotkę w wielkie osłupienie. Postanowiła za wszelką cenę wydobyć go z tego marazmu. Wtedy to właśnie, po raz pierwszy, usłyszała o „środku przeciwbólowym”. Za jednym zamachem zamówiła znaczną ilość i po wypróbowaniu „leku” na sobie, była wniebowzięta. Prawdziwy ogień, tylko że w płynie. Zarzuciła kurację wodną i całą resztę, a ogromne pokłady swej wiary ulokowała w „środku przeciwbólowym”. Zaaplikowała Tomkowi pełną łyżeczkę i niecierpliwie czekała na rezultaty. Jej zmartwienia wnet zniknęły, a w duszy znów zagościł spokój, gdyż „obojętność” została zażegnana. Nawet, gdyby rozpałiła pod nim ogień, nie uzyskalaby takiego efektu: Tomek na powrót był

⁹ frenologia – teoria, według której ukształtowanie czaszki człowieka ma wpływ na jego cechy i zdolności

żywo reagującym chłopcem!

Poczuł, że czas się przebudzić. Takie życie może i mogło być dość romantyczne, zważywszy na jego marny stan ducha, ale robiło się nie dość wzniósłe, ze zbyt dużą dozą przykrości. Kombinował zatem, jak by tu wybrnąć z tego stanu rzeczy i wpadł na pomysł, że poudaje, jak to cudownie działa na niego ów „środek przeciwbólowy”. Prosił o niego tak często, że stało się to nie do zniesienia i w końcu ciotka powiedziała, by brał go sobie sam i przestał zawracać jej głowę. Gdyby to chodziło o Sida, cieszyłaby się szczerze i bez żadnych podejrzeń, ale skoro to był Tomek, potajemnie sprawdzała butelkę. Okazało się, że mikstury faktycznie ubywa, ale starsza pani nie pomyślała o tym, że chłopiec leczył nią szparę w podłodze salonu.



Tomek Sawyer:
Upojenie kota
lekarstwem.

Pewnego dnia Tomek właśnie uzdrawiał ową szparę olejkami, gdy pojawił się ciociny żółty kot, mruczając i gapiąc się chciwie na łyżeczkę błagalnym wzrokiem. Tomek powiedział do kocura:

– Peter, nie prosz, jeśli nie jesteś pewien, że chcesz.

Ale Peter wyraźnie dał sygnał, że chce.

– Zastanów się dobrze.

Peter się dobrze zastanowił.

– Sam tego chciałeś, no to ci dam, bo nie jestem skąpiradło, ale jak ci nie będzie smakowało, to będzie to tylko twoja wina.

Peter się zgodził, więc Tomek otworzył mu pyszczek i wlał specyfik. Peter wyleciał parę jardów w górę, wydał jakiś przeraźliwy okrzyk wojenny i zaczął latać po całym pokoju, objając się o meble, zwalając doniczki i siejąc ogólne spustoszenie. Potem stanął na tylnych łapach i w radosnym upojeniu zaczął skakać z głową zadartą do góry, wydając z siebie niezwykle entuzjastyczne dźwięki. Po czym znów puścił się pędem przez cały dom, niszcząc wszystko, co stanęło mu na drodze. Ciotka Polly weszła właśnie w chwili, gdy kot wykonał kilka podwójnych koziołków, wydał finalny, triumfalny okrzyk i przeleciał przez otwarte okno, zabierając ze sobą pozostałe doniczki. Starszą panią wmurowało ze zdumienia i stała tak, patrząc znad okularów, podczas gdy Tomek związał się ze śmiechu na podłodze.



**Awantura
z ciocią.**

– A temu kotu to, co się porobiło, Tomku?

– Nie wiem, ciociu – wykrztusił, dławiąc śmiech.

– Coś takiego, w życiu czegoś podobnego nie widziałam. Co też mu odbiło?

– Naprawdę nie wiem, ciociu. Koty to tak mają, jak są w dobrym humorze.

– Czyżby? – w tym tonie głosu było coś zgoła niepokojącego...

– Tak, ciociu. No, przynajmniej tak mi się wydaje.

– Doprawdy?

– Mhm.

Tomek z niepokojem pomieszany z zaciekawieniem patrzył, jak starsza pani pochyla się. Zbyt późno zorientował się w jej zamiarach. Spod lambrekinu¹⁰ kanapy wystawała rączka wiadomej łyżeczki, którą ciotka Polly podniosła z podłogi. Tomek skrzywił się i spuścił wzrok. Ciotka chwyciła go, jak to miała w zwyczaju, za ucho i popukała go mocno w głowę swoim naparstkiem.

– No to słucham pana, co to biedne stworzenie zawiniło, żeby je tak traktować, co?

– Ale ja się nad nim zlitowałem, bo przecież on nie ma żadnej cioci...!

– Nie ma żadnej cioci! Gamoni ty jeden! Co ma ciocia do tego, hę?

– No dużo ma, bo jakby ciocię miał, to ona by go sama wyprażyła od środka! Tak by mu flaki wszystkie wysmażyła, jakby był człowiekiem!

Ciotkę Polly ruszyły nagle wyrzuty sumienia. To rzucało całkiem nowe światło na całą sprawę; skoro coś było okrutne w stosunku do kota, to mogło być równie okrutne w stosunku do chłopca. Ciotka zaczęła mięknąć i zrobiło jej się żal biedaczyska. Oczy jej zawilgotniały i położywszy dłoń na głowie chłopca, rzekła łagodnie:

– Tomciu, chciałam dla ciebie jak najlepiej. I widzisz, pomogło...

Tomek podniósł wzrok z ledwo dostrzegalną iskierką, przedzierającą się przez nader poważne spojrzenie.

– Wiem, ciociu. Ty chciałaś dla mnie jak najlepiej, a ja dla Petera. Jemu też pomogło. Nigdy nie widziałem, żeby tak latał...

– Oj, przestańże już, Tomku, zanim mnie znowu rozgniewasz. Spróbuj może, choć raz, dla odmiany, być grzecznym chłopcem. I już nie musisz brać tych lekarstw.

Tomek był w szkole przed czasem. Powszechnie zauważono, że ta przedziwna sytuacja zdarzała się ostatnio każdego dnia. Teraz, jak to ostatnio miał w zwyczaju, wystawał przy furtce szkolnej, zamiast bawić się z kolegami. Mówił, że się źle czuje i tak też wyglądał. Udawał, że patrzył wszędzie, tylko nie tam, gdzie naprawdę patrzył, na drogę. W oddali ukazał się Jeff Thatcher i twarz Tomka pojaśniała. Wpatrywał się przez chwilę, ale zaraz smętnie odwrócił się, zrezygnowany. Gdy Jeff był bliżej, Tomek zaczął go i ostrożnie nakierował rozmowę tak, by mogła pojawić się choćby najdrobniejsza wzmianka o Becky. Jednak gapowaty chłopaczyna nie połykał przynęty. Tomek wypatrywał i wypatrywał, każdą podrygującą na horyzoncie sukieneczkę witał z nadzieją, by potem zienawidzić jej właścicielkę, gdy tylko okazywało się, że nie była tą właściwą. W końcu sukieneczki przestały się pojawiać i Tomek pogrążył się w bezkresnym smutku.

¹⁰ lambrekin – marszczony lub ozdobnie wycinany pas tkaniny

Wszedł do pustej szkoły i usiadłszy w ławce, zatopił się w myślach. Przez furtkę przemknęła wówczas jeszcze jedna sukienka i wtedy serce Tomka aż podskoczyło z radości. Natychmiast wybiegł na zewnątrz i rozpoczął dziki, indiański taniec. Wrzeszczał, śmiał się, gonił chłopaków, skakał przez płot z narażeniem życia lub własnej kończyny, fikał koziołki, stawał na głowie. Robił wszystko, co tylko przyszło mu na myśl i jednocześnie co chwila zerkał ukradkiem, czy Becky wszystko widzi. Ale ona zdawała się niczego nie zauważać, wcale nie patrzyła. Czyżby było możliwe, że w ogóle go nie widziała? Przeniósł się więc ze swoimi popisami bliżej niej. Wydawał wojenne okrzyki, porwał jakąś chłopięcą czapkę i cisnął na dach szkoły, wpadł w grupkę chłopaków, rozganiając ich na wszystkie strony i padł jak długi tuż przed nosem dziewczynki, o mało jej nie przewracając. A ona odwróciła się, zadzierając głowę i rzekła:

– Phi! Niektórym to się wydaje, że są bardzo zabawni i wiecznie się popisują!

Policzki Tomka zapłonęły. Pozbierał się i cichaczem ulotnił, zdruzgotany i rozczarowany.

ROZDZIAŁ XIII

Klamka zapadła. Tomek stał się posępny i rozżalony. Twierdził, że był opuszczoną, nikomu niepotrzebną istotą, bez przyjaciół i że nikt go nie kocha. Gdyby tylko wiedzieli, do jakiego stanu go doprowadzili, zapewne byłoby im przykro. On tylko starał się robić to, co należy i żyć ze wszystkimi w zgodzie, a oni mu na to nie pozwalali. Skoro za wszelką cenę chcą się go pozbyć, proszę bardzo – niech zwałają winę na niego, czemu nie? Jakież miał prawo się skarżyć ten, którego opuścili przyjaciele? Tak, w końcu to oni go do tego zmusili, wstąpi na ścieżkę przestępczą. Nie miał innego wyjścia.

Był już dawno na ulicy Łąkowej, gdy szkolny dzwonek, rozpoczynający zajęcia, zabrzmiał cichuteńko w oddali. Myśl, że już nigdy, przenigdy nie usłyszysz tego znajomego dźwięku, przypawiła go o rozpaczliwy szloch. Ciężko mu było niezmiernie, ale przecież to oni zmusili go do tego kroku. Musiał pogodzić się ze swym losem wygnańca w daleki, oziębły świat, ale wybaczył im. Szloch stał się teraz jeszcze intensywniejszy.

Właśnie wtedy napotkał swego wiernego kompana, Joe Harpera, który nadchodził z chmurnym wzrokiem i sercem przepelnionym jakimś ponurym zamiarem. Najwyraźniej spotkały się „dwie jednomyślne dusze”. Wycierając twarz rękawem, Tomek wymamrotał coś o planie swej nieodwracalnej, dalekiej ucieczki z tego nieszczęsnego padołu oraz od domowego niezrozumienia i wyraził nadzieję, że Joe go nigdy nie zapomni.

Okazało się jednak, że Joe miał do niego dokładnie taką samą prośbę i właśnie dlatego go szukał. Matka przetrzepała mu skórę za wypicie jakiejś śmietanki, której tak naprawdę w ogóle nie tknął i nie wiedział, że istniała. Najwyraźniej miała go po dziurki w nosie i chciała, żeby się ulotnił, a skoro tak, to on nie miał innego wyjścia. Miał nadzieję, że będzie szczęśliwa i nigdy nie będzie żałowała, iż odeszła biedaczysko w bezduszny świat, na męki i śmierć.

Gdy chłopcy tak szli, wylewając swe żale, zawarli nową umowę, że zawsze będą się wspierać jak bracia i tylko kojąca śmierć zdoła ich rozdzielić. I tak zaczęli snuć swoje plany: Joe chciał, żeby zostali pustelnikami, którzy żywią się okruchami, mieszkają w ustronnej jaskini i pewnego dnia umrą z zimna, ubóstwa i żalości. Jednak, po wysłuchaniu pomysłu Tomka, zgodził się, że życie rzezimieszka niosło znacznie więcej niezwykłych przygód i również postanowił zostać piratem.

Trzy mile w dół od St. Petersburga, w miejscu, gdzie Missisipi miała niewiele ponad milę szerokości, znajdowała się długa, wąska, zalesiona wysepka zakończona pasmem piachu, która mogła stanowić idealną kryjówkę. Była niezamieszkała i leżała bliżej przeciwległego brzegu, tuż przy gęstym i praktycznie bezludnym lesie. Tak więc wybór padł właśnie na Wyspę Jacksona. Kto miał padać ofiarą ich piractwa, nie było w tej chwili istotne. Odszukali Huckleberry'ego Finna, który ochocho się do nich przyłączył, bo jemu było wszystko jedno, kim zostanie. Póki co, rozdzielili się, by później spotkać się w odludnym miejscu przy rzece, około dwóch mil od miasteczka, o ulubionej porze, to jest o północy. Znajdowała się tam niewielka tratwa, którą zamierzali porwać. Każdy miał przynieść haczyki i linki oraz takie zapasy, jakie uda mu się potajemnie wykraść pod osłoną nocy, jak na rozbójników przystało. Jeszcze przed zmrokiem zdołali rozkoszować się słodkim smakiem chwały, rozpowiadając wszem i wobec, że już niebawem miasteczko „czegoś się dowie”. Wszyscy ci, do których dotarła ta dziwna wiadomość, zostali pouczeni, by „milczeć i czekać”.

Około północy Tomek zjawił się uzbrojony w gotowaną szynkę i parę drobiazgów. Stał na niewielkiej skarpie wśród gęstych krzaków, tuż obok miejsca zbiórki. Niebo skrzyło się od gwiazd i panowała kompletna cisza. Groźna rzeka wyglądała niczym śpiący ocean. Tomek nasłuchiwał przez chwilę, ale nic nie zmąciło wszechobecnej ciszy. Gwizdnął cicho. Odpowiedź nadeszła gdzieś spod skarpy. Zagwizdał jeszcze dwukrotnie i znów otrzymał odpowiedź. Zabrzmiał czujny głos:

- Kto idzie?
- Tomek Sawyer, Czarny Mściciel Karaibów. A wy kto?
- Huck Finn, Czerwonoreki i Joe Harper, Postrach Mórz – to Tomek dobrał te imiona ze swoich ulubionych książek.
- Dobrze. Podajcie hasło.

Dwa ochryple głosy zgodnie wyszeptały złowieszcze słowo, prosto w niebezpieczną ciemność nocy:

– KREW!

Tomek zrzucił szynkę ze skarpy i sam też zeskokczył z pewnym uszczerbkiem na skórze i ubraniu. Istniała łatwa, wygodna ścieżka wzdłuż brzegu pod skarpą, ale nie zapewniała ona tak istotnych dla pirata przygód i czyhających nań niebezpieczeństw.

Postrach Mórz przyniósł kawał boczku i nieźle się namachał, taszcząc go całą drogę aż tutaj. Finn Czerwonoreki wykradł patelnię i nieco podsuszonego tytoniu oraz kilka kolb kukurydzy na fajki. Żaden pirat, poza nim, nie palił ani nie żuł tytoniu. Czarny Mściciel Karaibów słusznie zauważył, że na nic się to nie zda bez ognia, a o zapalkach nikt wtedy jeszcze nie słyszał. Jakies sto jardów w górę rzeki zauważyli dogasające ognisko żarzące się na wielkiej tratwie i podkradając się bezszelestnie, zaopatrzyli się w odpowiednie polano. Zrobili z tego całą przygodę. Co chwila szeptali: „Cicho!”. Zatrzymywali się nagle z palcami na ustach i podkradając się z rękoma zaciśniętymi na nieistniejących rękojeściach, ponuro szeptali rozkazy, że jeśli „wróg” tylko drgnie, „oberwie aż po rękojeść”, albowiem „trupcy siedzą cicho”. Wiedzieli doskonale, że ludzie z tratwy byli teraz w miasteczku na zakupach albo zabawiali się, jednak to nie był powód, żeby całej sprawy nie należało załatwić prawdziwie po piracku.

Chwilę potem odbili od brzegu, z Tomkiem, jako kapitanem, Huckiem z wiosłem na tyłach i Joe na dziobie. Tomek stał na śródokręciu z ponurą miną i założonymi rękoma. Cichym i surowym szeptem wydawał rozkazy:

– Ostrzyć kurs i na wiatr!

– Tak jest, kapitanie!

– Trzymaj, trzymaaaaj!

– Trzymam, kapitanie!

– Popuść nieco!

– Popuszczone, kapitanie!

Wobec tego, że chłopcy cały czas monotennie i równo płynęli z nurtem, te rozkazy wydawane były naturalnie jedynie dla formalności, gdyż w rzeczywistości zdawały się na nic.

– Jakie żagle tu mamy?

– Foki¹¹, topsle¹² i latacze¹³, kapitanie.

¹¹ fok – najniższy żagiel na maszcie przednim

¹² topsel – górny skośny żagiel

¹³ latacz – trójkątny żagiel

- Sześciu na pokład! Grotstenga¹⁴ w górę! Ruszać się!
- Tak jest, kapitanie!
- Grotbramstensztaksel¹⁵ odrefować¹⁶! Szoty¹⁷ i brasy¹⁸! Z życiem panowie!
- Tak jest, kapitanie!
- Ster na zawietrzną! Na lewą! Trzymać mocno! Lewa, lewa! Uwaga, teraz, panowie! Z życiem! Trzymaaaaj!
- Trzymam, kapitanie!

Tratwa płynęła przez środek rzeki. Chłopcy ustawili ją nieco w prawo i odłożyli wiosła. Poziom wody nie był zbyt wysoki, a prąd nie silniejszy niż dwie, trzy mile na godzinę. Kolejne trzy kwadransy minęły praktycznie bez słów. Tratwa przepływała teraz na wysokości oddalonego miasteczka, które wyznaczały dwa czy trzy migoczące światełka. Śpiąca spokojnie za rozległym, rozgwieżdżonym pasem wody, mieścina, była zupełnie nieświadoma niezwykłych wydarzeń, które właśnie się rozgrywały. Czarny Mściciel stał nieruchomo z założonymi rękoma, „rzucając ostatnie spojrzenie” na miejsce będące świadkiem jego niedawnych radości, a potem cierpienia i niedoli, i żałował, że ONA go teraz nie widzi. Nie widzi, jak płynie po wzburzonym morzu, jak jego nieustraszone serce staje oko w oko z niebezpieczeństwem i śmiercią, jak nieubłagane zbliża się do swego przeznaczenia z ponurym uśmiechem na ustach.

Niewielkim wysiłkiem Tomkowa wyobraźnia pozbyła się widoku Wyspy Jacksona i teraz „rzucił on swe ostatnie spojrzenie”, a w sercu ból przeplatał się z zadowoleniem. Pozostali piraci także rzucali ostatnie spojrzenia i tak długo to rzucanie trwało, że prąd prawie zniósł ich z kursu na wyspę. Ocknęli się jednak w porę i uniknęli zagłady. Około drugiej w nocy tratwa przybiła do brzegu wyspy i chłopcy musieli zrobić parę kursów w tę i z powrotem, by wyładować cały ładunek. Częścią wyposażenia niewielkiej tratwy był stary żagiel, który teraz miał zawisnąć między zaroślami i tworzyć coś w rodzaju namiotu skrywającego prowiant. Oni sami, jak prawdziwi zbójcy, w pogodnej nocy spać mieli pod gołym niebem.

Miejsce na ognisko znaleźli przy wielkim, zwałonym pniu około dwudziestu czy trzydziestu kroków w głąb ponurego lasu. Tam, na patelni, usmażyli boczek na kolację i pozbyli się również połowy zapasów kukurydzianego chleba. Wspólnie było ucztować wśród dzikiej przyrody, w dziewiczym lesie, na niezbadanej

¹⁴ grotstenga – przedłużenie kolumny masztu

¹⁵ grotbramstensztaksel – żagiel główny

¹⁶ odrefować – zmniejszyć powierzchnię żagla podczas silnego wiatru

¹⁷ szoty – lina służąca do manewrowania żaglem

¹⁸ bras – lina służąca do manewrowania żaglami w płaszczyźnie poziomej

i bezludnej wyspie, z dala od osad ludzkich. Postanowili zgodnie, że już nigdy nie powrócą na łono cywilizacji. Tańczące płomienie oświetlały ich twarze i kładły się czerwoną poświatą na kolumnę z pniaków tworzącą ich leśną świątynię, na połyskujące liście i zwisające girlandy pnączy.

Kiedy zniknął ostatni chrupiący kawałek boczkusa i ostatni przydział chleba został żarłocznie pochłonięty, zadowoleni wyciągnęli się na trawie. Mogli poszukać sobie jakiegoś chłodniejszego miejsca, ale nie potrafili pozbawić się tej romantycznej okazji leżenia przy trzaskającym ognisku.

– Fajnie, co? – odezwał się Joe.

– Super! – odparł Tomek. – Ciekawe, co by chłopaki powiedzieli, gdyby nas teraz mogli zobaczyć.

– Pewnie by się pozabijali, żeby móc tu być, nie Hucku?

– No, tak myślę – odpowiedział Huckleberry. – Mnie jest dobrze! Więcej nic nie chcę. Zwykle nie mam dużo do zarcia, a tu to przynajmniej nikt się człowieka nie czepia i się nie wyżywa.

– Takie życie mi odpowiada – zgodził się Tomek. – Wstawać rano nie trzeba, do szkoły chodzić, myć się i robić tych wszystkich bzdetnych rzeczy. Bo pirat to nic nie musi robić, jak jest na łodzi, wiesz Joe? A pustelnik to musi się ciągle modlić i w ogóle, co to za frajda, jak się jest ciągle samemu!

– No, to fakt – odparł Joe. – Nie pomyślałem o tym. Ale teraz to już wiem na sto procent, że wolę być piratem!

– Bo widzisz – ciągnął Tomek – ludzie to nie zwracają teraz uwagi na pustelników tak, jak to kiedyś było. A pirata zawsze będą szanować. I pustelnik to musi spać na najtwardszym miejscu, jakie tylko znajdzie, i musi nosić włosienicę¹⁹, i sypać głowę popiołem, i wystawać w deszczu, i...

– A po co mu włosienica i ten popiół na głowie? – spytał Huck.

– A nie wiem. Ale oni tak muszą. Pustelnicy tak robią. I ty też byś musiał, jakbyś był pustelnikiem.

– A w życiu! – wzdrygnął się Huck.

– No, a co byś zrobił?

– Nie wiem. Ale na pewno bym tak nie robił.

– No, ale musiałbyś, Huck. Jakbyś tego uniknął?

– Nie wytrzymałbym i bym nawiał.

– Nawiał! No to całkiem niezły byłby z ciebie pustelnik. Pośmiewisko, jak nie wiem co.

Czerwonoreki już się nie odezwał, bo miał lepsze zajęcie. Skończył właśnie

¹⁹ włosienica – szorstka szata noszona w celu odprawienia pokuty

dłubać w kolbie kukurydzy, przymocował do niej jakiś kijek, zapakował tytoń i wciskał do środka kawałek węgla, wydmuchując przy tym kłęby pachnącego dymu. Cały rozanielony, był teraz w siódmym niebie. Pozostali piraci zazdrościli mu tego niesłychanego występku i postanowili w duchu, że wkrótce sami przyswoją tę sztukę. Po chwili Huck spytał:

– A co piraci muszą robić?

Tomek odezwał się pierwszy:

– Piraci się po prostu świetnie bawią: porywają statki i palą je, łupią kasę i zakopują w straszliwych miejscach na swojej wyspie, gdzie pilnują jej duchy i inne takie. Wszystkich na statkach skazują na śmierć, każąc im chodzić po desce wiszącej za burzą.

– A na wyspę zabierają kobiety, bo kobiet nie zabijają – dopowiedział Joe.

– No – zgodził się Tomek. – Kobiet nie zabijają. Piraci są na to zbyt szlachetni. A poza tym kobiety są zawsze wyjątkowo piękne.

– A jakie czaderskie ciuchy noszą! Powaga! Samo złoto, srebro i brylanty! – ochocho dodał Joe.

– Kto nosi? – zapytał Huck.

– No, piraci!

Huck ze smutkiem przyjrzał się swojemu odzieniu.

– No, to chyba nie jestem najlepiej ubrany, jak na pirata – zauważył z gorzkim żalem w głosie. – Ale nic innego nie mam.

Chłopcy powiedzieli mu jednak, że jak tylko zaczną swoje pirackie poczynania, pojawią się też odpowiednie ubrania. Wy tłumaczyli mu, że obecne odzienie nadaje się na początek, chociaż zwykle zamożni piraci rozpoczynają swoje przygody ubrani tak, jak należy.

Rozmowa wkrótce przycichła, a pod powieki małych uciekinierów zaczęła wdzierać się senność. Z rąk Czerwonorękiego wysunęła się fajka, a on sam, zmęczony, usnął snem sprawiedliwych. Postrach Mórz i Czarny Mściciel Karaibów nie mogli tak łatwo zasnąć. Leżąc, po cichu odmówili pacierz, bo nie było nikogo, kto każałby im uklęknąć i wyrecytować go na głos. Tak naprawdę, to przyszło im do głowy, żeby wcale go nie odmawiać, ale w końcu doszli do wniosku, że może jednak lepiej to zrobić, bo jeszcze ściągną na siebie jakiś grom z jasnego nieba. Potem, niemal natychmiast, znaleźli się na progu snu, gdy nagle pojawił się intruz, który ani myślał pozwolić im spać. To sumienie. Zaczęło się od nieśmiałej myśli, że źle zrobili, uciekając z domu, a potem świadomość skradzionego prowiantu sprowadziła na nich prawdziwe męki. Próbowali się tłumaczyć, że przecież nie raz podkradali smakołyki i jabłka, ale sumienie nie dało się zbyć taką tanią gadką. W końcu musieli pogodzić się z niewygodną prawdą, że o ile zdoby-

wanie słodkości było jedynie podkradaniem, to zabieranie boczku, szynki i tym podobnych rzeczy było już najzwyczajszą kradzieżą, a TO podlegało już przykazanemu biblijnemu. Obiecali więc sobie w duchu, że tak długo, jak będą rozkręcać swój piracki interes, już nikt nie będzie mógł zarzucić im kradzieży. Sumienie ogłosiło rozejm i wkrótce niezbyt konsekwentni piraci zapadli w błogi sen.

ROZDZIAŁ XIV

Następnego ranka Tomek zastanawiał się, gdzie tak właściwie jest. Usiadłszy, przetarł oczy, zaczął się rozglądać i wtedy zrozumiał. Był rzeński, szarawy świt, a las przepelniony głęboką, przenikliwą ciszą tworzył wyśmienity nastrój spokoju i błogości. Nie poruszał się ani jeden listek, ani jeden dźwięk nie mącił wielkiego skupienia Matki Natury. Krople rosy, niczym koraliki, tkwiły na powierzchni liści i traw. Ognisko pokrywała biała warstewka popiołu, a z niego wzbijała się cieniutka smużka niebieskiego dymu. Joe i Huck wciąż spali.

Gdzieś w oddali odezwał się jakiś ptak, potem kolejny, a jeszcze później dołączyło do nich miarowe stukanie dzięcioła. Szarość poranka powoli bieląła, leśnych odgłosów przybywało z każdą chwilą – zaczynało się życie. Przed oczyma zadumanego chłopca natura strząsała ostatki snu i zabierała się do roboty. Po zroszonym liściu pełzała mała, zielona liszka, co rusz unosząc dwie trzecie swojego ciała i „węsząc” dookoła. I potem znowu. Tomek twierdził, że robiła pomiary. Gdy robaczek dobrowolnie podpełznął bliżej niego, chłopiec nawet nie drgnął, a jego nadzieje rosły i malały w zależności od tego, czy liszka szła w jego kierunku, czy też zdawała się obierać inną ścieżkę. Nie posiadał się z radości, gdy w końcu, po ostatnim męczącym wygięciu ciała, postanowiła ostatecznie wdrapać mu się na nogę i maszerować po nim. Oznaczało to bowiem, że już wkrótce będzie miał całkiem nowe ubranie: bajecznie kolorowe, pirackie wdzianko. Następnie, nie wiadomo skąd, pojawiła się cała parada mrówek i natychmiast zabrała się do pracy. Jedna mężnie zmagiała się z pięć razy większym od niej samej zdechłym pajakiem i taszczyła go w górę pnia. Na czubku chyboczącego się źdźbła trawy przysiadła brązowo nakrapiana biedronka. Tomek pochylił się nad nią i powiedział: „Biedroneczko, biedroneczko, leć do domu. Dom się pali, dziatwy same tam zostały”. Biedronka rozpostarła skrzydełka i odleciała sprawdzić przepowiednię. Tomek nie był zbyt zaskoczony, gdyż wiedział, że owad ten bywa wyjątkowo naiwny w sprawach pożarów i już nie raz wypróbował na nim ten trik. Potem pojawił się żuk gnojak, z mozołem toczący swoją kulę. Tomek dotknął go, by zobaczyć, jak szybko chowa nóżki pod siebie i udaje nieżywego. Ptaki rozśpiewa-

ły się na dobre. Tuż nad głową chłopca, na gałęzi, usiadł przedrzeźniacz i z niezmierną radością naśladował głosy wszelkiego ptactwa, następnie w dół śmignęła wrzeszcząca sójka niczym błysk niebieskiego płomienia i przysiadła na gałęzi prawie w zasięgu ręki Tomka. Przekręciła główkę na jedną stronę i przyglądała się z nieskrywaną ciekawością wszystkim nieznanym. Nieopodal przemknęła szara wiewiórka w towarzystwie czegoś dużego i lisowatego. Siadała co chwila, by obadać i obgadać chłopców, jako że te dzikie stworzenia pewnie nigdy wcześniej nie widziały człowieka i właściwie nie wiedziały, czy mają się go bać, czy też niekoniecznie. Cała przyroda już się zupełnie rozbudziła i zajęła swoimi sprawami. Długie promienie słońca przedzierały się przez gęste listowie, a na scenie pojawiło się kilka rześkich motyli.

Tomek potrząsnął śpiącymi piratami tak porządnie, że aż wrzasnęli i już po chwili, rozebrani, ganiali się i koziołkowali w płytkich wodach mielizny. Nie tęsknili zupełnie za miasteczkiem śpiącym w oddali, za majestatyczną połacią wody.

Jakiś zabłąkany prąd lub nieznaczne wezbranie rzeki zabrały tratwę, ale to tylko chłopców ucieszyło, gdyż było jakby spalaniem mostu pomiędzy nimi a cywilizacją.

Wrócili do swojego obozowiska odświeżeni, radośni i wygłodniali. Wkrótce ognisko znów zapłonęło. Huck odnalazł niedaleko strumień z czystą wodą i wszyscy zrobili sobie kubki z liści dębu lub hikory. Stwierdzili, że woda, dosłodzona czarem dzikiego lasu, może w zupełności zastąpić im kawę. Joe właśnie kroił boczek na śniadanie, gdy Tom i Huck powiedzieli, by na chwilę się wstrzymał. Podeszli do dobrze zapowiadającego się zagłębienia przy brzegu rzeki, zarzucili swoje żyłki i niemal natychmiast na tym skorzystali. Joe nie zdążył się nawet znudzić, a już wracał z niezłym okoniem, paroma bassami i małym sumem – w sam raz dla swojej rodziny. Usmażyli ryby na boczku i byli zachwyceni, bo zdawało im się, że żadna ryba nigdy nie smakowała tak wyśmienicie. Nie wiedzieli przecież, że im szybciej ryba słodkowodna trafi na ogień, tym lepiej smakuje. Nie zastanawiali się także nad tym, jakimi wspaniałymi przyprawami mogą być: spanie pod gołym niebem, ruch na świeżym powietrzu, kąpiel i duża dawka porządnego głodu.

Po śniadaniu rozłożyli się w cieniu, a Huck znów popalał tytoń. Następnie udali się na wyprawę badawczą. Włączyli się, beztrudno przechodząc nad spróchniałymi pniakami przez splątane leśne zarośla, pośród dostojnych władców lasu obwieszonych od koron do ziemi insygniami królewskimi z dzikiej winorośli. Co jakiś czas natykali się na przytulne zakątki przepięknie soczystą trawą i przyozdobione klejnotami kwiatów.

Odnajdywali całe mnóstwo zachwycających rzeczy, ale nie natrafili na nic zadziwiającego. Odkryli natomiast że wyspa miała jakieś trzy mile długości, ćwierć mili szerokości i że od najbliższego brzegu dzielił ją jedynie wąziutki przesmyk, nie

szerszy niż dwieście jardów. Kapali się mniej więcej co godzinę, więc zanim dotarli z powrotem do obozowiska, było już zdrowo po południu. Byli zbyt głodni, by łowić, więc urządzili sobie, zamiast tego, ucztę z zimnej szynki, a potem rozłożyli się w cieniu, żeby sobie pogadać. Rozmowa jednak wkrótce stała się nudna, aż w końcu całkiem ustała. Podniosła cisza panująca w całym lesie w połączeniu z uczuciem osamotnienia zaczęły dawać im się we znaki. Zamyślili się. Wkradła się w ich dusze jakaś niepojęta nostalgia, która z wolna jęła przybierać niewyraźny wciąż kształt budzącej się nieśmiało tęsknoty za domem. Nawet Finn Czerwonoreki myślał teraz o znanych mu dobrze progach i pustych beczkach. Żaden z nich nie wspominał nawet słowem o gryzących go myślach, gdyż każdy zaniechał wstydu tej swojej słabości.

Od jakiegoś czasu do świadomości chłopców niewyraźnie docierał z oddali jeden osobliwy dźwięk przypominający tykanie zegara, które wszyscy słyszą, ale na które nikt nie zwraca uwagi. Teraz dźwięk ten stał się bardziej wyrazisty i nie sposób było go zignorować. Chłopcy poderwali się, spojrzeli po sobie i zaczęli nasłuchiwać. Po długiej chwili głębokiej i niezakłóconej ciszy w oddali rozległ się głuchy huk.

– Co to? – zawołał przestraszony Joe.

– Pojęcia nie mam – odszepnął Tomek.

– Nie grzmot raczej – odparł Huckleberry z trwogą w głosie. – Bo grzmot...

– Słuchajcie! – przerwał Tomek. – Cicho, nie gadać!

Odczekali chwilę, która wydawała się wiecznością i znów dał się słyszeć ten sam przytłumiony huk przerywający podniosłą ciszę.

– Chodźmy zobaczyć.

Skoczyli na równe nogi i pobiegli w kierunku brzegu, z którego widać było miasteczko. Rozchylili przybrzeżne zarośla i wyjrzeni na wodę. W odległości około mili od miasteczka dryfował z prądem niewielki parowy prom. Na jego szerokim pokładzie było mnóstwo ludzi, a w pobliżu parowca roilo się od małych, wiosłowych łódek kręcących się we wszystkich kierunkach lub poddających się prądowi rzeki. Chłopcy nie mogli jednak odgadnąć, co też robili pływający na nich mężczyźni. Z boku promu wystrzeliła nagle smuga białego dymu, a gdy ten rozprzestrzenił się i stworzył leniwą chmurę, dał się słyszeć ten sam, znany im już, dudniący dźwięk.

– Już wiem! – wykrzyknął Tomek – Ktoś się utopił!

– Racja! – odparł Huck. – Robili tak zeszłego lata, jak się Bill Turner utopił. Strzelają nad rzeką z armaty i wtedy gość wypływa na wierzch. I jeszcze wlewają rtęć do bochenków chleba i puszczają na wodzie i jak jest gdzieś topielec, to te chleby się tam zatrzymują i unoszą nad nim.

– Ja też o tym słyszałem – potwierdził Joe. – Ciekawe, jak ten chleb działa.
– Tu wcale nie o chleb chodzi – wtrącił się Tomek. – Tylko o to, co oni mówią, zanim go wrzucają do wody.

– Ale oni nic nie mówią – odpowiedział Huck. – Sam widziałem, nie mówią nic.

– Dziwne – zamyślił się Tomek. – Może do siebie mówią, w myślach. No jasne! Każdy głupi to wie.

Pozostali zgodzili się z nim, bo jak inaczej durny kawałek chleba, bez jakiegos zaklęcia, miałby działać inteligentnie w przypadku tak poważnego zadania.

– Kurcze, szkoda, że mnie tam teraz nie ma – powiedział Joe.

– I mnie też – dołączył Huck. – Dużo bym dał, żeby wiedzieć, kogo szukają.

Nasłuchiwali i przyglądali się, aż nagle Tomka olśniło i wykrzyknął:

– Chłopaki! Już wiem, kto się utopił! MY!

Natychmiast poczuli się, jak prawdziwi bohaterowie. To dopiero był triumf! Wszyscy za nimi tęsknili, opłakiwali, serca krwawiły im z rozpaczy, lały się łzy, ze wstydem wspominali krzywdy wyrządzone tym biednym chłopcom, dręczyły ich próżny żal i wyrzuty sumienia. A co najważniejsze, o zaginionych mówiło całe miasteczko i inni chłopcy na pewno skręcali się z zazdrości o ich olśniewający występki. To było coś! Jednak warto było być piratem!

O zmierzchu prom odplynał swoją zwyczajną trasą, zabierając ze sobą łódki i wiosłarzy, a piraci wrócili do obozu. Rozpierała ich duma z powodu własnej wspaniałości i ważności, no i oczywiście z powodu tego całego nieprawdopodobnego zamieszania, jakie spowodowali. Nałowili ryb, przygotowali i zjedli kolację, a potem zabrali się za zgadywanie, co też ludzie w miasteczku o nich mówią i myślą. Ich wyobrażenia o tym, jak to wszyscy strasznie się smucą z powodu ich zniknięcia, były, z ich punktu widzenia, niezwykle atrakcyjne. Gdy zrobiło się już całkiem ciemno, rozmowa stopniowo zamierała i chłopcy siedzieli, gapiąc się w ogień, a ich myśli wędrowały w zupełnie innym kierunku. Podekscytowanie gdzieś zniknęło i zarówno Tomek, jak i Joe nie mogli odpędzić od siebie myśli o osobach, które w domu wcale nie dzieliły ich radości. Pojawiły się wątpliwości, chłopcy posmutnieli, wymknęło się jedno czy drugie mimowolne westchnienie. Joe w końcu nieśmiało spróbował po kryjomu „wysondować”, jak pozostali zapatrują się na kwestię ewentualnego powrotu do cywilizacji. Nie, że teraz, zaraz, od razu, ale...

Tomek natychmiast go wyśmiał. Huck, który sam jeszcze nie był zdecydowany, podzielił opinię Tomka, a „słabe ogniwo” miętolać garderobę, szybko złożyło wyjaśnienie i z ulgą przyjęło fakt, iż skończyło się to jedynie na marnym podejrzeniu o tchórzowską tęsknotę za domem. Chwilowo bunt został zażegnany.

Wraz z gęstniejącymi ciemnościami głowa Hucka zaczęła się kiwać i wkrótce rozległo się chrapanie. Niedługo potem dołączył do niego Joe, natomiast Tomek leżał bez ruchu, wsparty na łokciu i bacznie im się przyglądał. W końcu podniósł się ostrożnie i na czworakach ruszył szukać czegoś pośród trawy, w migoczącym świetle ogniska. Przyjrzał się dokładnie kilku dużym, zwiniętym kawałkom białej kory jaworu, po czym wybrał dwa najodpowiedniejsze. Przykucnąwszy przy ognisku, z mozołem nagryzł na nich coś przy pomocy czerwonej glinki. Jedną notatkę zwinął i schował sobie do kieszeni, a drugą włożył do kapelusza Joego, który następnie odsunął na pewną odległość. Włożył do niego także szkolne skarby o nieocenionej wartości: między innymi kawałek kredy, kauczukową piłeczkę, trzy haczyki na ryby i jedną z tych szklanych kulek, o których było wiadomo, że „to na pewno kryształ”. Potem odszedł cichutko na palcach między drzewa. Gdy stwierdził, że tu już go nie usłyszą, puścił się pędem w stronę piaszczystej łachy.

ROZDZIAŁ XV

W parę minut później Tomek brodził już po mieliźnie, w kierunku brzegu, po stronie Illinois. Zanim woda sięgnęła mu do pasa, był już w połowie drogi. Tutaj prąd stał się zbyt silny, by chłopiec mógł iść, więc bez zastanowienia położył się na wodzie, by przepłynąć pozostałe sto jardów. Płynął w górę rzeki, ale jednocześnie zsuwał się w dół nurtu szybciej, niż się tego spodziewał. W końcu jednak dotarł do brzegu i unosząc się na wodzie, odszukał odpowiednie niskie miejsce, z którego wydostał się na brzeg. Upewniwszy się, że w kieszeni nadal jest kawałek kory, w ociekającym wodą ubraniu szedł lasem wzdłuż brzegu. Tuż przed dziesiątą wyszedł na otwartą polanę przed miasteczkiem i pod drzewami ujrzał prom przycumowany do wysokiego brzegu. Pod rozgwieżdżonym niebem panowała całkowita cisza. Podkrał się do brzegu, rozglądając się bacznie dookoła, wślizgnął do wody i po trzech, czterech machnięciach dopłynął do łódki pełniącej funkcję szalupy. Położył się pod ławeczkami wiosłarzy i oddychając szybko, czekał.



Wyprawa Tomka do domu.

Po chwili odezwał się pęknięty dzwon, a jakiś głos wydał rozkaz: „odbijać”. Minutę czy dwie później dziób szalupy podniósł się na fali od parowca i rozpoczęła się podróż. Tomek był zadowolony, że jego plan się powiódł, wiedział bowiem, że był to ostatni kurs tego dnia. Po ciągnących się w nieskończoność dwunastu czy piętnastu minutach koła stanęły i Tomek ześlizgnął się cicho do wody, by po ciemku dopłynąć do brzegu. Wyszedł na ląd jakieś pięćdziesiąt jardów dalej, by żaden spóźniony pasażer nie mógł go zauważyć.

Popędził pustymi uliczkami i po niedługim czasie znalazł się przy płocie za domem ciotki. Przelazł przez ogrodzenie, podszedł do przybudówki i zajrzał przez okno do salonu, bo tam paliło się światło. Zobaczył tam ciotkę Polly, Sida, Mary i matkę Joego Harpera. Siedzieli wszyscy razem przy łóżku stojącym między nimi a drzwiami i rozmawiali. Tomek podszedł do drzwi i ostrożnie zaczął podnosić zasuwę... Nacisnął lekko i drzwi puściły, skrzypiąc. Z największą ostrożnością popchnął je jeszcze dalej, drżąc za każdym skrzypnięciem, aż stwierdził, że zdoła przeslizgnąć się na czworakach. Wsadził najpierw głowę, a potem ostrożnie ruszył do przodu.

– Co tak wieje na tę świecę? – odezwała się ciotka Polly.

Tomek przyspieszył.

– Pewnie się drzwi otworzyły. Tak, na pewno. Ciągłe coś dziwnego się dzieje. Idź, Sid i zamknij.

W ostatniej chwili Tomek skrył się pod łóżkiem. Leżał przez chwilę bez ruchu, a potem podczołgał się w miejsce, z którego prawie mógł dotknąć ciotcinej nogi.

– Tak, jak mówiłam – odezwała się ciocia – to nie był zły chłopak właściwie, tylko psotny taki. Wie pani, pstro miał w głowie i roztrzepany był. Roztropny tyle, co jakiś żrebak, nie chciał źle przecież i miał najlepsze serce na świecie.



Rozpacz ciotki przekonanej o stracie Tomka.

Po tych słowach załżała się łzami.

– Z moim Joe było tak samo. Ciągłe tylko wygłupy i psoty w głowie, ale taki dobroduszny i miły. A mnie serce się kraje, jak pomyślę, że tak oberwał za tę śmianę, kiedy to ja żem sama ją wywalila, bo skwaśniała i zapomniałam. A teraz mam go już nigdy nie zobaczyć, nigdy, przenigdy! Biedny, nieszczęsny chłopiec!

I pani Harper zaniosła się od płaczu, jakby serce miało jej zaraz pęknąć.

– Mam nadzieję, że Tomkowi jest lepiej tam, gdzie jest – odezwał się Sid. – Ale gdyby był grzeczniejszy...

– Sid!

Tomek aż poczuł to piorunujące spojrzenie starszej pani, mimo że go nie widział.

– Ani słowa na mojego Tomka, teraz, gdy go już nie ma! Bóg się nim zaopiekuje, już ty się o to nie martw! Och, pani Harper, nie wiem, co teraz począć! Nie wiem! Był taką moją pociechą, chociaż czasem prawie mnie do grobu wpędzał.

– Bóg daje, Bóg zabiera, niech będzie błogosławione imię Pańskie! Ale to takie straszne! Takie straszne! A jeszcze w zeszłą sobotę mój Joe odpalił mi pod nosem kapiszona i oberwał tak, że aż się wyrzucił. Nawet mi przez myśl nie przeszło wtedy, że już wkrótce... Och, gdyby tylko mógł zrobić to jeszcze raz, to bym go wyściskała!

– Tak, tak, wiem, co pani czuje, pani Harper. Wiem doskonale. Nie dalej, jak

wczoraj w południe mój Tomek napił kota środkiem przeciwbólowym i myślałam, że mi zwierzak chałupę rozniesie. I, Boże wybac mi, rąbnęłam Tomka w głowę napastrkiem. Biedaczysko! Biedny nieżywy chłopiec! Ale jego kłopoty już się skończyły, a ostatnie słowa, jakie od niego słyszałam, to były wyrzuty, że...

Takie wspomnienie to już było za dużo dla starszej pani, która teraz całkiem się rozkleiła. Tomek też już pochlipywał, bardziej uzalając się nad sobą niż nad kimkolwiek innym. Słyszał, jak Mary płacze i od czasu do czasu wtrąca o nim jakieś miłe słowo.

Miał teraz o sobie lepsze zdanie niż kiedykolwiek wcześniej.

Wciąż był jednak do głębi przejęty smutkiem ciotki. Najchętniej wyskoczyłby spod łóżka i uszczęśliwił ją. Teatralna podniosłość takiego czynu bardzo mu odpowiadała i kusila, ale nie uległ jej i dalej leżał bez ruchu.

Nasłuchiwał i ze strzępów informacji dowiedział się, że najpierw przypuszczano, iż chłopcy utopili się podczas kąpieli, potem okazało się, że zaginęła mała tratwa, a jeszcze później niektórzy ich koledzy mówili, że tamci obiecywali, iż wkrótce miasteczko „o czymś usłyszy”... Jakieś mądre głowy „złożyły to wszystko do kupy” i ustalono, że chłopcy uciekli na tratwie i zapewne pojawią się na wysokości następnego miasteczka. Jednak kiedy około południa tratwa została odnaleziona przy brzegu Missouri, jakieś pięć czy sześć mil przed miasteczkiem – wszelka nadzieja zgasła. Musieli utonąć, bo inaczej głód zapędziłby ich do domów przed zmierzchem – albo jeszcze wcześniej. Wszyscy twierdzili, że poszukiwanie ciał spęzło na niczym jedynie dlatego, że chłopcy musieli utonąć na środku rzeki. Byli przecież zbyt dobrymi pływakami i gdyby tylko mogli, wydostaliby się na brzeg. Zdarzyło się to w środową noc i jeśli ciał nie uda się odnaleźć do niedzieli, wszelkie poszukiwania zostaną zakończone i jeszcze tego samego ranka odbędą się uroczystości pogrzebowe. Tomek aż się wzdrygnął.

Pani Harper pożegnała się, łkając i zbierała się do wyjścia, gdy nagle obie kobiety jednocześnie padły sobie w ramiona, rozpląkały się na całego, i dopiero potem ponownie pożegnały. Ciotka Polly znacznie czulej niż zwykle pożegnała się na dobranoc z Sidem i Mary; Sid nieco pochlipywał, a Mary odchodząc, rozpląkała się zupełnie.

Ciotka Polly uklękła i modliła się za Tomka tak żarliwie i z taką niewyobrażalną miłością w słowach i swoim starym, drżącym głosem, że chłopiec znów wylał całą kałużę łez, na długo przedtem zanim skończyła.



Ciotka
Polly:
Tęsknota za
Tomkiem.

Kiedy położyła się spać, Tomek długo jeszcze musiał siedzieć cicho, bo starsza pani co rusz wydawała okrzyki rozpacz i wierciła się niespokojnie na łóżku. W końcu jednak uspokoiła się i tylko mamrotała trochę przez sen. Chłopiec wychylił się z ukrycia, stanął

ostrożnie przy łóżku, osłonił dłonią świecę i przyglądał się ciotce. Serce przepętniało mu żal. Wydobył korę jaworu i położył przy świecy, lecz zaraz potem coś innego przyszło mu do głowy i zawahał się przez moment. Twarz pojaśniała mu od nowego pomysłu i pospieszenie schował z powrotem swoją korę. Nachylił się, pocałował ciotkę w udręczone usta i czym prędzej czmychnął, ryglując za sobą drzwi.

Powędrował znów na przystań promową i ponieważ nie było tam nikogo, wszedł dziarsko na pokład, wiedząc, że jest pusty, za wyjątkiem stróża, który zawsze spał jak zabity. Odwiązał szalupę przy rufie, wślizgnął się do niej i już po chwili wiosłował ostrożnie w górę rzeki. Gdy był już mniej więcej milę w górę od miasteczka, ruszył w poprzek rzeki, solidnie machając wiosłami. Z łatwością dobił do przeciwległego brzegu, jako że płynął tu już nie pierwszy raz. Korciło go bardzo, by zabrać szalupę i zrobić z niej statek, który pada łupem pirata, ale wiedział dobrze, że szalupy wszyscy będą bacznie szukać, co może doprowadzić do odkrycia tego i owego. Wyszedł więc na brzeg i pomaszerował do lasu.

Przysiadł na dłuższą chwilę, by odpocząć. Zmagał się z samym sobą, żeby nie zasnąć, a potem ruszył ostrożnie dalej. Noc miała się już ku końcowi i zanim dotarł na wysokość piaszczystej łachy, było już całkiem widno. Znów przystanął na odpoczynek i poczekał, aż słońce wzniesie się całkiem wysoko i ześle swój blask na wielką rzekę. Wtedy wskoczył do wody. Po chwili stał już przy obozowisku, ociekając wodą. Usłyszał głos Joego:

– Nie, Huck, Tomek jest prawdziwym kumplem i wróci. Nie nawieje. Przecież wie, że to by była potwarz dla pirata, a on jest na to zbyt dumny. On po prostu coś kombinuje. Ciekaw jestem, co...

– Tak czy siak, te rzeczy są już nasze, nie?

– No prawie, ale jeszcze nie. Napisane tam jest, że jak nie wróci do śniadania.

– No i wrócił! – po aktorsku wykrzyknął Tomek, wkraczając hardo do obozu.

Podczas podanego natychmiast sutego śniadania z boczku i ryb zdawał relację ze swych poczynąń, odpowiednio je ubarwiając. Gdy skończył, cała kompania pękała z dumy i zachwytu. Następnie Tomek zaszył się w jakimś zacienionym zakątku i spał do południa, a pozostali piraci zabrali się za przygotowania do połowów i kolejnej ekspedycji.

ROZDZIAŁ XVI

Po obiedzie cała banda poszła na łachę, żeby szukać żółwich jaj. Chodzili, dłużąc patykami w piasku, a gdy natrafili na miękkie miejsce, na czworakach grzebali w piachu rękoma. Czasami udawało im się znaleźć pięćdziesiąt lub sześćdzie-

siąg jaj w jednej dziurze. Były to idealnie okrągłe, białe kuleczki, odrobinę mniejsze od orzecha włoskiego. Tego wieczora i w piątek rano chłopcy urządzili sobie prawdziwą, wspaniałą ucztę ze smażonych jajek.

Po śniadaniu, wrzeszcząc i skacząc, pobiegli na łąkę, gdzie gonili się nawzajem, zrzucali ubrania, aż w końcu byli całkiem goli i dalej wygłupiali się na płyciźnie. Zmagali się z prądem, który czasem podcinał im nogi, co tylko zwiększało całą uciechę z zabawy. Co jakiś czas pochylali się i chlapani sobie wodą po twarzach. To zbliżali się do siebie, to odwracali głowy, by uchronić się przed zachłyśnięciem. Potem siłowali się, a gdy jeden drugiego podtopił, płatanina białych nóg i rąk wpadała pod wodę. Po chwili jednocześnie wyskakowali, prychnąwszy, zaśmiewając się i łapiąc oddech.

Gdy się porządnie zmęczyli, wybiegali na brzeg i wyciągali na suchym, gorącym piachu, zakopywali się w nim, by wkrótce znów popędzić do wody i zacząć całą zabawę od początku. Wpadli nagle na pomysł, że ich goła skóra może wyśmienicie udawać cieliste trykoty, więc narysowawszy na piasku koło, urządzili cyrk z trzema klaunami, gdyż żaden z nich nie chciał zrezygnować z tak szaczonego zadania.

Potem wydobyli szklane kulki i grali w „palce”, „wybijaka” i „zabieranego”, aż i to ich znudziło. Joe i Huck poszli jeszcze popływać, ale Tomek już nie zaryzykował, bo właśnie zauważył, że zrzucając spodnie, zrzucił też z nogi bransoletkę z grzechotki grzechotnika i zastanawiał się, jak też udało mu się tak długo uniknąć skurczu, skoro nie chronił go magiczny talizman. Nie wszedł do wody, dopóki nie odnalazł zguby, ale wtedy pozostali chłopcy byli już zmęczeni i woleli odpoczywać. W końcu rozeszli się, każdy do swojego grajdołka, i zaczęli rzucać tęskne spojrzenia na drugą stronę szerokiej rzeki, w kierunku drzemiącego w słońcu miasteczka. Tomek przyłapał się na mimowolnym pisaniu na piachu palcem u nogi słowa „Becky”. Zły na siebie i swoją słabość starał je natychmiast, ale mimo wszystko napisał znowu. Nie mógł się powstrzymać... Zmazał znów i uciekając przed pokusą, dołączył do chłopców.

Joe miał tak smętny nastrój, że nic nie mogło go poprawić. Tak bardzo tęsknił za domem, iż prawie nie mógł tego znieść. Łzy były tuż tuż. Huck też był jakiś markotny. Tomkowi także nie było wesoło, ale starał się to ukryć. Miał w zanadrzu pewien sekret, ale nie był jeszcze gotów się nim podzielić, no chyba że ten depresyjny nastrój nie minie. Tymczasem z udawaną wesołością powiedział:

– Chłopaki, założę się, że na tej wyspie byli już kiedyś piraci. Zbadajmy ją jeszcze raz. Na pewno ukryli tu gdzieś swoje skarby. Ale by było, gdybyśmy znaleźli jakąś spróchniałą skrzynię pełną złota i srebra, co?

Jednak ta jego myśl wzbudziła jedynie nikły entuzjazm, który zresztą szybko zniknął bez odzewu. Tomek wypróbował jeszcze kilka wabików, ale to też nie poskutkowało. Wszystko na nic. Joe grzebał patykiem w piasku i był straszliwie ponury. W końcu powiedział:

– Chłopaki, dajmy sobie spokój. Chcę wracać do domu. Tęskno tu jakoś.
– Joe, no coś ty. Przejdzie ci – przekonywał Tomek. – Pomyśl tylko, jakie ryby tu biorą.

– Nic mnie ryby nie obchodzą. Chcę do domu.

– Ale Joe, to jest najlepsze miejsce do kąpieli!

– Nic mi po kąpieli. Wcale mnie to nie bawi, kiedy nikt mi nie zakazuje się kąpać. Chcę wracać.

– Do licha! Dzieciuch jeden! Do mamusi chcesz, co?

– Właśnie tak! I ty też byś chciał do mamusi, gdybyś ją miał. Taki sam ze mnie dzieciuch, jak i z ciebie – Joe pociągnął nosem.

– A niech sobie beksa-lala wraca do domciu, do mamusi, nie, Huck? Biedactwo, do mamusi chce iść? To niech idzie. Tobie tu dobrze, co, Huck? I my zostajemy, no nie?

– M-h-m – bąknął Huck, ale tak jakoś bez przekonania.

Joe wstał i oświadczył:

– Nigdy w życiu się już do ciebie nie odezwę. Żebyś wiedział!

Po tych słowach odszedł z posępną miną i zaczął się ubierać.

– A co mnie to! – odgryzł się Tomek. – Nikt cię prosić nie będzie. Wracaj sobie i niech się z ciebie nabijają. Też mi pirat! Huck i ja nie jesteśmy beksy. I zostajemy, prawda Huck? A ten niech sobie idzie, jak chce. Obejdzie się!

Tomek jednak wcale nie czuł się tak pewnie i z niepokojem patrzył, jak Joe nadal się ubiera. Niepokojące było też to, że Huck też dość tęsknie zerkał na poczynania Joego i w ogóle się nie odzywał. Wkrótce, bez słowa pożegnania, Joe zaczął brodzić w wodzie, posuwając się w kierunku brzegu po stronie Illinois. Tomka opuścił cały animusz²⁰. Zerknął na Hucka, a ten nie mogąc znieść tego spojrzenia, spuścił wzrok. Wreszcie i on zdobył się na odwagę i powiedział:

– Tomek, ja też chcę wracać. I tak robiło się coraz smętniej, a teraz będzie jeszcze gorzej. Wracajmy!

– Ja nie wracam! Ty sobie idź, jak chcesz. Ja zostaję.

– Wiesz co, to ja pójdę.

– A idź sobie! Trzyma cię kto?

Huck zaczął zbierać swoje porozrzucane ciuchy i powiedział pojednawczo:

– Ty też chodź. Zastanów się, a my poczekamy na ciebie przy brzegu.

– Możecie sobie czekać!

Huck oddalił się z posępną miną, a Tomek patrzył za nim, walcząc z wielką ochotą odłożenia na bok swojej dumy i przyłączenia się do kolegów. Miał jeszcze

²⁰ animusz – odwaga, zapał

nadzieję, że się zatrzymają, ale oni wciąż powoli brnęli w wodzie. Tomkowi nagle zaświtało w głowie, że zrobiło się jakoś strasznie pusto i nudno, więc zmierzyl się raz jeszcze ze swoją dumą, i pędząc za towarzyszami, wrzeszczał:

– Czekaście! Czekaście! Coś wam chcę powiedzieć!

Zatrzymali się i odwrócili. Gdy Tomek do nich dobiegł, zaczął wyjawiać im swój sekret, a oni stali bez ruchu z markotnymi minami, aż wreszcie dotarło do nich, o co mu chodziło i wnet rozległy się ich entuzjastyczne okrzyki: „Świetne!”, „Kapitalne!”. Powiedzieli też, że gdyby wiedzieli o tym wcześniej, to w ogóle nie zbieraliby się do odejścia. Tomek wymyślił jakąś przekonującą wymówkę. Prawdziwą przyczyną był jednak strach przed tym, że nawet jego sekret nie zdoła zatrzymać ich zbyt długo i dlatego zachował go jako ostatnią deskę ratunku.



Tomek Sawyer:
Nauka palenia fajki.

Chłopcy już w dobrych humorach wrócili do obozu i z zapalem rzucili się w wir zabawy, gadając bez ustanku o znakomitym planie Tomka i zachwycając się jego wyjątkowością. Po wykwintnej rybno-jajecznej kolacji, Tomek stwierdził, że chce się nauczyć palić. Joe natychmiast podchwycił pomysł i przyłączył się do niego. Huck przygotował zatem fajki i nabił je. Nowicjusze nigdy wcześniej nie palili niczego poza cygarami z liści winogron, które gryzły w język i nie były uważane za specjalnie męskie.

Teraz więc wyciągnęli się na ziemi, wsparli na łokciach i ostrożnie, bardzo nieśmiało zaczęli się zaciągać. Dym miał nieprzyjemny smak i krztusili się nieco, ale Tomek zauważył:

– Ale prościzna! Jakbym wiedział, że to takie nic, to już dawno bym się nauczył.

– Ja tak samo – odparł Joe. – To łatwizna!

– A tyle razy patrzyłem, jak inni palą i myślałem sobie, że też bym tak chciał umieć, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że faktycznie to potrafię – zauważył Tomek.

– To tak samo jak ja, co nie, Huck? Pamiętasz, jak tak samo mówiłem? Huck świadkiem!

– Taaa... wiele razy – odpowiedział Huck.

– No, ja też tak mówiłem – dodał szybko Tomek. – Setki razy. Kiedyś koło rzeźni, pamiętasz, Huck? Bob Tanner tam był i Johnny Miller, i Jeff Thatcher, jak mówiłem. Pamiętasz, Huck?

– Pamiętam – powiedział Huck. – To było dzień po tym, jak zgubiłem tę białą kulkę. Chociaż nie, to było dzień przed...

– No widzisz, mówiłem – podchwycił Tomek. – Huck pamięta!

– Ja to chyba bym mógł palić tę fajkę cały dzień – stwierdził Joe. – Wcale mi nie jest niedobrze.

– Mnie też nie – zgodził się Tomek. – Też bym mógł cały dzień, ale założę się, że Jeff Thatcher to by nie mógł.

– Jeff Thatcher! On to by po dwóch sztachnięciach leżał. Niech kiedyś spróbuje, to się przekona!

– Pewno! A Johnny Miller? Chciałbym zobaczyć, jak Johnny Miller się za to zabiera.

– No! – podchwycił Joe. – Założę się, że Johnny Miller to w ogóle by wysiadł. Jedno sztachnięcie i po nim.

– Racja, Joe. Szkoda, że chłopaki nas teraz nie widzą, nie?

– No.

– Ej, słuchajcie! Nie mówmy o tym nikomu, dopóki się nie napatoczą kiedyś, a wtedy ja do ciebie podejść i powiem: „Joe, masz szluga? Zapaliłbym sobie”. A ty tak od niechcienia powiesz, jakby nigdy nic: „No, mam swoją starą fajkę i jeszcze jedną, ale tytoń coś nie za dobry”. A ja wtedy powiem: „A, to nic, ważne, żeby mocny był”. I wtedy wyciągniesz fajki i spokojnie sobie zapalimy i zobaczymy, jakie będą mieli miny!

– No, ale będzie super! Szkoda, że teraz tak nie możemy!

– No. A jak im powiemy jeszcze, że się nauczyliśmy, jak byliśmy piratami, to na pewno będą żałować, że ich tu nie było, co nie?

– No raczej! I to jak!

W ten sposób rozmawiali dalej, ale później pogawędka przestała się kleić. Chwile ciszy stawały się coraz dłuższe, zbierało się coraz więcej śliny. Każdy por w policzkach zmienił się w tryskającą fontannę. Ledwo udawało im się opróżniać zbiorniki pod językami, aby uniknąć zakrzuszenia. Mimo tych nieludzkich wysiłków zalewało im nieco gardła i za każdym razem zbierało im się na wymioty. Obaj byli już straszliwie bladzi i mizerni. Ze zdrętwiałych palców Joego wypadła fajka, zaraz potem dołączyła do niej Tomkowa... Obie fontanny tryskały jak wściekle i obie pompy pracowały pełną parą. Joe odezwał się słabiutkim głosem:

– Zgubiłem gdzieś mój nóż. Pójdę poszukać.

Tomek drżącymi ustami i łamiącym się głosem dodał:

– To ja ci pomogę... Ty idź tam, a ja pójdę koło źródelka. Nie, Huck, ty nie musisz iść. My znajdziemy...

Huck usiadł więc z powrotem i czekał tak godzinę. Potem poczuł się samotny i poszedł szukać towarzyszy. Obaj byli daleko od siebie. Przerażliwie bladzi spali jak zabici. Huck domyślił się, że jeśli coś ich męczyło, to już zdążyli się tego pozbyć.

Wieczorem przy kolacji nie byli specjalnie rozmowni. Potem, gdy Huck przygotował sobie fajkę i zabrał się też za fajki dla nich, pokornie odmówili, twierdząc, że nie czują się zbyt dobrze i pewnie zaszkodziło im coś z obiadu.

Około północy Joe obudził się i zawołał towarzyszy. W powietrzu wyczuwało się jakiś złowrogi niepokój, który nie mógł oznaczać niczego dobrego. Chłopcy



Burza na wyspie.

zbili się w grupkę, szukając kojącego towarzystwa ogniska, mimo że dusznym i ciężkim powietrzem ledwo można było oddychać. Sie- dzieli bez ruchu i w skupieniu czekali. Głęboka cisza trwała nadal. Poza światłem ogniska wszystko pogrążone było w kompletnych ciemnościach. Nagle pojawił się drgający błysk, niewyraźnie oświetlający przez moment listow- ie, po czym szybko zniknął. Po chwili zobaczyli następny, już nieco mocniejszy. I jeszcze jeden. A jeszcze później wśród gałęzi rozległ się cichy jęk i chłopcy poc- zuli jakby krótki, urwany oddech na policzkach. Aż się zatrzęśli na myśl o tym, że to duch nocy przeszedł tuż obok nich. Nastąpiła chwila ciszy. Potem upiorny błysk zmienił czarną noc w dzień, ukazując wszystkie najdrobniejsze źdźbła tra- wy rosnące im pod nogami. Każde osobno i wyraźnie! Ukazał też trzy, białe jak ściana, przerażone twarze. Głęboki huk grzmotu przetoczył się przez niebo i ko- tując się, zniknął w oddali z ponurym dudnieniem.

Przejmująco zimny podmuch poruszył wszystkimi liśćmi i rozsypał na wszyst- kie strony świeży popiół z ogniska. Las rozświetlił kolejny gwałtowny błysk, a za- raz po nim rozległ się huk, który zdawał się walić wprost w wierzchołki znajduj- acych się nad nimi drzew. W gęstych ciemnościach, jakie zaraz potem zapadły, prze- rażeni chłopcy przywarli do siebie jeszcze mocniej. Kilka wielkich kropli deszczu zabębniło w liście.

– Chłopaki! Szybko do namiotu! – krzyknął Tomek.

Rzucili się pędem, potykając się w ciemnościach o korzenie i pnącza, każdy w in- nym kierunku. Gigantyczny podmuch zatrząsł drzewami, aż cały las zawył. Oślepia- jące błyskawice szalały jedna za drugą i raz za razem rozlegały się ogłuszające grzmo- ty. Lunął ulewny deszcz, a narastająca wichura układała z niego poziome płachty. Chłopcy wrzeszczeli coś do siebie, ale szalejący wiatr i potężne grzmoty zupełnie ich zagłuszały. Udało im się jednak dopaść do namiotu. Byli zziębnięci, przerażeni i ociekali wodą, ale jednocześnie z wdzięcznością przyjmowali swoje towarzystwo w niedoli. Nie dało się rozmawiać. Nawet gdyby przekrzyczeli wszystkie inne ha- łasy, to stary żagiel tak wściekle furkotał na wietrze, że nie można było się porozu- mieć. Burza szalała coraz bardziej i bardziej, aż wreszcie żagiel oderwał się całkiem i poleciał w siną dal porwany przez wichurę. Chłopcy chwycili się za ręce. Prze- wracając się i objijając o siebie, pognali, by schronić się pod olbrzymim, przybrzeż- nym dębem. Szaleństwo burzy wkroczyło teraz w decydującą fazę. Pod bezustanną pożogą błysków rozdzierających niebo, wszystko na dole było dokładnie widoczne i nabierało niezwykle wyraźnych kształtów: powyginane drzewa, zbiełała od piany rzeka, mgła z kropel wody, mająca w oddali na drugim brzegu wysoka skarpa wyzierająca zza kurtyny chmur i zacinającego deszczu. Co chwila jakieś olbrzymie drzewo przegrywało walkę z wichurą i z trzaskiem padało, kosząc młodszych kom-

panów, a uszy rozdierały nieprzerwane, potężne, przesywające i okropne grzmoty. Nawałnica zebrała siły w nierównej walce i zdawało się, że za chwilę rozszarpie wyspę na kawałki, spali, zatopi po wierzchołki drzew, zmiecie z powierzchni ziemi, ogłuszy wszelkie stworzenie, które na niej żyje. Wszystko to działo się w ułamku jednej sekundy. Straszliwa to była noc dla młodych, bezdomnych istot!

W końcu jednak bitwa zakończyła się, a siły wycofywały się z wolna, pomrukując i wygrażając coraz słabiej, aż wreszcie zapanował spokój. Chłopcy wrócili do obozowiska porządnie przestraszeni. Jak się okazało, mieli być za co wdzięczni losowi, bo wielki jawor, pod którym spali, był teraz kupą drzazg rozwaloną przez pioruny. Na szczęście nie było ich pod nim, gdy to się stało.

Cały obóz był zalany, łącznie z ogniskiem, gdyż lekkomyślni użytkownicy – co było typowym dla ich pokolenia – w ogóle nie zabezpieczyli go przed deszczem. Mieli się istotnie czym martwić, bo sami byli przemoczeni i zziębnięci. Rozwodzili się nad swoim nędznym położeniem, gdy nagle zauważyli, że ognisko tak głęboko wżarło się w wielką kłodę, przy której było rozpalone (w miejscu, gdzie zakręcała w górę i odstawała od ziemi), że skrawek o szerokości dłoni pozostał suchy. Tak mozolnie w nim dłubali, że w końcu z kawałków kory i drzazg ze spodu kłody zdołali znów wykrzesać ogień. Potem tak długo układali stos z martwych konarów, aż utworzyli pokaźne, buchające palenisko. W ich serca ponownie wstąpiła radość! Wysuszyli gotowaną szynkę i urządzili sobie ucztę, po której siedli przy ognisku i rozkoszowali się opowieściami o swoich nocnych przygodach. Trwało to aż do rana, jako że nie było ani kawałeczka suchego miejsca, gdzie mogliby zaznać choć odrobiny snu.

W miarę, jak słońce nieśmiało zaczęło skradać się w ich stronę, ogarniała ich senność. Poszli więc na piaszczystą łąkę i tam zasnęli. Po jakimś czasie dał o sobie znać upał. Niechętnie zabrali się za przygotowywanie śniadania. Po posiłku poczuli się tak odrętwiali, jakby ich kości były pokryte rdzą. Znowu strasznie zatęsknili za domem. Nie umknęło to uwadze Tomka, który zaraz zaczął pocieszać piratów. Okazało się jednak, że nic ich nie obchodziły ani kulki, ani cyrk, ani pływanie, ani w ogóle nic. Przypomniał im zatem o swoim genialnym sekrecie i tym udało mu się wzbudzić promyczek radości, a gdy ten się tlił, Tomek zdołał też zainteresować ich swoim nowym pomysłem. Chodziło o to, żeby na chwilę przestali być piratami, a zostali Indianami. Pomysł się spodobał, więc nie minęło wiele czasu, a już biegali bez ubrań, wymalowani od stóp do głów w błotne pasy niczym zebry. Wszyscy naturalnie byli wodzami, którzy następnie przedzierali się przez las, by zaatakować angielskie osady.

Po pewnym czasie rozdzielili się na trzy wrogie plemiona i, wrzeszcząc okrutnie, wyskakiwali na siebie z zasadzek, wyrzynając się i skalpując wrogów całymimi tysiącami. Zaiste krwawy był to dzień! Ale dzięki temu, niezmiernie udany.

Do obozu dotarli w porze kolacji, wygłodniali, ale zadowoleni. Teraz jednak musieli stawić czoła kolejnej przeszkodzie. Otóż wrogie sobie plemiona Indian nie mogą wspólnie biesiadować, zanim wcześniej nie zawrą pokoju. A tego z kolei nie da się zrobić inaczej, niż przez wspólne wypalenie fajki. Żadnego innego sposobu nie znali. Dwóch dzikich prawie zaczęło żałować, że nie pozostali piratami. Skoro jednak nie było innego wyjścia, gdy przyszła ich kolej z najbardziej autentyczną radością, jaką mogli z siebie wykrzesać, sięgnęli po fajkę i należycie się zaciągnęli.

A tu proszę! Najwyraźniej zmiana w barbarzyńców wyszła im na dobre, bo coś na tym zyskali. Okazało się, że mogą nieco zapalić bez konieczności natchmiastowego szukania zaginionego noża, nie robiło im się aż tak niedobrze, żeby czuli się nieswojo. Nie zamierzali naturalnie zaprzepaścić tego osiągnięcia przez zaniedbanie dalszej praktyki. Co to, to nie! Ćwiczyli ostrożnie po kolacji i to z niezłym skutkiem, co tego wieczoru wprawiło ich w doskonały nastrój. To osiągnięcie przyniosło im więcej dumy i radości, niż gdyby oskalpowali i obdarli ze skóry całą Ligę Sześciu Plemion. Zostawmy teraz naszych bohaterów z pykaniem fajki, pogaduszkami i przechwałkami, gdyż nie będą nam chwilowo potrzebni.

ROZDZIAŁ XVII

Tymczasem w miasteczku to ciche sobotnie popołudnie wcale nie było wesołe. Rodzina Harperów i krewni ciotki Polly pogrążeni byli w głębokiej żałobie. Wszędzie panowała niezwykła cisza, chociaż trzeba przyznać, że w tej okolicy nigdy nie było głośno. Mieszkańcy zajmowali się swoimi sprawami, lecz byli jacyś roztargnieni, małowówni i nadzwyczaj często wzdychali. Dla dzieci ta wolna sobota była męką. Zabawy im nie szły i wkrótce zostały zupełnie zarzucone.

Po południu Becky Thatcher snuła się po pustym szkolnym dziedzińcu przygnębiona i smętna. Nie mogąc nigdzie znaleźć pocieszenia, mruknęła do siebie:

– Ach, gdybym tak miała tę gałkę od kominka! A tak nie mam nic, co mogłoby mi go przypominać – i zaszlochała gwałtownie.



Becky
Thatcher:
Tęskni za
Tomkiem.

Po chwili znów się żaliła:

– To było właśnie tutaj. Gdyby tak można było cofnąć czas, nie powiedziałabym tamtych słów. Za żadne skarby świata bym nie powiedziała. A teraz go nie ma i nigdy, przenigdy go już nie zobaczę...

Ta myśl jeszcze bardziej ją dobiła i odchodząc, załała się rzewnymi łzami. Zaraz potem pojawiła się spora gromada kolegów i koleżanek Tom-

ka i Joego. Spoglądając przez wyblakły drewniany płot, rozprawiali w skupieniu o tym, jak to Tomek robił to i tamto, gdy widzieli go po raz ostatni i jak Joe powiedział takie czy inne głupstwo (które teraz okazało się tak straszliwie prorocze!). Każde z nich wskazywało też dokładnie miejsce, w którym zaginieni chłopcy stali ostatnim razem. Zaraz dodawali też uwagi typu: „I ja stałem tuż obok, o tak, jak teraz, a on stał tak, jak ty teraz. Tak byłem blisko! I uśmiechał się właśnie tak i wtedy coś mnie tak ruszyło nagle, takie dziwaczne, ale w życiu nie przyszłoby mi do głowy, co to miało znaczyć. A teraz wszystko jasne!”

Potem sprzeczały się, kto ostatni widział chłopców, a pretendentów do tego posepnego wyróżnienia było wielu. Każdy chciał przedstawiać mniej lub bardziej wiarygodne dowody, a gdy już na dobre ustalono, kto FAKTYCZNIE widział ich jako ostatni i zamienił z nimi ostatnie słowo, to owi szczęśliwcy obnosili się z tym faktem z należytą, świątobliwą wręcz podniosłością, a wszystkie zazdrosne oczy zwracały się ku nim. Tylko jeden biedaczek, nie mając zbytnio czym się pochwalić, powiedział z dumą:

– A mi to Tomek Sawyer kiedyś wlał!

Ta próba uszczknięcia choć odrobiny chwały okazała się jednak niewypałem, gdyż podobnym doświadczeniem mogła podzielić się większość chłopców, więc niespecjalnie było się czym chlępić. Grupka wkrótce rozeszła się, wciąż wspominając zaginionych bohaterów.

W niedzielny poranek, po szkółce niedzielnej, zamiast znajomego i radosnego dzwonięcia, rozległo się smutne bicie dzwonu. Był to wyjątkowo cichy dzień i ten smętny dźwięk idealnie pasował do atmosfery zadumy panującej w przyrodzie. Mieszkańcy zaczęli się schodzić do kościoła, zatrzymując się w przedsionku, by porozmawiać szeptem o smutnym zdarzeniu, ale wewnątrz świątyni panowała kompletna cisza. Słychać było tylko żałobny szelest sukien kobiet zajmujących swe miejsca. Nikt nie pamiętał, żeby niewielki kościółek kiedykolwiek był równie zatłoczony. Wreszcie zapadła pełna wyczekiwania cisza i do kościoła weszła ciotka Polly wraz z Sidem i Mary, a za nimi rodzina Harperów. Wszyscy w głębokiej czerni. Wierni wraz ze starym pastorem podnieśli się z miejsc i czekali w skupieniu, aż żałobnicy zajmą przysługujące im miejsca w pierwszej ławce. Znowu nastąpiła cisza, przerywana jedynie tłumionymi szlochami, a potem pastor rozłożył ręce i zaczął modlitwę. Odśpiewano podniosły hymn, którego słowa brzmiały: „Jam jest zmartwychwstanie i życie”.

Następnie pastor nakreślił tak wyrazisty obraz zalet, wspaniałego charakteru i zdolności chłopców, że każdy z obecnych, zgadzając się w zupełności z jego słowami, poczuł nagłe ukłucie w sercu na myśl o tym, jak to sam dostrzegał w tych młodzieńcach jedynie wady i słabości.

Pastor przypomniał także wiele wzruszających wydarzeń z życia chłopców,



Nabożeństwo żałobne.

które jeszcze bardziej podkreślały, jacy byli kochani i dobrzy, a wszyscy zebrani zrozumieli teraz, jak szlachetne i piękne były to wydarzenia i rozpamiętywali ze smutkiem, że wtedy, gdy miały one miejsce, wydawały się im jedynie łobuzerskimi wybrykami zasługującymi na solidne lanie. W miarę, jak opowieść pastora rozwijała się, wierni stawali się coraz bardziej poruszeni, aż w końcu do płaczących żałobników dołączył cały łkający chór, a sam przemawiający, dając upust również swoim uczuciom, także rozplakał się przy ołtarzu.



Wejście zaginionych do kościoła.

Nagle z chóru dobiegł nieusłyszany przez nikogo, cichy szelest. Chwilę potem skrzypnęły kościelne drzwi, a pastor podniósłszy zapłakane oczy znad chusteczki, zamarł niczym porażony prądem! Najpierw jedna, a potem kolejna para oczu podążyła w ślad za oczami duchownego i cały tłum zerwał się jednocześnie na równe nogi, z ogromnym zdumieniem patrząc, jak trzech zmarłych chłopców paraduje w stronę ołtarza, z Tomkiem na czele. Za nim szedł Joe, a potem Huck wlokący się nieśmiało w swoich doszczętnie zniszczonych, obwisłych łachach. Siedzieli do tej pory w ukryciu na nieużywanym chórze, przysłuchując się własnej ceremonii pogrzebowej!

Ciotka Polly, Mary i rodzina Harperów rzucili się na ocalonych, obsypując ich pocałunkami i nie posiadając się z wdzięczności, a biedny Huck stał speszony i zakłopotany, nie wiedząc zupełnie, co robić, czy też gdzie się schować przed tyłoma nieprzyjaznymi spojrzzeniami. Wahał się przez chwilę i już miał wymknąć się chyłkiem, ale wtedy Tomek chwycił go i zawołał:

– Ciciu Polly, to niesprawiedliwe. Ktoś musi się też ucieszyć na widok Hucka!

– A i owszem. Jakże ja się cieszę, widząc tego biednego, osieroconego chłopczynę!

Wszystkie czułości, którymi ciotka Polly obdarzyła teraz Hucka, były jedyną rzeczą, jaka mogła uczynić go jeszcze bardziej zażenowanym, niż był przed chwilą.

Nagle pastor zawołał uniesionym głosem:

– Chwalmy Pana, od którego płyną wszelkie błogosławieństwa! Śpiewajmy! Z całego serca!

I zaśpiewali. Hymn dziękczynienia wybrzmiał niezwykle triumfalnie i gdy cały kościół trząsł się w posadach od śpiewu, pirat, Tomek Sawyer, rozejrzał się po nieposiadających się z zazdrości twarzach kolegów i przyznał sam przed sobą, że był to najdoskonalszy moment jego życia.

Gdy wpuszczeni w maliny wierni wyszli z kościoła, mówili, że byliby skłonni dać się oszukać raz jeszcze tylko po to, by znów usłyszeć tak odśpiewany hymn dziękczynienia.

Tego dnia Tomek dostał więcej kuksańców i całusów, zależnie od zmiennych nastrojów ciotki Polly, niż przez cały poprzedni rok i w zasadzie nie wiedział, co

było wyrazem wdzięczności Bogu, a co uczuciem do niego samego.

ROZDZIAŁ XVIII

To był właśnie wielki sekret Tomka: plan powrotu do domu wraz z jego braćmi-piratami i pojawienie się na ich własnym pogrzebie. W sobotę, o zmierzchu, przyплыnęli do brzegu po stronie Missouri na kłodzie, zatrzymując się jakieś pięć czy sześć mil od miasteczka. Przespali się prawie do świtu w pobliskim lesie, a potem bocznymi uliczkami i zaułkami przekradli się na kościelny chór, gdzie spali wśród płataniny starych, bezużytecznych ławek.

W poniedziałek, podczas śniadania, ciotka Polly i Mary były bardzo czule dla Tomka i ochoczo mu dogadzały. Rozmowom nie było końca. W pewnej chwili ciotka Polly powiedziała:

– Udał wam się kawał, nie powiem! Przez tydzień wszyscy tu odchodzili od zmysłów, a wy się świetnie bawiliście, ale szkoda, że byłeś taki bezlitosny i pozwoliłeś mi przechodzić takie męki. Skoro mogłeś przepłynąć na kłodzie, by pojawić się na pogrzebie, to równie dobrze mogłeś przyплыnąć i dać mi znak, że nie umarłeś, tylko uciekłeś.

– Naprawdę, Tomek, mogłeś to zrobić – rzekła Mary. – I na pewno tak byś zrobił, gdyby ci to przyszło do głowy.

– Prawda, że byś zrobił, Tomku? – spytała ciotka Polly z nadzieją. – No, powiedz, zrobiłbyś?

– No... ja... nie wiem. To by wszystko zepsuło.

– A ja myślałam, że kochasz mnie choć tyle – powiedziała ciotka takim tonem, że Tomek poczuł się nieswojo. – To już by było coś, gdybyś zadał sobie trud i chociaż o tym pomyślał, nawet gdybyś tego nie zrobił.

– Ciociu, ale on nie chciał źle – wstawiła się za nim Mary. – On już tak ma, zawsze taki roztrzepany, że o niczym nie pomyśli.

– To jeszcze gorzej. Sid to by pomyślał, przyszedł i tak zrobił. Pewnego dnia, Tomku, przypomnisz sobie o tym, gdy będzie już za późno i pożałujesz, że o mnie nie pomyślałeś, chociaż kosztowałyby cię to tak niewiele wysiłku.

– Ale ciociu, przecież wiesz, że cię kocham – odparł Tomek.

– Wiedziałabym, gdybyś się odpowiednio zachowywał.

– Żałuję, że o tym nie pomyślałem – odpowiedział skruszony. – Ale za to mi się śniłaś! To już coś, prawda?

– Nie za bardzo. Kotu też się śnię, ale lepsze to niż nic. A co też ci się śniło?

– No bo w środę w nocy śniło mi się, że siedziałas tu przy łóżku i Sid siedział przy tej skrzyni z drewnem, a Mary obok.



Tomek Sawyer:
Opowieść o wymyślonym śnie.

– Bo tak było. Siedzieliśmy, jak zwykle. Dobrze, że chociaż na tyle się nami przejąłeś w tych snach.

– I jeszcze mi się śniło, że była tu mama Joego Harpera.

– Bo była! Jeszcze coś ci się śniło?

– Całe mnóstwo, ale już w sumie nie pamiętam teraz.

– Ale spróbuj sobie przypomnieć, dobrze?

– Wydaje mi się, że wiatr... że wiatr wiał na... na...

– Skup się, Tomku! Wiatr naprawdę na coś wiał. No, myśl.

Tomek przycisnął palce do czoła, odgrywając scenę napięcia i po chwili powiedział:

– Wiem! Wiem już! Na świecę wiał!

– Matko Święta! Mów dalej, Tomku, mów!

– I chyba ciocia powiedziała „Pewnie się drzwi otworzyły”.

– I co dalej?

– Dajcie chwilkę pomyśleć. Aha! I ciocia powiedziała, że to drzwi się musiały otworzyć.

– Jak tu siedzę, tak powiedziałam! Prawda, Mary? Mów dalej!

– No i potem... potem... nie wiem na pewno, ale chyba ciocia kazała Sidowi iść i... i...

– No? No? Co kazałam mu zrobić, Tomku? Co kazałam?

– Kazała mu ciocia... no... żeby je zamknął.

– Na miłość Boską! W życiu czegoś takiego nie słyszałam! Niech mi nikt nie mówi, że sny to głupoty. Sereny Harper musi się o tym natychmiast dowiedzieć. Ciekawe, co powie na to z tymi swoimi przekonaniem, że to tylko głupie przesady. Mów dalej, Tomku!

– Teraz wszystko dobrze pamiętam. Potem ciocia mówiła, że wcale nie byłam niedobry, tylko urwis i roztrzepaniec, który jest tak samo roztropany jak... jak... żrebak chyba, czy coś.

– Tak było! Dobry Boże! I co jeszcze? Mów!

– I zaczęła ciocia płakać.

– Płakałam. Płakałam. Zresztą nie pierwszy raz. A potem?

– A potem pani Harper się rozpląkała i powiedziała, że z Joe było tak samo i że żałuje, że go sprząła za śmietaną, którą ona sama wyrzuciła...

– Tomek! Duch Święty cię natchnął! To było prorocstwo – ot co! Chryste Panie! Mów dalej!

– I wtedy Sid powiedział... że...

– Ja raczej nic nie mówiłem – wtrącił Sid.

– Mówiłeś, Sid – zareagowała Mary.

- Bądźcież cicho i dajcie mu mówić! Co powiedział, Tomku?
- Powiedział... chyba powiedział, że miał nadzieję, że lepiej mi tam, gdzie jestem, ale, że gdybym był grzeczniejszy...
- Tak właśnie było! Dokładnie tak powiedział!
- I ciocia kazała mu siedzieć cicho.
- Prawda! Musiał tu być anioł. Był na pewno!
- A pani Harper mówiła o tym, jak ją Joe nastraszył petardą, a ciocia mówiła o Peterze i lekarstwie...
- Jako żyję, mówiłam!
- I potem ciągle mówiliście o tym, jak nas szukali, o pogrzebowych planach na niedzielę, a później zapłakana ciocia i pani Harper się uściskały i ona sobie poszła.
- Dokładnie tak było! Właśnie tak było, jak mi życie miłe! Dokładniej byś tego nie powtórzył, nawet gdybyś to sam widział! I co dalej? No mów!
- Dalej to ciocia się chyba za mnie modliła, a ja wszystko widziałem i słyszałem. I ciocia poszła spać, a mi się tak przykro zrobiło, że na kawałku kory jaworowej napisałem „Nie umarliśmy, tylko jesteśmy piratami” i położyłem przy świecy na stole, i ciocia wyglądała tak łagodnie we śnie, że podszedłem i pocałowałem ciocię w usta.
- Naprawdę tak zrobiłeś, Tomku? Wybaczam ci wszystko. Właśnie za to, że tak zrobiłeś.

I zamknęła chłopca w potężnym uścisku tak, że poczuł się jak najgorszy złoczyńca.

- To bardzo miło. Nawet, jeśli to był tylko... sen – rzucił Sid.
- Cicho bądź, Sid! Ludzie to samo robią w snach, co na jawie. Mam tu dla ciebie duże, dorodne jabłko, które przechowywałam na wypadek, gdybyś się odnalazł. A teraz biegnijcie do szkoły. Och, jakże wdzięczna jestem dobremu Panu Bogu, że mi cię oddał. On jest litościwy dla tych, którzy w Niego wierzą i przestrzegają nauk Jego, choć, Bóg mi świadkiem, nie zasłużyłam na to. Ale jeśli jedynie godni jego łaski, by ją otrzymywali i mogli na nim polegać w czasie niedoli, to niewielu na ziemi nosiłoby uśmiech na twarzach i dostąpiłoby Jego pokoju w czasie wielkiego mroku. No, idźcie już. Sid, Mary, Tomku, zbierajcie się. Już dosyć mnie wymęczyliście.

Dzieci wyszły do szkoły, a starsza pani pospieszyła z wizytą do pani Harper, by opowieścią o niezwykłym śnie Tomka zburzyć jej przekonania. Wychodząc z domu, Sid ugryzł się w język i nie powiedział tego, co kołatało mu się po głowie. A myślał sobie: „Coś kiepskie to było: taki długi sen i żadnych pomyłek!”

Za to Tomek był teraz nie lada bohaterem! Nie brykał już i nie podskakiwał, ale paradował dostojnym krokiem, jak przystało na pirata, który czuje, że wszystkie oczy skupione są teraz na nim. I rzeczywiście tak było. Udawał, że nie widzi

tych wszystkich spojrzeń i nie słyszy komentarzy, ale tak naprawdę pękał z dumy. Młodzi chłopcy chodzili stadnie krok w krok za nim i nie posiadali się z dumy, że są widziani w jego towarzystwie, a on ich toleruje niczym dobosz na czele pochodu czy słoń prowadzący zwierzyniec przez miasteczko. Rówieśnicy udawali, że w ogóle nie wiedzą o jego nieobecności, ale tak naprawdę zżerała ich zazdrość. Wszystko by oddali, żeby mieć teraz taką śniadą opaleniznę i opinię niezłego gagatka. A Tomek za nic w świecie nie podzieliłby się ani jednym, ani drugim.

Dzieci w szkole tak skakały wokół niego i Joego i patrzyły na nich z takim podziwem, że bohaterowie wkrótce stali się nieznośnie wręcz zarozumiali. Zaczynali opowiadać o swoich wyczynach wszystkim spragnionym słuchaczom, ale tylko zaczynali, bo przy ich wybujałej wyobraźni żadna historia nie miała szans dobiec końca. A kiedy wreszcie dobyli swoich fajek i przechadzając się, zaczęli je spokojnie pykać, chwała się dopełniła.

Tomek postanowił, że nie chce mieć teraz nic wspólnego z Becky Thatcher. Obecnie sława była dla niego wszystkim. To dla sławy będzie żył. Teraz, gdy jest znany, być może Becky będzie chciała się pogodzić. No cóż, niech sobie chce... Niech się przekona, że on też może być tak obojętny, jak niektórzy. Becky właśnie się zjawiła. Tomek udawał, że jej nie widzi. Odszedł kawałek dalej, dołączył do grupy dzieci i rozpoczął rozmowę. Wkrótce zauważył, że Becky gania radośnie w tę i z powrotem z zarumienioną buzią i rozbieganym spojrzeniem, udając całkiem pochłoniętą uganiem się za koleżankami i pischaniem ze śmiechu, kiedy je złapie. Zauważył jednak, że zawsze odnosiła te sukcesy gdzieś niedaleko niego i że za każdym razem rzucała w jego kierunku ukradkowe spojrzenie.

To w zupełności zaspokoili jego wstrętą próżność i zamiast go udobruchać, sprawiło, że jeszcze bardziej się napuszzył i jeszcze mocniej starał się nie zdradzić, że wie o jej obecności. Dziewczynka przerwała harce i snuła się bez celu, wzdychając raz po raz i zerkając tęsknie na Tomka. Nie uszło jej uwadze, że chłopiec rozmawiał teraz częściej z Amy Lawrence niż z kimkolwiek innym. Przyprawiło to Becky o porządne ukłucie w sercu. Nagle zrobiła się jeszcze bardziej posępna i przygnębiona. Próbowała sobie pójść, ale nogi odmówiły posłuszeństwa i na przekór zaniosły ją prosto w kierunku rozmawiającej grupki. Odezwała się do dziewczynki stojącej tuż przy Tomku:

- Mary Austin, ty niedobra, dlaczego cię nie było w szkółce niedzielnej?
- Byłam. Nie widziałas mnie?
- Nie! A byłaś naprawdę? Gdzie siedziałas?
- Jak zwykle w klasie pani Peteres. Ja cię widziałam.
- Doprawdy? Zabawne, ja ciebie wcale nie widziałam. Chciałam ci powiedzieć o pikniku.

- Fajnie! A u kogo?
- Mama mi pozwoliła zrobić u mnie.
- To cudnie! Mam nadzieję, że pozwoli mi przyjść.
- Na pewno pozwoli. To mój piknik i będę mogła zaprosić, kogo tylko chcę, a ciebie chcę.
- Ale fajna jesteś! A kiedy to będzie?
- Niedługo. Może gdzieś tak koło wakacji.
- Ale będzie fajnie! Zaprosisz wszystkich?
- Tak, wszystkich moich przyjaciół albo tych, którzy chcą nimi być – odpowiedziała, spoglądając ukradkiem na Tomka, ale on z przejęciem opowiedział właśnie Amy Lawrence o straszliwej burzy na wyspie i o tym, jak to piorun roztrzaskał „w drzazgi” ogromny jawor, gdy on sam stał „całkiem niedaleko”.
- A ja też mogę przyjść? – zapytała Grace Miller.
- Możesz.
- A ja? – podchwycił Sally Rogers.
- Ty też.
- Ja też, ja też mogę? – odezwała się Susy Harper. – I Joe też?
- Tak.

I tak, wśród radosnych oklasków, cała grupka wybłagała za prośbą. Cała, za wyjątkiem Tomka i Amy. Wtedy Tomek odwrócił się z chłodem wypisanym na twarzy i wciąż rozmawiając z Amy, pociągnął ją za sobą. Becky zadrżały usteczka, a do oczu napłynęły łzy. Ukryła te oznaki pod przykrywką wymuszonej wesołości i kontynuowała rozmowy, ale piknik nie był już istotny, właściwie to nic nie było już ważne. Wykorzystała najbliższą okazję i skryła się w ustronnym miejscu, by, jak mawiają przedstawicielki jej płci, „porządnie sobie popłakać”. A potem, aż do dzwonka, siedziała markotna, z urażoną dumą. Wstała z błyskiem zemsty w oku, potrząsnęła warkoczami i oznajmiła, że teraz to już wie, co zrobi.

Na przerwie Tomek rozradowany kontynuował swój flircik z Amy, rozglądając się przy tym za Becky, by jeszcze bardziej jej dokuczyć. Wreszcie zauważył ją, ale nagle cały jego entuzjazm opadł gwałtownie. Becky siedziała sobie wygodnie na ławeczce za szkołą i oglądała książkę z obrazkami w towarzystwie Alfreda Temple. Byli tak sobą zajęci i ich pochylone nad książką głowy były tak blisko siebie, że wydawali się kompletnie nie zauważać otaczającego ich świata. Tomka przeszył gorący strumień zazdrości. Wściekły był sam na siebie za odrzucenie szansy na pojednanie, którą wcześniej dziewczynka mu oferowała. Nazwał się głupkiem i dodał wszystkie inne brutalne określenia, jakie znał. Aż mu się płakać chciało



Becky
Thatcher:
Zazdrosna
o Amy
Lawrence.

ze złości. Tymczasem Amy szczebiotała radośnie całą drogę, bo serce aż jej śpiewało, natomiast Tomkowy język zupełnie przestał pracować. Nie słyszał tego, co mówi Amy i gdy milkła na chwilę, wyczekując reakcji, był w stanie tylko wybąknąć coś na kształt potwierdzenia, które zwykle trafiało jak kulą w płot. Wciąż zbaczał na tyły szkoły i nienawistny widok niemal palił w oczy. Nie mógł się jednak powstrzymać. Do szału doprowadzał go fakt, że wyglądało na to, jakby Becky Thatcher kompletnie nie zdawała sobie sprawy z tego, że on w ogóle istnieje. Lecz ona dobrze o tym wiedziała. Wiedziała też, że właśnie obejmuje prowadzenie i z zadowoleniem patrzyła, jak Tomek cierpi, podobnie jak ona przedtem.

Radosna paplanina Amy stała się nie do zniesienia. Tomek napomknął coś o sprawach, które miał do załatwienia, sprawach niecierpiących zwłoki i o uciekającym czasie, ale wszystko na próżno. Dziewczynka nie przestawała świergotać. Tomek pomyślał: „Do diaska! Czy ona się już nigdy nie odcepi?” W końcu okazało się, że pilne sprawy musiały zostać załatwione natychmiast, więc dziewczynka od razu powiedziała, że po szkole „będzie w pobliżu”. Tomek odszedł czym prędzej, nienawidząc jej za te słowa.

„Každy inny!” – pomyślał, zgrzytając zębami. – „Každy inny chłopak w całym miasteczku, ale nie ten mądrała z Saint Louis, co to mu się wydaje, że nie wiadomo, jak świetnie się ubiera i jak wielkie z niego panisko! Dobra, oberwałeś już raz pierwszego dnia, gdy się pojawiłeś w miasteczku, to oberwiesz jeszcze! Poczekaj tylko, jak cię dorwę! A wtedy to cię tak...”

I wyobraził sobie całą scenę, jak to spuszcza manto wymaginanemu chłopcu, grzmocąc, kopiąc i dźgając w powietrzu. „Dosyć masz, co? No zawołaj »Dość!«, no? Masz teraz nauczkę!” I tak wymyślona walka zakończyła się wielce pomyślnie.

W południe Tomek zwiął ze szkoły. Nie mógł już dłużej znieść nadmiernego szczęścia Amy, a jego zazdrość stawała się nie do wytrzymania.

Becky wróciła do oglądania obrazków z Alfredem, ale gdy minuty mijały, a Tomek się nie pojawiał, by znów cierpieć, jej triumf stopniał i wkrótce całkiem straciła zainteresowanie obrazkami. Pojawił się smutek i roztargnienie, a potem melancholia. Dwu- czy trzykrotnie nasłuchiwała zbliżających się kroków, ale był to fałszywy alarm – to nie Tomek. Wreszcie poczuła się niewypowiedzianie nieszczęśliwa i zaczęła żałować, że posunęła się aż tak daleko. Gdy biedaczek Alfred zauważył, że nie wiadomo dlaczego, traci ją, starał się bezustannie zainteresować czymś dziewczynkę:

– Zobacz, jaki ten fajny! Zobacz!



Becky
Thatcher:
Poniża Alfreda.

Becky straciła w końcu cierpliwość i powiedziała:

– A daj mi już spokój! Co mnie to obchodzi?! – i odchodząc, wybuchnęła płaczem.

Alfred natychmiast podążył za nią z zamiarem pocieszenia, ale

usłyszał:

– Idź sobie i zostaw mnie w spokoju! Nienawidzę cię!

Chłopiec zatrzymał się, rozmyślając, co też takiego uczynił, bo przecież wcześniej mówiła, że będzie oglądać z nim te obrazki przez całą południową przerwę, tymczasem teraz szła i płakała. Alfred, pogrążony w swoich myślach, wszedł do pustej szkoły. Czuł się poniżony i zły. Szybko odgadł prawdę: ona go zwyczajnie wykorzystała, żeby odegrać się na Tomku. Gdy zdał sobie z tego sprawę, jego niechęć do tego chłopaka bynajmniej nie zmaląła. Myślał teraz, jak by tu ściągnąć na niego kłopoty bez zbytniego ryzyka dla siebie. I wtedy jego wzrok padł na Tomkowy zeszyt do kaligrafii. To było coś. Zadowolony z siebie otworzył na stronie najbliższej lekcji i wylał na kartki atrament.



Zemsta Alfreda
– chłopiec wy-
lewa atrament.

Stojąca za nim i patrząca przez okno Becky wszystko widziała i bezszelestnie poszła dalej. Skierowała się ku domowi z zamiarem odnalezienia Tomka i poinformowania go o wszystkim. Byłby jej wdzięczny i wszystko ułożyłoby się między nimi dobrze. Ale zanim dotarła do połowy drogi, zmieniła zdanie. Pałaca myśl o tym, jak ją potraktował, gdy opowiadała o swoim pikniku, powróciła i znów poczuła się upokorzona. Postanowiła, że wcale nie będzie go ratować przed cięgami za zniszczony zeszyt, a na dodatek już zawsze będzie go nienawidzić.

ROZDZIAŁ XIX

Tomek dotarł do domu w paskudnym nastroju, a pierwsza rzecz, jaką usłyszał od ciotki, uzmysłowiła mu, że jego smutki nie trafiły teraz na dobry grunt:

– Tomek, mam ochotę cię obedrzeć żywcem ze skóry!

– Ale co ja zrobiłem, ciociu?

– Zrobiłeś, wystarczająco dużo zrobiłeś! To ja głupia, naiwna, idę do Sereny Harper, spodziewając się, że przekonam ją do tych wszystkich bredni o twoim śnie i oto okazuje się, że ona wie od Joego, że ty tu byłeś i słyszałeś to wszystko, o czym wtedy rozmawialiśmy. Tomku, ja nie wiem, co czeka chłopca, który wy-czynia podobne rzeczy. Tak bardzo mi przykro, że bez słowa pozwoliłeś, żebym poszła do Sereny Harper i zrobiła z siebie głupią.

To stawiało całą sprawę w zupełnie nowym świetle. Poranny spryt wydawał mu się do tej pory świetnym i pomysłowym żartem, a teraz okazał się kiepski i zło-śliwy. Zwiesił głowę i przez dłuższą chwilę nie miał nic mądrego do powiedzenia. W końcu jednak się odezwał:

– Ciociu, żałuję, że tak zrobiłem. Ale ja nie pomyślałem.

– Och, ty nigdy nie myślisz. Nigdy nie myślisz o niczym innym, jak tylko o sobie. O tym, żeby tu się dostać w nocy z Wyspy Jacksona i naigrywać z naszego nieszczęścia, a potem oszukiwać mnie kłamstwami o śnie, to pomyślałeś, ale o tym, żeby się nad nami zlitować i ulżyć w smutku, to już nie!

– Ja wiem, ciociu, że to wredne było. Wiem teraz. Ale ja nie chciałem być wredny. Naprawdę nie chciałem. A poza tym, nie przyszedłem się wtedy z was naśmiewać.

– No to po coś przyszedł?

– Chciałem powiedzieć, żebyście się o nas nie martwili, bo myśmy się nie utopili.

– Oj, Tomku, Tomku! Byłabym najwdzięczniejszą istotą na świecie, gdybym mogła choć trochę uwierzyć, że naprawdę takie miałeś intencje, ale sam wiesz, że tak nie było. I ja też to wiem, Tomku.

– Ale to najprawdziwsza prawda, ciociu! Żebym się miał więcej nie ruszać, jeśli kłamię!

– Och, nie kłam Tomku, nie kłam. Pogarszasz wszystko jeszcze bardziej.

– Ale nie kłamię, ciociu, to prawda. Chciałem, żebyście się nie zamartwiali i tylko po to przyszedłem.

– Wszystko bym dała, żeby móc w to uwierzyć. Całe mnóstwo grzechów by to wymazało. Nawet to, że uciekłeś i tak paskudnie postąpiłeś, ale to nie ma za grosz sensu, bo niby dlaczego w takim razie nic mi nie powiedziałeś?

– No bo widzi ciocia, jak zaczęliście rozmawiać o tym pogrzebie, to mi wpadł do głowy ten pomysł ze schowaniem się w kościele, no i jakoś tak nie mogłem tego popsuć. No i schowałem z powrotem korę do kieszeni i siedziałem cicho.

– Jaką korę?

– No tę, na której napisałem, że zostaliśmy piratami. Teraz żałuję, że się ciocia nie obudziła, kiedy ją pocałowałem. Słowo honoru.

Surowe zmarszczki na ciocinej twarzy wygładziły się, a w oczach pojawiła się nagła czułość.

– Pocałowałeś mnie, Tomku?

– No tak.

– Jesteś pewien?

– No, jestem... całkiem pewien jestem.

– A dlaczegoś to zrobił?

– Bo tak ciocię kocham, a ciocia tak leżała, wzdychając, a mi było cioci tak straszliwie żal.

To brzmiało całkiem wiarygodnie. Starsza pani, nie umiając ukryć drżenia w głosie, powiedziała:

– Pocałuj mnie jeszcze raz, Tomku, a potem leć do szkoły i nie dręcz mnie

już więcej.

Gdy tylko zniknął, pospieszyła do szafy i wyciągnęła sfatygowaną marynarkę, w której Tomek zabawiał się w pirata. Powstrzymała się jednak i powiedziała do siebie:

– Nie, nie odważę się. Biedaczysko na pewno skłamał, ale to piękne, piękne kłamstwo. Tak mi się lepiej od razu po nim zrobiło. Mam nadzieję, że Pan Bóg... na pewno Pan Bóg mu wybaczy, bo nazmyślał z dobrego serca. Ale ja nie chcę się przekonać, że to była bujda. Nie sprawdzę.

Odwiesiła marynarkę i stała przez chwilę, dumając. Zabierała się do marynarki jeszcze dwukrotnie i za każdym razem rezygnowała. Spróbowała jeszcze raz i tym razem pokrzepiła się myślą: „To dobre kłamstwo, dobre. Nie będzie mi przykro”. Przeszukała więc kieszeń. Już po chwili przez łzy czytała Tomkową notkę na korze. Powiedziała do siebie:

– Choćby i milion grzechów mogłabym mu wybaczyć!



Ciocia Polly:
Wzruszenie wywołane odnalezieniem kory z notką Tomka.

ROZDZIAŁ XX

W sposobie, w jaki ciotka Polly pocałowała Tomka, było coś, co przegnało wszelkie smutki i znów było mu lekko na duszy. Wyruszył do szkoły i przy ulicy Łąkowej napotkał Becky Thatcher. Nastrój zawsze decydował u Tomka o jego czynach, więc bez chwili wahania podbiegł do niej i powiedział:

– Byłem wredny dzisiaj, Becky. Przepraszam. To się już nigdy nie powtórzy, przenigdy. Pogódźmy się, dobra?

Dziewczynka zatrzymała się i obdarzyła go pogardliwym spojrzeniem.

– Byłabym wdzięczna, gdyby pan się zajął swoimi sprawami, panie Tomku Sawyerze. Ja się już do pana nigdy nie odezwę.

Potrząsnęła głową i odeszła. Tomka tak zamurowało, że nie zdołał nawet powiedzieć: „A łaski bez, mądralo” i już było za późno. Więc nie powiedział nic. Ale wezbrała w nim prawdziwa wściekłość. Powłókł się do szkoły, żałując, że Becky nie była chłopakiem i wyobrażał sobie, jakby ją sprzął, gdyby nim była. Znow ją zobaczył i rzucił jakąś kąśliwą uwagę, przechodząc obok. Ona nie pozostała mu dłużna i w ten sposób rozpoczęła się walka. Becky była tak przepefniona urazą, że nie mogła się wręcz doczekać, aż znów zacznie się szkoła. Nie mogła się doczekać, żeby zobaczyć, jak Tomek dostaje cięgi za zniszczenie zeszytu. Jeśli uprzednio zastanawiała się, czy wydać Alfreda Temple, to teraz obraźliwy komentarz Tom-



Tomek Sawyer:
Próba pogodzenia się z Becky.

ka zatarł tę myśl nader dokładnie.

Biedactwo, nie zdawała sobie wtedy sprawy, w jakie tarapaty sama za chwilę wpadnie! Nauczyciel, pan Dobbins, dożył wieku średniego, nie zaspokoiwszy swoich ambicji. Największym jego marzeniem było zostać lekarzem, ale bieda sprawiła, że mógł sobie pozwolić jedynie na posadę wiejskiego nauczyciela. Każdego dnia ze swojego biurka wydobywał tajemniczą książkę i zatapiał się w niej, gdy nikogo nie odpytywał. Książkę tę przechowywał pod kluczem, a w całej szkole nie było takiego urwisa, który nie chciałby chociaż zerknąć na nią, mimo że taka okazja nigdy się nie nadarzała.

Każdy chłopiec i każda dziewczynka mieli swoje teorie na temat tej książki, ale nie było wśród nich dwóch identycznych podejrzeń i nikt nie mógł niczego udowodnić.



Becky wyjmując książkę z biurka pana Dobbinsa i rozdziera kartkę.

Przechodząc koło biurka stojącego tuż przy drzwiach, Becky właśnie zauważyła, że kluczyk tkwił w zamku. To była prawdziwa gratka! Rozejrzała się dookoła, upewniła, że jest sama i już po chwili dzierżyła książkę w dłoniach. Strona tytułowa: „Profesor Jakiśtam ANATOMIA” – nic jej nie powiedziała, więc zaczęła przetrzucać kartki. Już na pierwszej stronie natknęła się na piękną, kolorową ilustrację przedstawiającą zupełnie gołego człowieka. W tej samej chwili na stronicę padł cień. W drzwiach pojawił się Tomek Sawyer i od razu zauważył rysunek. Becky tak gwałtownie chwyciła książkę, chcąc ją zamknąć, że na swoje nieszczęście rozdarła stronę z ilustracją do połowy. Wrzuciła książkę do szuflady i przekręciła kluczyk. Z nerwów i wstydu wybuchnęła płaczem.

– Jesteś najokrutniejszy na świecie, Tomaszu Sawyerze! Żeby tak się podkradać do kogoś i patrzeć, co ogląda!

– A skąd ja miałem wiedzieć, że coś oglądasz?

– Wstydź się, Tomku Sawyerze! Na pewno naskarżysz na mnie, a wtedy... co ja pocznę, co pocznę?! Dostanę różgi, a jeszcze nigdy nie dostałam różg w szkole!

Potem tupnęła małą stópką i krzyknęła:

– A co tam, mów sobie, jak chcesz! Ja też wiem o czymś, co się stanie. Poczekaaj tylko! Ty okropny, okropny, okropny!

Z tymi słowy wybiegła ze szkoły, zanosząc się płaczem.

Tomek stał w bezruchu, nieco wytrącony z równowagi tym atakiem. Po chwili powiedział do siebie:

– Co to za dziwaczne, głupie stworzenie z tej dziewczyny! Nigdy nie miała różg w szkole! Phi! Co tam różgi! Jak to dziewczyna: skóra cienka i serce tchórzliwe. Pewnie, że nie zakabluję staremu Dobbinsowi na tę głupią małą, bo są inne sposoby, żeby się odegrać, wcale nie takie wredne, jak ten. Ale co z tego? Stary

Dobbins i tak zapyta, kto mu podał książkę. Nikt się nie przyzna i wtedy zrobi to, co zwykle: zapyta pierwszego z brzegu, potem następnego, a jak w końcu dojdzie do niej, to już bez słowa będzie wiedział. Bo na twarzach dziewczyn to zawsze wszystko widać. Miękkie są. I się jej oberwie. No, niewesoła to dla niej sytuacja, bo nie ma szansy, żeby się z tego wywinęła.

Jeszcze przez chwilę Tomek rozmyślał o tym, a potem powiedział na głos:

– No cóż, chciała, żebym był w tarapatkach, to niech teraz ma za swoje!

Po tych słowach dołączył do rozbrykanych uczniów na podwórku. Pojawił się nauczyciel i lekcje zostały wznowione. Tomek nie bardzo mógł skupić się na nauce. Zerkał co jakiś czas na dziewczynską stronę klasy. Martwiła go mina Becky. Po wszystkim, co między nimi zaszło, nie miał zamiaru jej współczuć, ale z jakiegoś powodu nie mógł się powstrzymać. Nie bardzo umiał w pełni cieszyć się z zaistniałej sytuacji. Już wkrótce na jaw wyszła sprawa z zeszytem i Tomek pochłonięty był swoimi problemami. Becky otrząsnęła się z nerwowego otępienia i z upodobaniem przyglądała się temu, co się działo. Nie spodziewała się, że Tomkowi uda się uniknąć kłopotów przez przysięganie, że to nie on rozlał atrament na zeszyt i faktycznie miała rację. Zaprzeczanie chyba tylko pogorszyło sprawę. Becky sądziła, że sprawi jej to przyjemność i z całej siły starała się wierzyć, że tak właśnie jest, ale jednak czuła, że nie jest do tego całkiem przekonana. Gdy doszło do najgorszego, przeszło jej przez myśl, by wstać i donieść na Alfreda Temple, ale powstrzymała się ze wszystkich sił i nie pisnęła ani słówka. Pomyślała: „On na pewno naskarzy na mnie, że podałam obrazek. Ani słowa nie powiem, żeby go teraz uratować!”

Tomek odebrał lanie i usiadł na swoim miejscu wcale nie taki załamany, bo pomyślał, że może rzeczywiście niechcący sam rozlał atrament podczas harców z kolegami. Zaprzeczył temu dla zasady, gdyż tak się zawsze robi i dlatego trwał nadal w swoim porze.

Minęła godzina. Nauczyciel siedział, przysypiając na swoim krześle. Powietrze było senne od szmeru nauki. W końcu pan Dobbins wyprostował się, ziewnął, otworzył szufladę biurka i sięgnął po książkę. Przez chwilę zawahał się, czy w ogóle ją wydobyć. Większość uczniów zerknęła w jego kierunku, ale dwoje z nich przyglądało się temu z wyjątkowym napięciem. Pan Dobbins przez chwilę bezmyślnie biegał palcami po książce, aż w końcu zdecydował się ją wyjąć i usadowił się do lektury. Tomek zerknął na Becky. Przypominała biednego, zaszczutego królika z przystawioną do głowy łufą. W jednej chwili zapomniał o całej ich kłótni. Szybko! Trzeba coś zrobić! Migiem! Ale sama nieuchronność zagrożenia całkiem sparaliżowała jego myśli. Hura! Miał pomysł! Podbiegnie, chwyci książkę, wyskoczy przez drzwi i zwieje. Zawahał się jednak na krótką chwilę i szansa przepadła: nauczyciel otworzył książkę. Gdyby tylko miał jeszcze jedną

okazję! Za późno! „Dla Becky nie było już teraz ratunku” – pomyślał. Po chwili nauczyciel patrzył na klasę. Jego wzrok bazyliuszka pożerał spojrzenia wszystkich uczniów. Pod wpływem tego spojrzenia, nawet niewinni, zaczęli się bać. Nastąpiła cisza, podczas której można było policzyć do dziesięciu. W nauczycielu wzbierał gniew. W końcu przemówił:

– Kto podarł książkę?

Nie dał się słyszeć nawet najcichszy dźwięk. Zapadła taka cisza, że można byłoby usłyszeć upadającą szpilkę. Milczenie trwało, a nauczyciel wyszukiwał wzrokiem śladów winy na każdej twarzy po kolei.

– Benjamin Rogers, czy podarłeś książkę?

Zaprzeczenie. Znowu cisza.

– Joseph Harper, a może ty?

Znów zaprzeczenie. W Tomku rosło napięcie, w miarę jak powolne tortury się przeciągały. Nauczyciel przepętał wszystkich chłopców, podumał przez chwilę i zwrócił się do dziewczynek:

– Amy Lawrence?

Przeczące kręcenie głową.

– Gracie Miller?

To samo.

– Susan Harper, czy ty to zrobiłaś?

Znowu przeczenie. Następna w kolejności była Becky Thatcher. Tomek aż cały się trząsł z podekscytowania. Miał świadomość beznadziejności sytuacji.

– Rebecca Thatcher – (Tomek spojrział na jej zbielełą ze strachu twarz). – Czy to ty... nie... spojrz mi w oczy – (uniosła ręce w geście błagalnym). – Czy to ty podarłaś książkę?

Przez głowę Tomka, niczym błyskawica, przeleciała myśl. Skoczył na równe nogi i krzyknął:



– Ja to zrobiłem!

Tomek Sawyer:
Aby wybawić
Becky, przynajmniej
się do zniszczenia
książki
pana Dobbinsa.

Cała klasa w osłupieniu patrzyła na tę niesamowitą głupotę. Tomek postąpił chwilę, zbierając rozbiegane myśli, a gdy szedł po swoją karę, zdumienie, wdzięczność i uwielbienie, jakie spłynęły na niego z oczu Becky, wynagrodziłyby mu nawet sto różg. Podbudowany wielkością własnego czynu, przyjął bez zająknięcia najokrutniejsze cięgi, jakie pan Dobbins kiedykolwiek wymierzył, a także bez mrugnięcia okiem przyjął karę dodatkową, jaką był nakaz pozostania w szkole na dodatkowe dwie godziny po lekcjach. Tomek wiedział, kto będzie czekał na niego, gdy ten czas upłynie i te dwie uciążliwe godziny nie wydawały mu się nawet takie straszne.

Tego wieczora chłopiec szedł spać, planując zemstę na Alfredzie Temple'u. Dowiedział się od zawstydzonej i skruszonyj Becky o wszystkim, co zaszło. Ale nawet żądza zemsty musiała ustąpić miejsca przyjemniejszym myślom i zasnął wkrótce, słysząc wciąż w głowie cudne słowa Becky:

– Tomku, jakież to było szlachetne!

ROZDZIAŁ XXI

Zbliżały się wakacje. Surowy nauczyciel stał się jeszcze surowszy i bardziej wymagający, gdyż chciał, aby szkoła dobrze wypadła na egzaminie końcowym. Jego różga i wskaźnik były teraz wciąż w użyciu, szczególnie w stosunku do młodszych uczniów. Tylko starsi chłopcy i panienki osiemnasto-, dwudziestoletnie nie byli zagrożeni. Ciężki od pana Dobbinsa były całkiem bolesne, ponieważ, mimo iż pod peruką kryła się świeżą idealną łysiną głowa, osiągał dopiero wiek średni, a jego mięśnie wciąż były nader sprawne. W miarę, jak zbliżał się wielki dzień egzaminów, wychodziły z niego wszystkie cechy tyrana, które w sobie ukrywał. Najwyraźniej sprawiało mu mściwą przyjemność karanie za najmniejsze przewinienia. Skutek tego był taki, że młodszy chłopcy całymi dniami siedzieli przerażeni i cierpiący, a pod osłoną nocy knuli plany zemsty. Nie przepuścili żadnej okazji, by spłatać nauczycielowi jakiegoś figła, ale on zawsze był o krok przed nimi. Kara, jaka następowała po każdym z tych mściwych występków, była tak miazdząca, że chłopcy zawsze wracali z pola walki sromotnie pokonani. Wreszcie naradzili się między sobą i plan, który teraz uknuli, zapowiadał wspaniałe zwycięstwo. Wtajemniczyli w swoje zamiary syna malarza szyldów i poprosili go o pomoc. Chłopak ten też miał swoje powody, dla których chętnie przyłączył się do tego przedsięwzięcia. Nauczyciel wynajmował bowiem pokój od jego ojca i dał chłopcu wystarczająco dużo argumentów, żeby go nie znośił. Za kilka dni żona nauczyciela miała wyjechać na wieś, więc nic nie mogło pokrzyżować ich planu. Sam nauczyciel przygotowywał się zawsze do tak wielkich uroczystości, racząc się obficie butelczyną i syn malarza stwierdził, że gdy tylko w dniu egzaminu mężczyzna osiągnie odpowiedni stan i uśnie w swoim fotelu, on „zrobi swoje”, a potem obudzi go i sam popędzi do szkoły.

Wreszcie nadszedł dzień wyczekiwanej uroczystości. O ósmej wieczorem pięknie oświetlona szkoła przystrojona została wieńcami oraz girlandami z liści i kwiatów. Nauczyciel zasiadł na swoim krześle, stojącym na wysokim podeście, za którym wisiała tablica. Wyglądał całkiem łagodnie. W trzech rzędach ławek, po jego obu stronach i sześciu przed nim, zasiadały ważne osobistości z całego miastecz-

ka oraz rodzice uczniów. Z lewej strony, za rzędami dla mieszkańców miasteczka, znajdował się obszerny, tymczasowy podest przeznaczony dla uczniów, którzy brali udział w głównym pokazie wieczoru. Siedzieli tam mali chłopcy, czyścici i wystrojeni do granic wytrzymałości, niezdarne starsze roczniki, całe zastępy śnieżnobiałych dziewcząt i młodych panien przyodzianych w batyst i muslin, wyraźnie świadomych swych odkrytych ramion, babcynych świecidełek, różowych i niebieskich wstążek oraz kwiatów we włosach. Reszta budynku wypełniona była uczniami, którzy nie brali udziału w tym przedstawieniu.

Rozpoczęły się uroczystości. Wystąpił jakiś malutki chłopaczek i niezmiernie zmieszany wyrecytował: „Pewnie ledwie mogą państwo w to uwierzyć, że komuś tak małemu przemawianie można powierzyć...” i tak dalej, i tak dalej. W trakcie tego wystąpienia malec pomagał sobie nerwowymi i przerysowanymi gestami, które bardziej przypominały lekko zepsutą maszynę. Ale, mimo strasznego przerażenia, przebrnął zgrabnie przez całość tekstu, a gdy wykonał wyuczony ukłon i wracał na miejsce, odebrał całkiem spore brawa.

Następnie, mała, speszona dziewczynka wysepleniała: „Mary miała malusiom owieckę...” i tak dalej, po czym wykonała rozczulające dygniecie, przyjęła swoją porcję oklasków, aż zarumieniona i szczęśliwa usiadła na swoim miejscu.

Potem wyszedł Tomek Sawyer i z miną pewniaka rozpoczął ponadczasową mowę: „Wolność lub śmierć mi dajcie”, ozdabiając ją wyrazem ognistej wściekłości i zaciekłą gestykulacją, ale w połowie nagle się zaciął. Dopadła go potworna trema, nogi mu się trzęsły i o mało co się nie zadławił. Co prawda, współczucie publiczności było zauważalne, ale zauważalna była także cisza, która zaległa w całej szkole i która od owego współczucia była znacznie gorsza. Nauczyciel spojrzął na niego z marsową miną i to już całkiem dopełniło katastrofy. Tomek jeszcze przez chwilę próbował się zrehabilitować, lecz w końcu wycofał się, ponosząc całkowitą klęskę. Rozległy się jakieś pojedyncze, niepewne oklaski, ale szybko ucichły.

Później było „Na płonącym pokładzie został sam”, „Asyryjczyk się pojawił” i inne deklamatorskie perełki. Potem przeprowadzono ćwiczenia z czytania i konkurs ortograficzny. Nieliczna klasa łącińska recytowała dumnie swoją część i główny fragment wieczoru przeszedł bez zarzutu. Nadeszła pora na własne „utwory” młodych dziewcząt. Każda po kolei wychodziła na skraj podestu, odchrząkiwała i dzierżąc w dłoni swój rękopis (przewiązany elegancką wstążeczką), odczytywała jego treść, przesadnie zwracając uwagę na „ekspresję” i znaki przestankowe. Wszystkie przewijające się tematy były tymi samymi, z którymi na podobnych uroczystościach występowały przedtem ich matki, babki i zapewne wszystkie przodkinie, od wypraw krzyżowych począwszy. Wśród nich były „Przyjaźń”, „Wspomnienia dni minionych”, „Religia historycznie”, „Kraina marzeń”, „Za-

lety kultury”, „Sprawowanie rządów – porównanie”, „Melancholia”, „Miłość do rodziców”, „Tęsknoty serca” i tak dalej, i tak dalej...

Niezależnie od tematu, zawsze wkładano ogrom intelektualnego wysiłku w to, by wpieść jedną czy dwie górnolotne myśli końcowe mające podbudować moralnie każdy prawy i pobożny umysł. Rażąca nieszczerłość tych morałów nie była wystarczającym powodem, by dokonać próby zakazania tych praktyk w szkołach i taki stan rzeczy utrzymuje się po dziś dzień. Prawdopodobnie pozostanie tak już do końca świata. Nie ma takiej szkoły, w której młode panny nie czują się zobowiązane do podsumowania swych wywodów jakimś morałem, a w dodatku przemowy najbardziej frywolnych i najmniej religijnych dziewcząt zwieńczone są zawsze najdłuższymi i najbardziej nabożnymi puentami. Ale dość już o tym. Prawda bywa gorzka.

Wróćmy do występow. Pierwszy odczytany wywód zatytułowany był „A więc to jest życie?” Może Czytelnik zdoła jakoś znieść jego fragment:

„Jakże naturalnym jest, że umysł młody z niecierpliwością niezwykłą oczekuje uciech życia! Wyobraźnia z pasją kreśli radosne, idylliczne obrazy. Marząc, wielka miłośniczka mody oczami duszy odnajduje siebie samą pośród rozbawionego tłumu – cel zwracającej się uwagi świata. Lekka, odziana w biel śnieżną wiruje w takt rozkosznych płaśów. Oko jej jasne, krok leciutki wśród radosnego zgromadzenia.

Czas w marzeniach chybko mija i nadchodzi ta godzina, gdy wkroczyć ma w boski świat, który przedmiotem snów jej był najszczęśliwszych. Jakże wszystko cudnym się jawi jej zachwyconym oczom! Każdy nowy widok piękniejszy niż poprzedni! Wszakże po chwili odkryć musi, że pod piękną osłoną wszystko to pustka jedynie: pochlebstwa niegdyś tak dla duszy miłe, teraz ucho drażnią; balowa sala urok straciła; a ona ze zdrowiem zrujnowanem i sercem złamanem odchodzi w przekonaniu, iż ziemskie rozkosze nie zaspokoją pragnień jej duszy!”

I tak dalej, i tak dalej... Przemowę co rusz przerywały szeptane głosy zachwytu: „Jakież piękne!”, „Cóż za elokwencja ²¹!”, „Jakież prawdziwe!”. A gdy przemówienie zakończono osobliwie zasmucającym morałem, zerwała się burza oklasków.

Potem powstało szczupłe, smutnawe dziewczę z twarzą tak „interesującej” bladej, jaką wywołać mogą tabletki i niestrawność i odczytało „wiersz”:

DZIEWCZĘ Z MISSOURI ŻEGNA ALABAMĘ

Żegnaj Alabamo! Miłości ma!

Opuszczam cię, a smutek w mym sercu wciąż trwa.

²¹ elokwencja – umiejętność pięknego wyśławiania się

*Wspomnienia żywe znaczą me brwi,
gdyż w kwietnych lasach twych spędzałam swe dni.
Przechadzałam się z książką przy Tallapoosa toni,
stuchalam Tallasee gniewnych barkaroli.
O brzasku wzdychałam do zorzy nad brzegiem Coosy,
lecz nie wstyd mi, że żal me serce mocno trwoży.
Nie płoszę się, gdy z oka tęskną łzę osuszę,
wszak z ukochanej ziemi teraz odejść muszę.
Najdroższym mym łzy posyłam swe,
mój dom, doliny, łąki żegnaj – we mgle stoją wie.
Zimny wzrok mój, me serce, ma tête,
gdyż, droga Alabamo, dziś opuszczam cię!*

Właściwie to niewielu wiedziało, cóż to tête, ale wiersz i tak bardzo się podobał. Następnie pojawiła się panienka o ciemnym licu, czarnych oczach i takich też włosach, która na wstępie wymownie milczała, przyjmując tragiczny wyraz twarzy, a potem uroczystym i wyważonym tonem przeczytała:

„WIZJA

Ciemna i niespokojna była to noc. Wysokiego tronu ani jedna nie oświetlała gwiazda, lecz w uszach brzmiały głuche dudnienia grzmotów potężnych. Okrutna błyskawica strzeliła wściekle z chmurnych komnat nieba, jakby drwiąc z mocy znamienitego Franklina, której użyć chciał w walce z jej potęgą. Nawet wiatry porywiste jednomyślnie wychynęły²² z kryjówek tajemnych i dęły zaciekle, wzmagając dzikość owej sceny.

W tej chwili straszliwej i zatrważającej ma dusza ludzkiego szukała współczucia. Lecz zamiast niego, przyjaciółka ma, opiekun, pocieszyciel i drogowskaz, radość w smutku, szczęśliwość ma, tuż obok się zjawia. Niczym świetlista, rajska istota z młodych i romantycznych obrazów sunęła delikatnie. Królowa piękna odziana w swój najwyższy urok. Stąpała tak cicho, że prawie bezgłośnie i gdyby nie magiczny dreszcz jej delikatnego dotyku, przesłaby niezauważona, jak każde dyskretne piękno. Niewyczekiwana... Przedziwny smutek malował jej oblicze, niczym lodowate łzy na grudniowej szacie, gdy wskazała na żywioł szalejący i w zdumieniu moim dwie mi ukazała postaci”.

Ten koszmar ciągnął się jeszcze przez jakieś dziesięć stron rękopisu i kończył się morałem, który tak dobitnie przekreślał wszelkie nadzieje nieprezbiterian, że jednogłośnie otrzymał pierwszą nagrodę. Uznany został za definitywnie najlepsze dzieło wieczoru. Burmistrz miasteczka, przyznając nagrodę autorce, wygło-

²² wychynąć – wysunąć się z za czegoś

sił gorące przemówienie o tym, jak odczytane wypracowanie było z całą pewnością najbardziej „potoczystym”, jakie kiedykolwiek słyszał i że nie powstydziliby się go nawet sam Daniel Webster.

Należy tutaj zaznaczyć, iż liczba wypracowań, w których słowo „cudowne” było zdecydowanie nadużyte, a ludzka egzystencja jawiła się jako „księga życia”, była nie mniejsza niż zwykle przy takich okazjach.

Teraz nauczyciel, złagodniały do granic możliwości, odsunął swoje krzesło, odwrócił się tyłem do zgromadzonych i na tablicy zaczął kreślić mapę Ameryki, by rozpocząć lekcję geografii. Rysowanie trzęsącą się ręką szło mu jednak kiepsciutko i na sali dał się słyszeć zdławiony chichot. Pan dobrze wiedział, w czym rzecz i zabrał się za naprawianie dzieła. Stał kontury i narysował je ponownie, ale koślawiąc je jeszcze bardziej, znów się pogrążył i chichot powrócił. Skupił się maksymalnie na swoim zadaniu, nie chcąc pozwolić, by ogólna wesołość wzięła nad nim górę. Czuł na sobie wzrok wszystkich zebranych i myślał, że idzie mu bardzo dobrze, ale śmiech nie cichł, a wręcz ciągle się wzmaczał. I nic dziwnego! Nad głową nauczyciela znajdowało się poddasze z włazem, z którego teraz powoli zsuwał się zawieszony za tylne nogi kot. Głowę i szczęki miał przewiązane szmatą, żeby nie miauczał i w miarę, jak z wolna zjeżdżał w dół, wyginał się, szarpał sznurek pazurami i zaciekle drapał powietrze. Chichot wciąż narastał, kot był teraz w odległości sześciu cali od głowy niczego nieświadomego nauczyciela. Niżej, niżej, jeszcze kawałek i zwierzak uchwycił pazurami perukę, wczepił się w nią i natychmiast sznurek zaczął się chować. Z kotem i zdobyczą w jego łapach! Od tysej głowy nauczyciela zabił prawdziwy blask, ponieważ syn malarza pomalował ją wcześniej na złoto!



Zemsta na panu
Dobbinsie.

To definitywnie zakończyło uroczystość. Chłopcy zostali pomszczeni. Zaczęły się wakacje.²³

ROZDZIAŁ XXII

Tomek dołączył do nowo powstałego zgromadzenia „Braci Wstrzemięźliwości”, bo bardzo spodobały mu się ich efektowne insygnia. Poprzysiągł stronić od papierosów, żucia tytoniu i przeklinania, dopóki będzie członkiem zgromadzenia. Szybko jednak dokonał niezwykłego odkrycia. Okazało się mianowicie, że

²³ Cytowane w tym rozdziale „wypracowania” są w rzeczywistości cytatami z książki *Proza i poezja damy z Zachodu*. Tak doskonale odzwierciedlają one szkolny styl ówczesnych dziewcząt, że jakiegokolwiek naśladownictwo nie byłoby w stanie im dorównać (przyj. autora).



Tomek Sawyer:
Wstępnie do
zgrupowania
„Bracia Wstrze-
mielności”.

zobowiązanie się do nierobienia czegoś niemal natychmiast skutkuje przemożną chęcią robienia tej właśnie rzeczy. Już wkrótce dręczyła go straszliwa pokusa picia i używania brzydkich słów. Pokusa stawała się tak silna, że nic, poza sposobnością pokazania się w czerwonej szarfi, nie było w stanie powstrzymać go przed wyłamaniem się z grupy. Zbliżał się wprawdzie Dzień Niepodległości, ale chłopiec szybko stwierdził, że nie może tak długo czekać, choć minęły dopiero dwie doby od momentu nałożenia kajdan przysięgi. Całą swą nadzieję skupił teraz na starym panu Frazerze, który był sędzią pokoju i znajdował się na łożu śmierci. Na jego cześć z pewnością zorganizowany zostanie wielki pogrzeb, bo była to znakomita osobistość. Przez trzy dni Tomek wykazywał żywe zainteresowanie stanem zdrowia sędziego i wszystkich wypytywał o wieści o nim. Czasem wydawało się, że jego nadzieje za moment się spełnią. Wydobywał już nawet swoje insygnia i przymierzał je przed lustrem. Potem jednak chory ciągle zmieniał zdanie, co było niezwykle irytujące. W końcu ogłoszono, iż ma się coraz lepiej, aż całkiem wyzdrowiał. Tomek był niepokieszony i w pewnym sensie skrzywdzony. Nie czekając dłużej, złożył rezygnację w bractwie. Tymczasem jeszcze tej samej nocy stan zdrowia sędziego pogorszył się gwałtownie i staruszek zmarł. Tomek postanowił, że już nigdy nie uwierzy komuś takiemu!

Pogrzeb odbył się z wielką pompą. Bracia paradowali dumnie, celowo drażniąc niedawnego pobratymca. Tomek znów był wolnym chłopcem, to zawsze coś. Mógł teraz pić i przeklinać, ale ku swojemu zdziwieniu odkrył, że wcale nie miał na to ochoty. Sam fakt, że mógł to robić, psuł cały urok.

Chłopiec odkrył, że oto jego upragnione i wyczekane wakacje zaczynają mu nieco ciążyć.

Postanowił zacząć prowadzić pamiętnik, ale w ciągu kolejnych trzech dni nic się nie wydarzyło i szybko zarzucił ten pomysł.

W miasteczku pojawiła się pierwsza trupa murzyńskich pieśniarzy, wywołując niemalą sensację. Tomek i Joe Harper założyli własny zespół i cieszyli się tym przez dwa dni.

Nawet Święto Niepodległości okazało się w rezultacie niewypałem, bo lało jak z cebra, a co za tym idzie, nie było uroczystej parady. Największy, według Tomka, człowiek na świecie, Pan Benton, będący prawdziwym senatorem Stanów Zjednoczonych, okazał się zaś wielkim oszustwem, gdyż nie tylko nie miał dwudziestu pięciu stóp wzrostu, ale nie był nawet blisko tego wyniku.

Przybył też cyrk. Trzy dni z rzędu koledzy bawili się w cyrk w namiotach zrobionych ze starych, szmacianych chodników. Za wstęp chłopcy płacili trzy, a dziewczynki dwie szpilki, ale i ten pomysł szybko stracił na atrakcyjności.

Potem zjawił się frenolog z hipnotyzerem, którzy odjeżdżając, pozostawili miasteczko jeszcze bardziej smętnym i ponurym, niż było wcześniej.

Odbłyło się trochę dziecięcych przyjęć, ale tak mało i tak udanych, że przerwy między nimi wydawały się jeszcze bardziej nieznośne.

Becky Thatcher wyjechała na wakacje do rodziców do Konstantynopola, więc życie już zupełnie straciło swe jasne strony.

Potworna tajemnica o morderstwie była nieustającą udręką, która wciąż toczyła duszę Tomka niczym rak.

A potem przysła odra.

Przez długie dwa tygodnie Tomek leżał niczym w więzieniu, stracony dla świata i wszystkich wydarzeń. Był naprawdę bardzo chory i nic go nie ciekawiło. Kiedy w końcu stanął na nogi i staniając się, powędrował do miasteczka, odkrył we wszystkim i we wszystkich jakąś przedziwną melancholię. Nastąpiła „odnowa religijna”, wszyscy stali się niezwykle „wierzący” i nie dotyczyło to nie tylko dorosłych, ale również dzieci.

Tomek łaził tu i tam, łudząc się wbrew nadziei, że spotka choć jedną cudnie grzeszną twarz, ale na każdym kroku czaiło się rozczarowanie. Joe Harpera zastał na studiowaniu *Biblii* i odwrócił się, zrezygnowany, nie chcąc oglądać tego przygnębiającego widoku. Odszukał Bena Rogera, a ten odwiedzał biednych z koszmem uduchowionych broszurek. Wytropił Jima Hollisa, który swą niedawno przebytą odrę traktował jak cenny i błogosławiony znak ostrzegawczy. Każdy napotkany chłopiec przykładał się do Tomkowego podłamania. Ale gdy w akcie desperacji uciekł do bezpiecznego schronienia u Huckleberry'ego Finna i został tam przywitany biblijnym cytatem, to już serce mu pękło i powlókłszy się do domu, rzucił się na łóżko z głębokim przeświadczeniem, że był jedynym osobnikiem w całym miasteczku skazanym na potępienie.

Tej nocy rozszalała się straszliwa burza z siekącym deszczem, okropnymi grzmotami i oślepiającymi błyskawicami. Tomek, schowany pod kołdrą, czekał z przerażeniem na swój los, gdyż był święcie przekonany, że to on jest powodem tego zamieszania w przyrodzie. Wierzył bowiem, że wystawił na największą możliwą próbę wyrozumiałość sił nieziemskich i właśnie obserwował tego skutki. Co prawda mogłoby się wydawać zbyt rozrzutnym marnotrawienie owego rozmachu i potężnych działań na tak małego robaczka jak on, ale, zaiste, nic osobliwego nie było w tym, że ta kosztowna nawałnica miałaaby zmieść go z powierzchni ziemi!

Powoli burza uspokajała się, aż w końcu całkiem ucichła, nie wykonując zadania. Pierwszą myślą chłopca była chęć wyrażenia wdzięczności i postanowienie poprawy, ale kolejną był już tylko zamiar przeczekania, bo a nuż nie będzie już potem żadnej burzy...



Tomek Sawyer:
Choro-
ba Tomka.

Następnego dnia znów pojawili się lekarze, bo stan Tomka na powrót się pogorszył. Trzy tygodnie leżenia plackiem wydawały się wiecznością. Gdy wreszcie wrócił do formy, pożałował, że go oszczędzono, bo odżyły wspomnienia, jakież to marny był jego los i jak samotną i opuszczoną był istotą. Pałętając się bezmyślnie po ulicach, natknął się na Jima Hollisa, udającego sędziego młodocianego trybunału, sądującego kota za morderstwo dokonane na leżącym nieopodal praku. Spotkał też Joe Harpera i Hucka Finna, objadających się skradzionym melonem. Biedaczyska! U nich też nastąpiło pogorszenie...

ROZDZIAŁ XXIII

Wreszcie senna atmosfera ożywiła się i to solidnie: rozpoczęła się rozprawa w sprawie morderstwa! Fakt ten natychmiast stał się tematem numer jeden w całym miasteczku. Tomek za nic nie mógł od tego uciec. Każda wzmianka o zbrodni przesywała mu serce, bo jego nieczyste sumienie i strach przekonywały go, że wzmianki te czynione są celowo, żeby go „wybadać”. Nie miał pojęcia, dlaczego ktokolwiek miałby podejrzewać, że on coś wie o całej sprawie, ale to nie przynosiło mu żadnej ulgi pośród szalejących plotek. Wszystko to przyprawiało go o nieustające dreszcze. Zaciągnął Hucka w odludne miejsce, żeby z nim porozmawiać. Odczułby nieznaczną ulgę, gdyby mógł przez chwilę przestać milczeć i podzielić się swymi troskami z kimś, kto go rozumie. Chciał też upewnić się, że Huck dochowuje tajemnicy.

– Huck, mówiłeś komukolwiek o... tym?

– O czym?

– No wiesz o czym.

– A... no jasne, że nie.

– Ani słowa?

– Ani, ani. Przysięgam. A czemu się pytasz?

– A, bo się bałem.

– No co ty, Tomek! Dwóch dni byśmy nie przeżyli, gdyby się wydało. Sam wiesz! Tomek poczuł się nieco lepiej i po chwili odezwał się z wahaniem:

– Ale Huck, nikt cię nie może zmusić, żebyś powiedział, prawda?

– Zmusić? Gdybym chciał, żeby mnie ten mieszaniec utopił, to mogliby mnie zmusić, a tak, to nie ma mowy.

– No to dobrze. W takim razie siedzimy cicho. Wtedy będziemy bezpieczni. Ale przysięgnijmy jeszcze raz. Będziemy pewniejsi!

– Dobra.

I znów przysięgali z zachowaniem całego mrocznego ceremoniału.

– A słyszałeś, co ludzie gadają, Huck? Ja się już nieźle nasłuchałem!

– Gadają? No gadają ciągle: Muff Potter, Muff Potter i Muff Potter. Aż mnie zimne poty zalewają i chciałbym się gdzieś schować.

– Ja mam tak samo. To chyba już po nim. Nie szkoda ci go czasami?

– Szkoda, szkoda. Święty to on nie jest, ale też nigdy nikogo nie skrzywdził.

Łowi sobie czasem, żeby zarobić trochę i potem się upić. Wałkoni się też straszliwie, no, ale w końcu każdy tak robi, no, prawie każdy: pastorzy i inni tacy...

Ale dobry z niego chłopina: dał mi kiedyś pół ryby, chociaż na dwóch to było za mało i wstawiał się też za mną często, jak mi się nie szczęściło.

– A mi naprawiał latawce i wiązał na lince haczyki. Gdybyśmy tak mogli go stamtąd wyciągnąć...

– Ale przecież nie możemy, Tomek! A poza tym to i tak by nic nie dało, bo by go znowu zdybali.

– No fakt. Ale wpienia mnie, kiedy tak na niego gadają, a on przecież wcale... wcale tego nie zrobił!

– No, mnie też. I jeszcze tak mówią, że on jest najpaskudniejszym bandytą w kraju i się dziwią, dlaczego nikt go wcześniej nie powiesił.

– Też to słyszałem. Ciągłe tak gadają. I słyszałem groźby, że gdyby się wywinął, to i tak go zlinczują.

– No i by tak zrobili!

Chłopcy rozmawiali tak dość długo, ale nie poczuli się potem jakoś specjalnie lepiej. Gdy zaczęło się zmierzchać, szwendali się już w okolicach małego, odludnego więzienia, mając chyba nadzieję, że wydarzy się coś, co zdoła ulżyć ich troskom. Nic się jednak nie stało; żadne anioły ani dobre duchy najwyraźniej nie były zainteresowane losem nieszczęsnika, Muffa Pottera.

Chłopcy, jak to mieli już w zwyczaju, podeszli do krat celi, by podać Potterowi nieco tytoniu i zapalki. Trzymano go na parterze i nie było tam strażników.

Jego wdzięczność za te małe podarki zawsze przyprowadzała ich o jeszcze większe wyrzuty sumienia, a tym razem dała im się we znaki w dwójnasób. Poczuli się skończonymi tchórzami i zdrajcami, gdy Potter rzekł:

– Chłopcy, jesteście dla mnie tacy dobrzy. Jak nikt inny w tym mieście. Nie zapomnę wam tego, nie zapomnę. Często tak sobie mówię: „Naprawiałem wszystkim chłopakom latawce i inne takie, pokazywałem dobre miejsca na ryby, kumplowałem się, a teraz, jak się źle dzieje, to wszyscy zapomnieli o starym Muffie. Wszyscy, za wyjątkiem Tomka i Hucka – oni nie zapomnieli. I ja ich też nie zapomnę”. No cóż, chłopcy, strasliwą rzecz zrobiłem – pijany i zamroczony. To jedyne wytłumaczenie. I teraz przyjdzie mi za to zadyndać, tak już jest. Tak już

jest i dobrze... Tak przynajmniej myślę. Ale nie gadajmy o tym. Nie chcę was zasmucać, jesteście moimi kumplami. Ale chcę wam tylko powiedzieć, żebyście nigdy się nie upijali. Wtedy nigdy tu nie traficie. Z daleka się trzymajcie od tego, żeby... właśnie. To pociesza, jeśli taki zaplątany w tarapaty człowiek może spojrzeć na jakieś przyjazne twarze. Bo poza wami to już nikt tu nie zajrzy. Dobrze, przyjazne twarze, dobre... Podсадźcie no jeden drugiego, niech was dotknę. Brawo! Podajcie ręce! Wasze to się zmieszczą przez kraty, moje za duże. Malutkie i słabe rączki, a tyle pomogły Muffowi i na pewno jeszcze bardziej by pomogły, gdyby się dało...

Tomek poszedł do domu bardzo przygnębiony i wstrząśnięty. Tej nocy dręczyły go koszmary.

W ciągu następnych dwóch dni kręcił się koło budynku, w którym mieścił się sąd, walcząc z jakąś przemożną siłą pchającą go do środka. Huck czuł to samo. Umysłnie unikali się nawzajem. Obaj, co jakiś czas, odchodzili, ale ta sama posępna fascynacja przywlekała ich z powrotem. Tomek nadstawiał ucha, ilekroć któryś z gapiów wyłaniał się z budynku, ale wieści były niezmiennie niepokojące. Pętla coraz bardziej i bardziej zaciskała się wokół szyi biednego Pottera. Pod koniec drugiego dnia mówiło się, że zeznania Indianina Joe są nie do podważenia i właściwie nie było już żadnych wątpliwości, co do treści wyroku.

Tej nocy Tomek wrócił do domu bardzo późno i przez okno wdrapał się do łóżka. Był roztrzęsiony z przejęcia. Minęły całe długie godziny, zanim udało mu się zasnąć. Następnego ranka całe miasteczko stłoczyło się w budynku sądu, gdyż miał to być właśnie ów wielki dzień. Tłum tworzyły zarówno kobiety, jak i mężczyźni. Po dłuższej chwili zjawili się przysięgli i zajęli swe miejsca, a niedługo potem wprowadzono bladego, zmizerniałego, spłoszonego i zrezygnowanego Pottera. Pobrzękując łańcuchami, usiadł w miejscu, gdzie wszystkie ciekawskie oczy mogły przyglądać mu się do woli, podobnie jak Indianinowi Joe, który zdawał się być jeszcze bardziej pewny siebie niż dotychczas. Nastąpiła kolejna przerwa, po której przybył sędzia, a szeryf ogłosił otwarcie posiedzenia. Rozległo się typowe szepcanie prawników i szelest gromadzonych dokumentów. Te szczegóły, wraz z towarzyszącym im opóźnieniem, sprawiały, że tworzyła się nerwowa i pełna ekscytacji atmosfera wyczekiwania.

Wzowano świadka, który zeznał, że wcześniej rano, w dniu odkrycia morderstwa, widział Muffa Pottera myjącego się nad potokiem i że ten natychmiast się ulotnił. Po dodatkowych pytaniach oskarżyciel powiedział:

– Świadek jest do pańskiej dyspozycji.

Więzień na moment podniósł wzrok, ale zaraz go opuścił, gdy tylko jego obrońca rzekł:

– Nie mam do świadka żadnych pytań.

Kolejny świadek opowiadał o znalezieniu noża przy ciele ofiary. Oskarżyciel wygłosił stałą formułkę:

– Świadek jest do pańskiej dyspozycji.

– Nie mam do świadka żadnych pytań – padła odpowiedź obrońcy.

Trzeci świadek przysięgał, że nie raz widział ten sam nóż w rękach Pottera.

– Świadek jest do pańskiej dyspozycji.

Obrońca Pottera znów zrezygnował z przesłuchania. Na twarzach gapiów zaczęła malować się irytacja. Czyżby ten adwokat zamierzał oddać życie swojego klienta bez walki?

Kilku następnych świadków pod przysięgą zeznawało, że zachowanie Pottera na miejscu zbrodni wskazywało ewidentnie na jego winę. Oni także odeszli bez pytań ze strony obrony.

Każdy pogrążający oskarżonego szczegół z wydarzeń pamiętnego ranka na cmentarzu, które wszyscy zgromadzeni tak doskonale pamiętali, był odtworzony przez wiarygodnych świadków, a żaden z nich nie został przepytany przez obrońcę Pottera. Konsternacja²⁴ i niezadowolenie zebranych dało swój wyraz w głuchych pomrukach, które uciszać musiał sam sędzia. Oskarżyciel rzekł:

– Na podstawie zeznań świadków, które są ponad wszelką wątpliwość prawdziwe, zamknęliśmy sprawę tego okrutnego przestępstwa. Z całą pewnością udowodniliśmy, że oskarżony winien jest zarzucanego mu czynu. Wysoki sądzie, zakończyliśmy przedstawianie sprawy.

Potter wydał głuchy jęk i ukrywając twarz w dłoniach, kiwał się lekko w przód i w tył, podczas gdy na sali sądowej zapadła bezlitosna cisza. Wielu mężczyzn było poruszonych, a liczne kobiety łzami dawały wyraz swego współczucia. Wtedy obrońca powiedział:

– Wysoki sądzie, w naszej mowie wstępnej zapowiadaliśmy, iż zamierzamy wykazać, jakoby nasz klient dopuścił się zarzucanego mu czynu, będąc w stanie niekontrolowanego zamroczenia spowodowanego nadmierną ilością trunku. Zmieniliśmy jednak naszą opinię. Nie taką tezę zamierzamy udowodnić.

Następnie zwrócił się do sekretarza:

– Powołuję na świadka Tomka Sawyera!

Na wszystkich twarzach pojawiło się wielkie zdumienie, nawet u Pottera...

Wszystkie oczy zwróciły się z zaciekawieniem w stronę Tomka, gdy ten podniósł się i zajął miejsce dla świadków. Nieziemskie



Tomek Sawyer:
Zeznaję pod-
czas rozprawy-
Muffa Pottera.

²⁴ konsternacja – zakłopotanie, zmieszanie

przerażenie nadawało mu niemal dziki wygląd. Po chwili został zaprzysiężony.

– Tomaszu Sawyerze, gdzie byłeś siedemnastego czerwca, około północy?

Tomek zerknął na kamienną twarz Indianina Joe i język odmówił mu posłuszeństwa. Publiczność wstrzymała oddech, ale nie padły żadne słowa. Po chwili chłopiec odzyskał wystarczająco dużo sił, by wydukać prawie niezrozumiałą odpowiedź:

– Na cmentarzu...

– Prosimy nieco głośniej. Nie bój się. Zatem byłeś...

– Na cmentarzu.

Przez twarz Indianina przebiegł pogardliwy uśmiešek.

– Czy byłeś w pobliżu grobu Horse'a Williamsa?

– Tak, proszę pana.

– Jeszcze odrobinę głośniej. Jak blisko byłeś?

– Tak blisko, jak pana teraz.

– Byłeś w ukryciu czy nie?

– W ukryciu.

– Gdzie?

– Za tymi wiązami, co rosną przy grobie.

Indianin Joe ledwie zauważalnie drgnął.

– Czy ktoś był tam z tobą?

– Tak, proszę pana. Byłem z...

– Zaczekaj, zaczekaj chwilę. Na razie nie wyjawiaj nam, kim był twój towarzysz.

Wzwiemy go w odpowiednim czasie. Czy mieliście coś ze sobą?

Tomek zawahał się i zmieształ.

– Powiedz, chłopcze. Nie wstydz się. Prawda zawsze jest godna szacunku. Co ze sobą mieliście?

– Tylko... tylko... no... zdechłego kota.

Na sali rozległ się szmer rozbawienia, uciszony przez sędziego.

– Przedstawimy dowód w postaci szkieletu wymienionego kota. A teraz, chłopcze, powiedz nam, co się tam wydarzyło, opowiedz swoimi słowami, niczego nie pomijaj i nie bój się.

Tomek zaczął opowieść niepewnie, ale w miarę jak wypowiadał kolejne zdania, słowa coraz łatwiej wypływały z jego ust. Po chwili na sali słychać było już tylko jego. Każda para oczu utkwiona była w nim, a każde słowo pochłaniano z rozdziawionymi ustami i zapartym tchem. Wszyscy zatracili poczucie czasu, pochłonięci bez reszty fascynującą grozą opowieści. Powstrzymane dotąd emocje sięgnęły zenitu, gdy chłopiec powiedział:

– ...i jak doktor machnął sztachtetą i Muff Potter upadł, to Indianin Joe skozył z nożem i...

Brzdęk! Niczym błyskawica mieszaniec rzucił się w stronę okna, roztrzając wszystkich po drodze i zniknął!

ROZDZIAŁ XXIV

Tomek ponownie stał się wielkim bohaterem. Był pupilkciem starszych i obiektem zazdrości młodszych. Jego imię zostało nawet uwiecznione w druku, bo lokalna gazetka zamieściła o nim pochwalną wzmiankę. Niektórzy wierzyli nawet, że pewnego dnia zostanie prezydentem. To znaczy, jeśli wcześniej nie zadynda na stryczku.

Jak to zwykle bywa, zmienny i bezmyślny świat przygarwał biednego Muffa Pottera i obchodził się z nim z taką szczodrością, z jaką wcześniej go znieważał. Ale to się akurat chwali, więc nie czepiajmy się zbytnio.

Dla Tomka dni pełne były chwały i euforii, noce zaś jednym wielkim horrorem. We snach nachodził go Indianin Joe, zawsze ze śmiercią w oczach. Żadna pokusa nie była w stanie wyciągnąć Tomka z domu po zmroku. Tę samą niedolę i terror przeżywał biedny Huck, gdyż Tomek w noc przed wielkim dniem sprawy sądowej, opowiedział wszystko adwokatowi i teraz Huck bał się panicznie, że jego udział w całej tej aferze wyjdzie na jaw, chociaż ucieczka Indianina wybawiła go z męki składania zeznań przed sądem. Biedaczyna wymógł na adwokacie przyrzeczenie dochowania tajemnicy, ale co z tego? Skoro dręczone wyrzutami sumienia Tomka zawiodło go pod osłoną nocy do domu adwokata i wycisnęło okropną opowieść z jego ust, tych samych, które zobowiązały się uroczystą przysięgą do milczenia, to teraz wiara Hucka w ludzi została poważnie nadwyrężona.

Z upływem dni wdzięczność Muffa Pottera sprawiała, że Tomek cieszył się ze swego zachowania, ale w ciągu nocy żałował, że puścił parę z ust.

Przez połowę czasu bał się, że nigdy nie złapią Indianina Joe, a przez drugą połowę był przerażony, że jednak złapią. Był dogłębnie przekonany, że nie będzie mógł czuć się w pełni bezpieczny, dopóki ten człowiek nie opuści świata żywych, a on sam nie zobaczy jego trupa.

Wyznaczono nagrody, okolica została przeczesana – ani śladu Indianina Joe. Z St. Louis przybył nawet jeden z tych wszechwiedzących i podziwianych geniuszy-detektywów. Poszwendował się po okolicy, pokręcił głową, powyglądał mądrze i dokonał jednego z tych oszałamiających sukcesów, jakim oni zwykle się szczycą, a mianowicie „znalazł trop”. Ale „tropu” za morderstwo powiesić się nie da, więc detektyw zrobił, co miał zrobić i się zmył. A Tomek jak się bał, tak bał się nadal.

Czas mijał wolno, ale z każdym dniem strach stawał się jakby coraz słabszy.

ROZDZIAŁ XXV



Wyprawa
na poszukiwa-
nie skarbow.

W życiu każdego prawidłowo skonstruowanego chłopca przychodzi taki moment, gdy niezwykle pragnienie pcha go do poszukiwania ukrytych skarbow. Owo pragnienie całkiem niespodziewanie owładnęło również Tomkiem. Wyruszył na poszukiwanie Joe Harpera, ale bez skutku. Potem rozglądał się za Benem Rogersem, ale ten poszedł na ryby, aż wreszcie natknął się na Hucka Finna Czerwonorękiego. Mógł być i Huck. Tomek zabrał go w ustronne miejsce i w tajemnicy wyluszczył, w czym rzecz. Huck był chętny. Zresztą on zawsze był chętny do wszelkich przedsięwzięć, które zapewniały dobrą zabawę i nie wymagały nakładów finansowych, gdyż posiadał kłopotliwy nadmiar takiego czasu, za którym nie idą pieniądze.

– To gdzie będziemy kopać? – spytał Huck.

– No, właściwie prawie wszędzie.

– A czemu? To skarby są tak wszędzie pochowane?

– No nie, pewnie, że nie wszędzie. W konkretnych miejscach są: czasem na wyspach, czasem w takich spróchniałych skrzyniach pod starymi, zeschniętymi drzewami, gdzie pada cień o północy, ale zazwyczaj to są pod podłogą w nawiedzonych domach.

– A kto je tam chowa?

– Jak to kto? Zbójcy, ma się rozumieć. A coś ty myślał? Że dyrektorzy szkółek niedzielnych?

– Nie wiem, no... Jakby to był mój skarb, to bym go w ogóle nie chował, tylko wydał i świetnie się przy tym bawił.

– No, ja też. Ale zbójcy tak nie robią. Oni zawsze chowają i zostawiają skarby.

– I już po nie nigdy nie wracają?

– Myślą, że jeszcze wrócą, ale potem zwykle zapominają o znakach, jakie porobili albo umierają. Tak czy inaczej, taki skarb sobie leży, leży i tylko rdzewieje. Aż w końcu ktoś znajduje kawałek pożółkłego papieru z instrukcjami, jak znaleźć znaki. I taki papier to trzeba rozszyfrowywać przez jakiś tydzień, bo na nim są same znaczki i hieroglify.

– Hie... co?

– Hieroglify. Takie rysunki. No wiesz, co to niby nic nie znaczą.

– A ty masz taki papier, Tomek?

– Nie mam.

– No to jak chcesz odnaleźć te znaki?

– Wcale ich nie chcę. Oni zawsze zakopują pod nawiedzonymi domami albo na wyspie, albo pod starym drzewem z wystającym konarem. Na Wyspie Jacksona

już trochę szukaliśmy i możemy jeszcze tam kiedyś wrócić, ale teraz to mamy ten stary, nawiedzony dom przy strumieniu Cichy Dom i tam jest też mnóstwo drzew z suchymi konarami. Całe mnóstwo!

– I pod każdym coś jest?

– Co ty bredzisz! Pewnie, że nie!

– No to skąd będziesz wiedział, pod którym szukać?

– Sprawdzę wszystkie!

– No coś ty, przecież to zajmie całe lato.

– No i co z tego? A jakbyś tak znalazł mosiężne naczynie ze stoma dolarami? Takie całe zaśniedziałe i brudne... Albo zardzewiałą skrzynię pełną diamentów? No?

Huckowi aż się oczy zaświeciły.

– To by było super! Jak dla mnie bomba. To ja biorę tę stówę i już mogę nie tknąć diamentów.

– Dobra, ale założę się, że tak całkiem to byś z diamentów nie zrezygnował. Niektóre są warte dwadzieścia dolarów za jeden. Tylko że ich prawie nie ma, zwykle są takie za siedemdziesiąt pięć centów albo całego dolara.

– Coś ty! Serio?

– No jasne. Każdy to wie. Nie widziałeś nigdy takiego, Huck?

– Raczej nie pamiętam.

– A królowie to mają ich od groma.

– No, ale ja nie znam przecież żadnych królów.

– Wiem o tym. Ale jakbyś pojechał do Europy, to byś ich tam zobaczył całą furę, wszędzie.

– To oni furą jeżdżą?

– Furą? Rany! Nie!

– No, to po co mówisz, że jeżdżą?

– Rety! Chciałem powiedzieć, że byś ich tam zobaczył. Nie w furach. Po diabła im fury? Chodziło mi o to, że byś ich zobaczył. Tak wszędzie. No wiesz, tak ogólnie. Jak starego garbusa Ryszarda.

– Ryszarda? A jak on miał na nazwisko?

– Nie miał. Królowie nie mają nazwisk, tylko imiona.

– Serio?

– No, nie mają.

– Jeśli tak lubią, to niech im będzie. Ale ja to nie chcę być takim królem i mieć tylko imię, jak Murzyn jakiś. Ale powiedz lepiej, gdzie zaczniemy kopać?

– A nie wiem. Może weźmy się za to stare drzewo na wzgórzu, po drugiej stronie Cichego Domu?

– Dobra.

Dobyli skądś zdelelowany kilof i łopatę i wyruszyli na swą trzymilową wyprawę. Do celu dotarli spoceni i zdyszani. Padli w cieniu pobliskiego wiązu, by odpocząć i zapalić.

– Podoba mi się – powiedział Tomek.

– Mnie też.

– A słuchaj, Huck, jak znajdziemy tu ten skarb, to co zrobisz ze swoją dolą?

– Będę codziennie jadł ciastko, pił lemoniadę i chodził do każdego cyrku, który przyjedzie. Na pewno będę się świetnie bawił.

– I nie odłożysz nic?

– Odłożyć? A po co?

– Żeby mieć na później.

– Nie, to bez sensu. Tata kiedyś wróci i położy łapę na kasie, jeśli się nie pośpieszę. A on to już na pewno szybko by się jej pozbył. A ty, co zrobisz ze swoją częścią?

– Ja sobie kupię nowy bębenek i porządną szablę, i jeszcze krawat czerwony, i szczeniaka, i się ożenię...

– Ożenisz?

– A tak.

– Tomek, co ty... odbiło ci chyba!

– Zobaczysz.

– To najgłupsza głupota, jaką można zrobić. Weź mojego tatę i mamę. Kłótnie! Kłócili się bez przerwy. Dobrze to pamiętam!

– To nic. Dziewczyna, z którą się ożenię, nie będzie się kłócić.

– Ale coś ty! One są wszystkie takie same. Nie dają żyć. Ty się jeszcze lepiej zastanów. Ja ci mówię! Co to za dziewczucha?

– Żadna dziewczucha, tylko dziewczyna.

– Co za różnica? Niektórzy mówią dziewczucha, inni dziewczyna. Wszystko jedno. No, co ona za jedna?

– Kiedyś ci powiem, ale teraz nie.

– No dobra. Tylko że jak ty się ożenisz, to ja będę jeszcze bardziej samotny.

– Wcale nie. Będziesz mieszkał ze mną. Dobra, dosyć tego, idziemy kopać.

Pół godziny pracowali w pocie czoła, niestety, bez skutku. Trudzili się przez kolejne pół godziny. Nadal nic. W końcu Huck powiedział:

– Oni zawsze tak głęboko te skarby zakopują?

– Czasem, nie zawsze. Zwykle to nie. To chyba nie jest dobre miejsce.

Wybrali więc nowe i zaczęli od początku. Robota posuwała się powoli, ale zawsze był to jakiś postęp. Przez chwilę pracowali w milczeniu, aż wreszcie Huck oparł się na łopacie, otarł rękawem pot z czoła i zapytał:

– A jak tu skończymy, to gdzie potem kopimy?

– Może spróbujemy pod tym starym drzewem tam daleko na wzgórzu Cardiff, za wdową.

– Tam powinno być dobrze. Tylko czy wdowa nam nie zabierze, jak coś znajdziemy? W końcu to na jej ziemi.

– Zabierze? Pewnie by i chciała. Kto znajdzie ukryty skarb, do tego on należy! Wszystko jedno, czyja ziemia.

To była zadowolająca odpowiedź. Pracowali dalej, a po chwili Huck znów się odezwał:

– Niech to! To znowu musi być nie to miejsce. Jak myślisz?

– Bardzo dziwne. Nic nie rozumiem. Czasem czarownice się wtrącają. To pewnie dlatego.

– Gadanie! Czarownice w dzień nie działają.

– Prawda. Nie pomyślałem o tym. Już wiem! Ale z nas palanty! Przecież trzeba znaleźć miejsce, gdzie cień konara pada o północy i tam kopać!

– Czyli cała robota na nic. Zostawmy to, wrócimy w nocy. Tylko że to kawał drogi. Będziesz mógł wyjść?

– Pewnie! I tak musimy to zrobić dziś w nocy, bo jak ktoś zobaczy te dziury, to się domyśli od razu, co tu jest i nam sprzątnie.

– Dobra. To ja przyjdę i zamiauczę.

– Zgoda. Schowajmy narzędzia w krzakach.

O odpowiedniej porze, w nocy, chłopcy byli z powrotem na miejscu. Czekali, siedząc w ciemnościach. Miejsce było odludne, a pora, zgodnie ze starą tradycją, przedziwna i złowroga. W szeleszczących liściach szeptały duchy, mary czały się w mrocznych zakamarkach, z daleka dało się słyszeć głuche, przeciągłe wycie psa, któremu grobowym tonem odpowiedziała sowa. Chłopcy wczuli się w nastrój grozy i niewiele rozmawiali. Po chwili stwierdzili, że nastąpiła północ, zaznaczyli miejsce padania cienia i rozpoczęli kopanie. Nadzieje znów wzrosły, wzmogła się ciekawość, a wraz z nimi zapął do pracy. Dziura była coraz głębsza i głębsza, ale za każdym razem, gdy wstrzymywali oddech przy uderzeniu kilofa w coś nieznanego, okazywało się to potem wielkim rozczarowaniem. Zawsze był to albo kamień, albo kawał drewna. Wreszcie Tomek wysapał:

– Bez sensu. Znowu się pomyliliśmy.

– Niemożliwe. Dokładnie zaznaczyliśmy ten cień.

– Wiem, ale jest coś jeszcze.

– Co?

– Przecież tylko zgadywaliśmy, że już północ. Mogło być albo za późno, albo równie dobrze za wcześnie.

Huck upuścił łopatę.

– No jasne. To o to chodzi! Musimy odpuścić. Nigdy nie będziemy wiedzieć dokładnie, która godzina, a poza tym strasznie tu jakoś: o tej porze, z tymi wszystkimi czarownicami i duchami naokoło... Ciągłe mi się wydaje, że ktoś za mną jest i aż się boję odwrócić, bo może coś innego przede mną stoi i tylko na to czeka. Trzęsę się, odkąd tu przyszliśmy!

– Ja właściwie też, Huck. Oni zwykle zakopują ze skarbem umarłaka pod drzewem, żeby im tego pilnował.

– Jezusicku!

– Poważnie. Ciągłe o tym słyszałem.

– Jakoś tak nie bardzo mam ochotę zadzierać z trupami. Z tego tylko kłopoty mogą być.

– Ja też się nie chcę z nimi zadawać. A ten tu to nawet mógłby wystawić czachę i się odezwać!

– Tomek, przestań! Nie strasz!

– Tak może być, Huck! Nie czuję się tu dobrze, ani trochę.

– Wiesz co? Dajmy sobie spokój z tym miejscem i spróbujmy gdzie indziej.

– Dobra, chyba tak będzie lepiej.

– To gdzie teraz?

Tomek podumał chwilę i powiedział:

– Nawiedzony dom. O!

– A gdzie tam! Ja nie lubię takich domów, Tomek. Gorsze są niż te trupy. Trupy to najwyżej gadają coś, a nie skradają się w białych łachach, jak nie widzisz i nie wyskakują ci nagle zza pleców, zgrzytając zębami. A duchy tak! Nie wytrzymam czegoś takiego. Nikt nie wytrzyma!

– No tak, ale przecież duchy tylko w nocy łążą. Nie będą się wtrącać w kopanie w dzień...

– No, prawda. Ale sam wiesz, że do nawiedzonych domów to się nie chodzi ani w dzień, ani w nocy.

– No bo zwykle to ludzie nie lubią łązić tam, gdzie kogoś zabili. Ale i tak nigdy niczego nie widziano w pobliżu takiego domu w dzień. Tylko w nocy jakieś niebieskie światełka w oknach, a nie prawdziwe duchy.

– Jak się widzi mrugające niebieskie światełko, to już na mur-beton tam są duchy! Nie ma przebacz! Przecież wiadomo, że tylko duchy takich używają.

– Zgoda, ale i tak w dzień nie łążą, to po co się bać?

– No dobra, jak tak mówisz, to spróbujemy w tym nawiedzonym domu. Ale to niepewne jest jakieś.

Ruszyli w dół wzgórza. Niżej, w księżycowej poświacie, majaczył „nawiedzony” dom. Na odludziu, z dawno nieistniejącym płotem, bujnymi krzakami

na progu, rozwalonym kominem, pustymi oczodołami okien i zapadniętym kawałem dachu. Przez chwilę wpatrywali się w ten obraz, jakby spodziewając się widoku migoczących niebieskich światełek, a potem, gadając szeptem, stosownie do pory i okoliczności, skręcili w prawo, żeby obejść nawiedzony dom szerokim łukiem. Przez las, okalający tylne zbocze wzgórza Cardiff, udali się w drogę powrotną.

ROZDZIAŁ XXVI

Około południa następnego dnia chłopcy pojawili się przy uschniętym drzewie. Tym razem przyszedli po narzędzia. Tomek nie mógł się już doczekać wizyty w nawiedzonym domu, Huck zresztą też. Nagle niespodziewanie powiedział:

– Ej, Tomek! Ty wiesz, jaki dzień dzisiaj?

Tomek w myślach przeleciał wszystkie dni tygodnia i nagle z przerażeniem stwierdził:

– Rany! Nie pomyślałem o tym, Huck.

– Ja też nie, tylko teraz tak nagle mnie naszło, że to przecież piątek.

– A niech to! Jak to trzeba uważać! Mogliśmy się wpakować w niezłe tarapaty, gdybyśmy się za to zabrali w piątek!

– Mogliśmy? Lepiej powiedz, że byśmy się na bank wpakowali! Może i są dobre, szczęśliwe dni w tygodniu, ale na pewno nie piątki.

– Każdy głupi to wie. Nie sądzę, żebyś ty pierwszy na to wpadł, Huck.

– A kto mówi, że to ja? Piątek to jeszcze nie wszystko. Miałem obrzydliwy sen ostatniej nocy. Szczury mi się śniły!

– Coś ty! Pech jak nic. Gryzły się?

– Nie.

– No to dobrze. Jak się nie gryzą, to znaczy, że kłopoty są gdzieś blisko. Musimy tylko bardzo uważać i trzymać się od nich z daleka. Dajmy sobie spokój z tym na dzisiaj i pobawmy się w coś. Znasz Robin Hooda, Huck?

– Nie. A co on za jeden?

– Jeden z najważniejszych bohaterów w całej historii Anglii. I najlepszy z nich: był rozbójnikiem.

– Super! Też bym tak chciał! A kogo napadał?

– Tylko szeryfów, biskupów, bogaczy, królów i takich tam. A biedaków nigdy nie tykał. On ich kochał. Zawsze się z nimi po równo dzielił.

– Równy gość musiał być!

– No na pewno. Był najszlachetniejszy ze wszystkich na świecie. Teraz to już

nie ma takich. Mówię ci. Mógł sprać każdego w Anglii nawet jedną ręką. Mógł wziąć swój cisowy łuk i trafić za każdym razem w dziesięciocentówkę z odległości półtorej mili!

– Co to jest cisowy łuk?

– Nie wiem. Jakiś tam rodzaj łuku. I jeśli trafiał monetę tylko tak w brzeg, to siadał, płakał i kłął. Chodź, pobawimy się w Robin Hooda. Będzie super! Nauczę cię.

– Dobra!

I tak przez całe popołudnie bawili się w Robin Hooda, spoglądając od czasu do czasu tęsknie w stronę nawiedzonego domu i rzucając krótkie uwagi, co to jutro będzie się działo. W miarę jak słońce chyliło się ku zachodowi, skierowali się w stronę domu, idąc w poprzek długich cieni rzuconych przez drzewa i już wkrótce zniknęli w lesie wzgórza Cardiff.

W sobotę, chwilę po południu, znów byli przy spróchniałym drzewie. Zapalili sobie, pogadali, siedząc w cieniu, a potem rozkopali jeszcze trochę ostatnią dziurę. Nie żeby mieli jakąś wielką nadzieję, ale głównie dlatego, że Tomek powiedział, iż było już całe mnóstwo przypadków, kiedy to kopiący rezygnowali, będąc zaledwie o parę cali od skarbu, a potem ktoś inny przychodził i wydobywał go jednym machnięciem łopaty. Tym razem to jakoś nie zadziało, więc zarzucili sobie narzędzia na ramiona i odeszli z przeświadczeniem, że wcale nie napawają się swoim szczęściem, lecz zrobili absolutnie wszystko, co szanujący się poszukiwacze skarbów zrobić powinni.



Miejsce akcji:
Nawiedzony dom.

Gdy dotarli do nawiedzonego domu, poczuli, że w niesamowicie ponurej ciszy rozgrzanego powietrza było coś tak upiornego i makabrycznego, a w opuszczonym, odludnym miejscu coś tak przygniatającego, że przez chwilę nie mieli odwagi wejść do środka. Po chwili jednak zakradli się pod drzwi i trzęsąc się ze strachu, zajrzeli do wnętrza. Ujrzeni pokój zarośnięty chwastami, pozbawiony podłogi i tynków na ścianach, za to ze starym kominkiem, ziejącymi pustką otworami okiennymi, zrujnowanymi schodami i pozrywanymi, porzuconymi pajęczynami. Z bijącym sercem weszli cichuteńko do środka, szepcząc i nastawiając uszu na każdy najmniejszy szmer oraz napinając mięśnie, w razie gdyby trzeba było nagle uciekać.

Po chwili przywykli już do otoczenia i strach nieco zelżał, więc przyjrzeni się temu miejscu z krytycznym zaciekawieniem. Byli z siebie dumni i jednocześnie zaskoczeni swoją odwagą. Potem postanowili sprawdzić, co też znajduje się na górze. Co prawda, oznaczało to odcięcie sobie drogi ewentualnej ucieczki, ale tak zaczęli się nawzajem podpuszczać, że nie było innego wyjścia i po chwili, odłożyw-

szy na bok narzędzia, wleźli jednak na górę. Panował tam podobny stan zniszczenia, jak na dole. W jednym kącie znaleźli okazałą szafę, która wyglądała obiecująco tajemniczo, ale okazała się wielkim oszustwem, bo nie skrywała absolutnie niczego. Teraz ich odwaga wzrosła jeszcze bardziej. Właśnie mieli schodzić na dół i zabrać się do pracy, gdy...

– Ciii! – szepnął Tomek.

– Co jest? – równie cicho odpowiedział Huck, blednąc ze strachu.

– Ciii!... Teraz!... Słyszysz?

– No!... Kurcze! Wiejemy!

– Siedz tu! Nie ruszaj się! Są przy drzwiach!

Chłopcy przyłgnęli do podłogi, gapiąc się przez dziury po sękach i śmiertelnie przerażeni czekali.

– Zatrzymali się... Nie... idą...! Już tu są. Ani słowa, Huck. O rany, wołałbym, żeby mnie tu nie było!

Do rudery weszło dwóch mężczyzn. Każdy z chłopców powiedział sobie w duchu: „To ten stary, głuchoniemy Hiszpan, co się kiedyś pojawiał w miasteczku, ale tego drugiego nigdy wcześniej nie widziałem.”

„Ten drugi” był obdarty, rozczochrany, zaniedbany i jego gęba nie wróżyła nic dobrego. Hiszpan owinięty był w meksykańskie ponczo, miał krzaczaste, białe bokobrody, długie, siwe włosy wyłaziły mu spod sombrera, a na nosie tkwiły zielone okulary. Gdy weszli do środka, „ten drugi” szeptał coś niezrozumiale. Usiedli na ziemi, twarzą do drzwi, oparli się plecami o ścianę i nieznajomy mówił dalej, teraz już mniej ostrożnie i znacznie wyraźniej:

– Nie! Przemyślałem wszystko i nie podoba mi się to. To zbyt niebezpieczne.

– Niebezpieczne?! – ku ogromnemu zdziwieniu chłopców prychnął „głuchoniemy” Hiszpan. – Mięczak!

Na dźwięk tego głosu chłopcy aż wstrzymali oddech i struchleli. To głos Indianina Joe! Przez chwilę panowała cisza, a potem Joe powiedział:



Spotkanie Indianina Joe.

– Tak samo to niebezpieczne, jak tamta robota. I co, stało się coś? Nie stało!

– To co innego. Tamto było daleko w górę rzeki i nie było blisko domów. Jakby się nie udało, to nikt by się nawet nie dowiedział, że próbowaliśmy.

– A przyłazić tu w dzień, to niby bezpiecznie jest?! Każdy głupi by zaczął podejrzewać, gdyby nas przydybał.

– Wiem. Ale nie było innego miejsca, żeby się schować po tej paskudnej robocie. Zostawiłbym tę rudere. Już wczoraj chciałem, ale nie było jak się ruszyć przez te durne chłopaczyska na wzgórzu.

„Durne chłopaczyska” znów zatrzęśli się ze strachu, słysząc te słowa. Pomyśleli,

że mieli naprawdę dużo szczęścia: jak dobrze, że przypomnieli sobie wtedy o tym piątku i odłożyli kopanie o jeden dzień. W głębi duszy żalowali, że nie poczekali z rok...

Mężczyźni tymczasem wydobyli jakieś jedzenie i przygotowali posiłek. Po dłuższej chwili ciszy odezwał się Indianin Joe:

– Słuchaj no, ty sobie pójdziesz na miejsce, w górę rzeki i poczekaasz na mój sygnał. A ja spróbuję jeszcze raz się rozejrzeć w miasteczku. Jak się trochę pokręcę, popatrzę, zobaczę co i jak i pomyślę, a wtedy zrobimy tę niebezpieczną robotę. A potem do Teksasu! Zwiejemy razem!

To był wystarczająco dobry pomysł i obaj po chwili zaczęli ziewać wymownie. Indianin powiedział jeszcze:

– Padam na pysk. Ty teraz pilnujesz, twoja kolej.

Zwinął się w kłębek pośród chwastów i za chwilę rozległo się ciężkie chrapanie. Towarzysz potrząsnął go raz, drugi i chrapanie ucichło. Samemu wartownikowi głowa też zaczęła się kiwać coraz bardziej i niedługo potem spali już obaj.

Chłopcom wyrwało się długie westchnienie ulgi. Tomek szepnął:

– Mamy okazję, wiejemy!

Lecz Huck odparł:

– Nie mogę... chyba bym tu trupem padł, jakby się obudzili!

Tomek nalegał, ale Huck się opierał, aż w końcu Tomek podniósł się cichutko, ostrożnie i zaczął się oddalać. Jednak przy pierwszym kroku podłoga tak przeźrażliwie zaskrzypiała, że padł na nią z powrotem, ledwie żywy ze strachu. Więcej już nie próbował. Chłopcy leżeli więc, odliczając niemiłosiernie dłużeńce się minuty i wydawało im się, że czas musiał się zupełnie zatrzymać i na pewno zaczęła się mroczna wieczność. Tym bardziej ucieszył ich widok zbliżającego się zachodu słońca.

Tymczasem jedno chrapanie ustało. Indianin Joe podniósł się, rozejrzał dookoła i uśmiechnął się ponuro na widok towarzysza śpiącego z głową na kolanach. Stuknął go nogą i powiedział:

– Ej, ty! Kawał wartownika z ciebie! Ale nic to, nic się nie stało.

– Rany! Spałem?

– No, tak jakby. Czas już na nas. A co robimy z resztą naszej zdobyczy?

– Może zostawmy tu, jak zwykle. Tak myślę, bo nie ma co tego brać, dopóki nie ruszymy na południe. Sześćset pięćdziesiąt dolarów w srebrze to jednak trochę waży.

– Dobra. Właściwie możemy po to przyjść jeszcze raz.

– Ale lepiej w nocy, jak przedtem. Tak będzie bezpieczniej.

– Prawda, ale pomyśl: to pewnie trochę potrwa, zanim się zabierzemy za tę robotę. Różnie może być, a to nie jest zbyt dobre miejsce. Zakopimy to tu po

prostu. Tak porządnie i głęboko.

– Dobry pomysł – odparł towarzysz i poszedł w kąć pomieszczenia.

Ukląkł, uniósł kamień za paleniskiem i wydobył przyjemnie pobrzękując sakiewkę. Wyjął po dwadzieścia czy trzydzieści dolarów dla siebie i Indianina Joe, po czym podał mu worek. Indianin klęczał już w drugim rogu i kopał dół swoim nożem.

Chłopcy natychmiast zapomnieli o całym swoim strachu i nieszczęsnym położeniu, w jakim się znaleźli. Chciwym wzrokiem bacznie się wszystkiemu przyglądali. Ale mieli farta! Aż nie mogli w to uwierzyć! Sześćset dolarów to wystarczy, żeby pół tuzina chłopaków zmienić w bogaczy! To się dopiero nazywa poszukiwanie skarbów najwyższej klasy! Koniec z wątpliwościami, gdzie kopać. Co chwilę trącali się nawzajem porozumiewawczo, jakby mówili: „Teraz się cieszysz, że tu jesteśmy, co?”

Nóż Joego natrafił na coś twardego.

– Hej – wykrzyknął.

– Co jest? – spytał ten drugi.

– Jakaś nagięła decha... nie, skrzynka jakaś. Chodź mi pomóż i zobaczymy co to. Albo nie, już zrobiłem dziurę.

Wsunął rękę do środka i wyciągnął z powrotem.

– Stary, tu jest forsa!

Obaj przyglądali się teraz garści monet. Złotych monet. Chłopcy nad nimi byli równo podekscytowani i zachwyceni, jak oni.

Towarzysz Joego powiedział:

– Wyciągniemy to raz dwa. Tam przy kominku w kącie jest w krzakach jakiś kilof stary. Sam widziałem przed chwilą.

I pobiegł po kilof i łopatę chłopców. Indianin Joe wziął kilof i bacznie mu się przyjrzał. Pokręcił głową, wymamrotał coś pod nosem i zabrał się do roboty. Już po chwili skrzynka była na wierzchu. Nie była zbyt duża, miała metalowe okucia i długo opierała się nadgryzającemu ją zębowi czasu. Przez chwilę mężczyźni w ciszy rozkoszowali się widokiem jej zawartości.

– Stary, tu są tysiące dolców! – powiedział wreszcie Indianin Joe.

– Ludzie ciągle gadali, że któregoś lata kręciła się tu banda Murrela – stwierdził nieznajomy.

– No wiem – odparł Joe. – I wszystko wskazuje na to, że tak naprawdę było.

– To teraz już nie musisz robić tamtej roboty.

Mieszaniec zmarszczył brwi i powiedział:

– Nie znasz mnie jeszcze. Albo przynajmniej nic nie rozumiesz. To nie jest zwykły rabunek. To jest zemsta! – tym słowom towarzyszył złowrogi błysk w oczach.
– Będziesz mi potrzebny. A jak skończymy, to do Teksasu. Teraz idź do domu,

do Nance i dzieciaków, i czekaj na mój sygnał.

– Dobra, skoro tak mówisz. A co z tym zrobimy? Zakopimy jeszcze raz?

– Tak. (Nad głowami wielka radość). Nie! Na wodza wielkiego, nie! (Nad głowami olbrzymia rozpacz). O mało co bym zapomniał. Na tym kilofie była świeża ziemia! (Chłopcy byli przerażeni). Co tu robi kilof i łopata? I skąd ta świeża ziemia na nich? Kto je tu przytargał i gdzie się zmył? Słyszałeś kogoś? Widziałeś? O nie! Zakopać i zostawić, żeby zobaczyli naruszoną ziemię? Nie ma mowy! Zabieramy do mojej kryjówki.

– Jasne! Że też wcześniej na to nie wpadłem. Do jedynki znaczy?

– Nie. Do dwójki. Pod krzyżem. Ta druga już się nie nadaje, ludzi za dużo się kręci.

– Dobra. Akurat robi się ciemno i można ruszać.

Indianin Joe wstał i podszedł do każdego okna, wyglądając ostrożnie na zewnątrz. W końcu powiedział:

– Kto też przytachał tu te narzędzia? Myślisz, że mogą być teraz na górze?

Tomek i Huck zamarli. Indianin Joe oparł dłoń o rękkojeść noża, zawahał się przez chwilę, po czym ruszył w stronę schodów. Chłopcy pomyśleli o szafie, ale opuścili ich nagle wszystkie siły. Schody skrzypiały pod stopami, a okrutna trwoga obudziła w nich ostatnie pokłady energii. Chcieli właśnie rzucić się do szafy, gdy rozległ się trzask przegniłych desek i Indianin Joe wylądował na ziemi, pośród resztek rozwalonych schodów. Klnąc, na czym świat stoi, wydostał się jakoś, a wtedy jego towarzysz powiedział:

– Po co tyle zamieszania? Nawet jeśli ktoś jest na górze, to niech tam sobie będzie, co nam to przeszkadza? Jak chce skakać i się połamać, proszę bardzo. Za kwadrans będzie już ciemno, a potem to niech sobie nas śledzi. Nie widzę przeszkód. Tak sobie myślę, że ktokolwiek przytaszczył tu te narzędzia, musiał nas widzieć i wziąć za duchy, diabły czy co tam jeszcze. I założę się, że do tej pory wieje co sił w nogach.

Joe burczał coś przez chwilę, po czym zgodził się z towarzyszem, że resztki dnia należy wykorzystać na przygotowanie do drogi. Niedługo potem wymknęli się pod osłoną gęstniejącego mroku i ruszyli w stronę rzeki, taszcząc drogocenną skrzynkę.

Tomek i Huck podnieśli się. Byli ledwo żywi, ale odetchnęli z ulgą. Przez szpary między balami patrzyli na oddalających się mężczyzn. Śledzić ich? Niekoniecznie. Im wystarczyło, że mogli cali i zdrowi bezpiecznie stanąć na ziemi i ruszyć przez wzgórze do miasteczka. Nie rozmawiali dużo. Zbytńio pochłonięci byli nienawidzeniem samych siebie. Za tego durnego pecha, który kazał im zabrać tam łopatę i kilof. Gdyby nie to, Indianin Joe w życiu niczego by się nie domyślił. Schowałby srebro i złoto w oczekiwaniu na swoją „zemstę”, a potem odkryłby, że cała jego forsa zniknęła. Co za parszywy pech, że w ogóle przynieśli te narzędzia!

Postanowili, że będą mieć Hiszpana na oku, kiedy pojawi się na przespiegach w miasteczku, żeby wybadać dobry moment na swoją zemstę i że pójdą za nim do „dwójki”, gdziekolwiek to jest. Nagle Tomkowi przyszła do głowy straszliwa myśl.

– Zemsta? A jeśli to chodzi o nas, Huck?

– Rany! – wymamrotał Huck, prawie mdlejąc.

Przegadali sprawę i wchodząc do miasteczka, stwierdzili, że może jednak chodziło o kogoś innego. Albo przynajmniej jedynie o Tomka, bo tylko on zeznawał.

Kiepskie było to pocieszenie dla Tomka, który pozostał sam w obliczu takiego niebezpieczeństwa. W towarzystwie byłoby znacznie różniej – pomyślał.

ROZDZIAŁ XXVII

Wydarzenia dnia powracały do Tomka w snach. Czterokrotnie miał w rękach ten wspaniały skarb i czterokrotnie nic z tego nie wychodziło, bo sen się urywał, a do świadomości docierała bezlitosna prawda o Tomkowym pechu. Gdy tak leżał o świecie, wspominając całe to wydarzenie, wydawało mu się, że było ono dziwnie rozmyte i odległe. Jakby wszystko stało się w innej rzeczywistości albo strasznie dawno temu. Potem przyszło mu do głowy, że ta cała wielka przygoda musiała być tylko snem! Na potwierdzenie tej tezy istniał jeden, bardzo solidny argument, a mianowicie liczba monet, które rzekomo widział. Była ona zbyt wielka, aby mogła być prawdziwa. Nigdy w życiu nie widział więcej niż pięćdziesiąt dolarów jednocześnie i, jak wszyscy chłopcy w jego wieku i w jego położeniu, sądził, że te wszystkie gadki o „setkach” i „tysiącach” dolarów były tylko przenośnią i że takie sumy w ogóle nie istnieją na świecie. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że tak wielka kwota, jak sto dolarów, mogła w ogóle istnieć i że ktokolwiek mógł ją mieć. Gdyby przeanalizować dokładnie wyobrażenia Tomka o niesamowitym skarbie, okazałyby się, że składał się on z garści prawdziwych miedziaków i masy wspaniałych, nieuchwytnych dolarów o nie do końca sprecyzowanym wyglądzie.

Jednak, w miarę rozmyślenia, wydarzenia poprzedniego dnia stawały się coraz wyraźniejsze i czytelniejsze. Tomek zaczął zatem przypuszczać, że może jednak to nie był sen. Musiał się koniecznie upewnić. Pospiesznie zjadł śniadanie i poszedł szukać Hucka. Znalazł go siedzącego na brzegu barki, dyndającego nogami w wodzie i wyglądającego dość markotnie. Tomek postanowił, że poczeka, aż Huck poruszy wiadomy temat. Jeśli tego nie zrobi, to będzie znaczyło, że cała ta przygoda faktycznie była jedynie snem.

– Cześć, Huck.

– Cześć.

Chwila ciszy.

– Tomek, gdybyśmy zostawili te przekłete narzędzia przy drzewie, to mielibyśmy forszę. Psiakość!

– Czyli to nie sen, to nie sen! Wolałbym, żeby to jednak był sen. Jak słowo daję, Huck!

– Co nie sen?

– No, to wczoraj. Już mi się wydawało, że to sen był.

– Też mi sen! Jakby się te schody nie rozwały, to byś dopiero sen zobaczył! Ja to dzisiaj miałem sny dopiero! Ten cały hiszpański zbój mnie gonił. Żeby go szlag trafił!

– Nie szlag, tylko lepiej, żebyśmy my go trafili! Forszę trzeba znaleźć!

– Przecież my go nigdy nie znajdziemy, Tomek. Raz w życiu się taka okazja trafia i ta nam przeszła koło nosa. Chyba bym się przekręcił, jakbym go znowu zobaczył.

– No, ja też, ale i tak bym go chciał zobaczyć. I wytropić... w tej jego „dwójce”.

– „Dwójka”! To jest to! Myślałem o tym, ale nic mi do głowy nie przychodzi.

A ty jak myślisz, co to może być?

– Nie mam pojęcia. To nie takie proste. Słuchaj, a może to numer domu!

– Jasne!... Chociaż, nie, to nie to. A jeśli już, to na pewno nie w tej naszej dziurze. Tu nie ma numerów.

– No prawda. Niech pomyślę... Mam! Numer pokoju... w gospodzie!

– To jest to! A w okolicy są tylko dwie gospody. Szybko ich namierzymy.

– To ty tu zostań i czekaj na mnie, Huck.

Tomek zniknął. Nie chciał pokazywać się w miasteczku w towarzystwie Hucka. Nie było go pół godziny. Dowiedział się, że w tej lepszej gospodzie pokój numer dwa zajęty jest od dawna przez młodego prawnika, który nadal tam mieszka. W tej mniej wystawnej numer dwa był tajemnicą. Syn właściciela powiedział, że dwójka była ciągle zamknięta i że nigdy nie widział, żeby ktoś tam wchodził albo wychodził stamtąd w dzień. Nie wiedział, dlaczego tak się dzieje, był ciekawy, ale nie za bardzo. Twierdził, że pokój musi być „nawiedzony”, bo zeszłej nocy widział, jak paliło się tam światło.

– I tyle się dowiedziałem, Huck. Myślę, że to jest ta nasza „dwójka”.

– Też tak myślę, Tomek. To co robimy?

– Niech się zastanowię.

Tomek myślał i myślał, aż wreszcie oznajmił:

– Już wiem. Tylne drzwi tego pokoju wychodzą na wąską uliczkę między gospodą a starym składem cegieł. Pozbieraj wszystkie klucze, jakie tylko dasz radę, a ja buchnę wszystkie od ciotki i w pierwszą ciemną noc pójdziemy i wypróbujemy je.

I jeszcze rozglądaj się za Indianinem Joe, bo mówił przecież, że będzie się kręcił po miasteczku, szukając okazji do tej swojej zemsty. A jak go przyuważysz, to idź za nim. Jak nie pójdzie do tej „dwójki”, to będzie znaczyło, że nie o to miejsce chodzi.

– Jezuniu, ja nie chcę go sam śledzić!

– Przecież noc będzie. Pewnie wcale cię nie zauważy, a nawet jeśli, to może się w ogóle nie zorientuje.

– Dobra, jak będzie porządnie ciemno, to za nim pójdę. Chociaż nie wiem... nie wiem. No dobra.

– Ja na bank pójdę za nim, jak będzie ciemno, Huck. On może stwierdzić, że nie ma szans na tę swoją zemstę i pójść prosto po forsę.

– No tak! Rzeczywiście. Pójdę za nim. Żeby nie wiem co!

– No, to rozumiem! Nie pękaj, Huck, to ja też nie będę się bał.

ROZDZIAŁ XXVIII

Tej nocy Tomek i Huck byli gotowi na wielką przygodę. Kręcili się w pobliżu gospody do dziewiątej: jeden pilnując alejki, a drugi drzwi wejściowych. Jednak nikt nie pojawił się w alejce, ani nikt, przypominający Hiszpana, nie stanął w drzwiach. Zanościło się, że noc będzie pogodna, więc Tomek poszedł do domu, zakładając, że jeśli jednak się mocno ściemni, Huck przyjdzie, zamiauczy, a wtedy on się wymknie i pójdą wypróbować klucze. Noc jednak była pogodna, więc około północy Huck zszedł z warty i poszedł spać w pustej beczce po cukrze.

We wtorek też im się nie poszczęściło. Ani w środę. Za to czwartkowa noc dała nadzieję. W odpowiednim momencie Tomek wymknął się, zabierając ze sobą starą, blaszaną latarnię ciotki i wielki ręcznik, którym ją osłaniał. Ukrył latarnię w beczce Hucka i rozpoczęli czaty. Na godzinę przed północą zamknięto gospodę i jej światła (jedyne w okolicy) pogasły. Żadnego Hiszpana. Uliczka była pusta. Wszystko układało się po ich myśli. Noc była kruczoczarna, a zupełną ciszę tylko sporadycznie przerywał daleki grzmot.

Tomek wziął latarnię, zapalił ją w beczce i owinał szczelnie ręcznikiem. Poszukiwacze przygód w kompletnych ciemnościach podkradli się pod gospodę. Huck stanął na czatach, a Tomek powędrował po omacku wąską uliczką. Huck zmagął się z nerwowym wyczekiwaniem, które ciążyło mu znacznie na duszy. Chciał zobaczyć chociaż błysk latarni – przestraszyłby się zapewne, ale przynajmniej wiedziałby, że kolega wciąż żyje. Wydawało mu się, że od zniknięcia Tomka minęły już całe godziny. Na pewno gdzieś zemdłał albo już nie żyje! Może serce pękło

mu z przerażenia i emocji. W tym swoim podenerwowaniu Huck coraz bardziej zbliżał się do uliczki. Bał się rozmaitych rzeczy. Chwilami spodziewał się, że wydarzy się jakaś niewyobrażalna katastrofa i wydobędzie z niego ostatnie technicznie. Nie bardzo zresztą było co wydobywać, bo łapał powietrze naparsteczkami, a serce tak mu biło, iż obawiał się, że niedługo całkiem wysiądzie. Nagle zobaczył błysk światła i przelatującego tuż obok niego Tomka, który wrzeszczał:

– Wiej! Wiej, ile sił!

Tego nie trzeba było Huckowi powtarzać, raz w zupełności wystarczył! Pędził z prędkością trzydziestu, czterdziestu mil na godzinę, zanim Tomek zdążył cokolwiek powtórzyć. Nie zatrzymali się, aż dobiegli do szopy przy opuszczonej rzeźni, na drugim końcu miasteczka. Zdążyli się ledwie schronić, kiedy rozszalała się burza i zaczęła lać deszcz. Gdy tylko Tomek złapał oddech, powiedział:



Tomek spotyka Indianina Joe.

– Huck, to było okropne! Dwóch kluczy spróbowałem, jak najciszej umiałem, ale hałas się taki zrobił, że o mało tam nie padłem ze strachu. Żaden z kluczy nie pasował. Kompletnie bez namysłu chwyciłem za klamkę, a drzwi się same otworzyły! W ogóle nie były zamknięte! Wskoczyłem do środka, ściągnąłem ręcznik i ... Mat-

ko Święta!

– Co?! Co to było?

– Huck, ja prawie nadepnąłem na rękę Indianina Joe!

– Co ty!

– No! Leżał tam i spał na podłodze jak kamień, z tą opaską na oku i rozpostartymi rękoma...

– Rany, i co zrobiłeś? Obudził się?

– Gdzie tam, ani drgnął. Pewno zalany. Złapałem tylko ręcznik i chodu!

– Ja to bym nawet o tym ręczniku nie pomyślał.

– No, ja musiałem. Ciotka by mi dopiero dała, jakbym go zgubił.

– A skrzynię widziałeś?

– Huck, ja się nawet nie rozejrzałem. Skrzyni nie widziałem, krzyża nie widziałem, nic nie widziałem, tylko butelkę i kubek blaszany na podłodze koło Indianina. Dwie beczki i kupa innych butelek w całym pokoju. Rozumiesz już teraz, o co chodzi z tym nawiedzonym pokojem?

– O co?

– No jak to! Nawiedzony. Przez whisky!

– Ale słuchaj, teraz jest świetna okazja, żeby zwinąć tę skrzynkę, skoro Indianin jest napity.

– Tak, świetna! Idź, spróbuj!

Huck aż się zatrząsł.

– Albo lepiej nie.

– Też tak myślę. Jedna butelka koło niego to za mało. Gdyby były ze trzy, to byłby dość pijany i sam bym poszedł.

Po dłuższej chwili namysłu Tomek powiedział:

– Słuchaj, Huck, nie próbujmy więcej, zanim nie będziemy pewni, że Indianina Joe nie ma w pokoju. To zbyt niebezpieczne. A teraz, jak będziemy czatować co noc, to na sto procent zobaczymy, jak wychodzi i wtedy migiem capniemy skrzynkę.

– Zgoda. Ja będę pilnował całą noc i następną, i następną, i każdą, pod warunkiem, że ty zrobisz resztę.

– Dobra, niech będzie. Musisz tylko podlecieć kawałek uliczką Hooper i zamiauczyć, a jak będę spał, to rzucisz piachem w okno. Ja się wtedy obudzę.

– Stoi!

– Dobra, już po burzy. Idę do domu. Za parę godzin będzie świtać. A ty wracaj i pilnuj, dobra?

– Powiedziałem, że będę, to będę. Będę nawiedzał tę gospodę co noc, przez rok! Spać będę w dzień, a w nocy czatować.

– W porządku. A gdzie właściwie będziesz spał?

– W stodole u Bena Rogersa. On mi pozwala. I jego wujek Jake, Murzyn, też. Tazczę wodę dla wujka Jake'a zawsze, kiedy poprosi i jak ja go poproszę, to jeśli może, daje mi coś do jedzenia. W porządku z niego Murzyn. Lubi mnie, bo się nie wywyższam. Czasem to nawet jem razem z nim. Tylko nie mów tego nikomu. Jak głód przycisnie, to się robi dziwne rzeczy, których inaczej by się nie robiło.

– Dobra, jeśli nie będziesz mi potrzebny w dzień, to będziesz odsypiał. Nie będę ci głowy zawracać. A jak tylko coś w nocy zobaczysz, to przylatuj i miaucz.

ROZDZIAŁ XXIX

Pierwszą rzeczą, o jakiej Tomek usłyszał w piątek rano, była radosna wiadomość, że sędzia Thatcher wrócił poprzedniego wieczoru z rodziną do miasteczka. Indianin Joe wraz ze skarbem natychmiast zeszedł na dalszy plan, a myśli chłopca zaprzętała teraz tylko i wyłącznie Becky. Spotkali się i świetnie bawili wraz z dziećmi ze szkoły w chowanego i w berka. Dzień zwieńczony został jeszcze jedną bardzo miłą nowiną: Becky namówiła mamę, żeby nazajutrz zorganizować ten długo obiecywany i wyczekiwany piknik. Dziewczynka nie posiadała się z radości, a Tomek cieszył się nie mniej od niej samej. Jeszcze przed zmierzchem wszystkie zaproszenia zostały rozesłane i wszyscy młodzi mieszkańcy miasteczka rzucili się w wir

gorączkowych przygotowań, poddając się nastrojowi radosnego wyczekiwania. Tomek był tak podniecony, że długo nie mógł usnąć i żywił wielką nadzieję, że usłyszy miauczenie Hucka, a następnego dnia będzie mógł zadziwić skarbem Becky oraz wszystkich na pikniku, ale nic z tego nie wyszło. Tej nocy sygnału nie było.



Piknik.

W końcu nastał ranek i około dziesiątej czy jedenastej w obejściu sędziego Thatchera zebrała się wesoła i rozbawiona gromadka. Można było zaczynać piknik. Starsi zwykle uważali, że nie powinni psuć pikników swoją obecnością i sądzono, że dzieci pod opieką kilku osiemnastoletnich panien i młodzieńców, mniej więcej dwudziestotrzyletnich, będą zupełnie bezpieczne.

Specjalnie na tę okazję wynajęto starą parową łódź, a rozbawiona chmara wkrótce wypełniła główną uliczkę, targając koszyki pełne prowiantu. Sid był chory i cała zabawa go ominęła, a Mary została w domu, by dotrzymać mu towarzystwa. Ostatnią rzeczą, jaką pani Thatcher powiedziała do Becky przed wyjściem, było:

– Wróćcie bardzo późno. Może lepiej będzie, jak zostaniesz na noc u którejś z dziewcząt, które mieszkają blisko przystani.

– Pójdę do Susy Harper, mamo.

– Bardzo dobrze. Tylko zachowuj się porządnie i nie spraw żadnego kłopotu.

Odchodząc, Tomek powiedział do Becky:

– Mam pomysł. Wiem, co zrobimy. Zamiast do Joe Harpera, pójdziemy na wzgórze i zatrzymamy się u wdowy Douglas. Ona na pewno da nam lody! U niej są lody prawie codziennie i to mnóstwo. Na pewno bardzo się ucieszy z naszej wizyty.

– Ale będzie fajnie!

Jednak po chwili zawahała się i powiedziała:

– Ale co na to moja mama?

– A skąd ona ma się dowiedzieć?

Dziewczynka myślała o tym przez chwilę i w końcu bez zbytniego przekonania, powiedziała:

– To chyba nie w porządku... ale...

– Zaraz tam nie w porządku! Twoja mama nie będzie wiedziała, więc w czym problem? Zależy jej, żebyś była bezpieczna i założę się, że zgodziłaby się, żebyś tam poszła, gdyby tylko przyszło jej to do głowy. Na pewno tak by było.

Niezwykła gościnność wdowy Douglas była kuszącym wabikiem. Właśnie to, w połączeniu z Tomkowymi namowami, zwyciężyło. Postanowili zatem nikomu nic nie mówić o swoich wieczornych planach. W tym samym momencie Tomek pomyślał, że może właśnie tej nocy przyjdzie Huck i da sygnał. Ta myśl wyraźnie zepsuła jego radosne wyczekiwanie. Jednocześnie perspektywa świetnej zabawy u wdowy Douglas była zbyt kusząca. Przekonywał sam siebie, że właściwie nie

ma powodu, dla którego miałby z niej zrezygnować, wszak poprzedniej nocy sygnału nie było, więc dlaczego miałby nadejść akurat teraz? Stuprocentowa pewność dobrej zabawy wkrótce wygrała z niepewnym skarbem i, jak to z chłopcami zwykle bywa, Tomek skłonił się ku silniejszej pokusie i tego dnia starał się nie myśleć już o skrzynce pełnej pieniędzy.

Trzy mile poniżej miasteczka parowiec przybił do zalesionej niecki i zacumował. Dzieciaki wyskoczyły na brzeg i już po chwili cały las i skaliste pagórki trzęsły się od wrzasków i śmiechów. Wypróbowali wszelkie możliwe sposoby na zmęczenie się i spocenie, a potem solidny apetyt zagnał wszystkie niespokojne duchy do obozowiska. Rozpoczął się atak na różnorakie smakołyki. Po posiłku przyszła pora na odpoczynek i miłe pogaduszki w cieniu rozłożystych dębów. Nagle ktoś rzucił hasło:

– Kto jest gotów na jaskinie?

Wszyscy byli gotowi! Wyposażeni w świeczki pomaszzerowali na wzgórze, gdyż to właśnie tam znajdowało się wejście do jaskini przypominające literę A. Za wielkimi, otwartymi dębowymi wrotami znajdowała się mała komora, w której było lodowato, a której ściany natura wyścieliła wapieniem zroszonym jakby zimnym potem. Wielce romantycznym i tajemniczym było tak stać w zupełnych ciemnościach i patrzeć na skąpaną w słońcu zieloną dolinę. Nie trwało to jednak długo, bo zaraz znów zaczęły się harce. Gdy tylko ktoś zapalał świeczkę, natychmiast wszyscy rzucali się w jego stronę. Wywiązywała się szamotanina i mimo walecznej obrony, świeczka wkrótce lądowała na ziemi i gasła. Wtedy rozlegał się radosny chichot i zabawa zaczynała się od nowa. Wszystko ma jednak swój koniec. Cała grupa ruszyła opadającą główną alejką. Strzeliste skalne ściany, wznoszące się sześćdziesiąt stóp nad nimi, aż do sklepienia, oświetlał jedynie rząd słabo migoczących światełek. Ten główny korytarz miał nie więcej niż osiem czy dziesięć stóp szerokości. Co kilka kroków po obu stronach odchodziły od niego kolejne strzeliste i jeszcze węższe szczeliny, gdyż Jaskinia McDougala była jednym wielkim labiryntem krętych przejść, które przecinały się ze sobą, rozłączały i prowadziły donikąd. Mówiono, że można tak całymi dniami i nocami kluczyć po tej zagmatwanej płataninie korytarzy i szczelin i nigdy nie odnaleźć wyjścia. I można tak było schodzić niżej, niżej i jeszcze niżej w głąb ziemi i wszędzie było tak samo: jeden tunel za drugim, bez końca. Nikt tak naprawdę nie znał całej jaskini. Niemożliwością było ją poznać. Większość młodych ludzi znała jedynie jej fragment i raczej nie zapuszczała się poza te znane obszary. Tomek Sawyer orientował się w niej tak, jak każdy.

Pochód pokonał jeszcze jakieś trzy czwarte mili wzdłuż głównego korytarza, a potem potworzyły się grupki i pary, które zaczęły odbijać w boczne alejki, prze-

biegać pędem przez posępne tunele i wyskakiwać na inne grupki w miejscach, gdzie szlaki ponownie się łączyły. Można było nikogo nie spotkać nawet przez pół godziny, wciąż bez opuszczania znanego terytorium.

Z czasem grupki dzieci zaczęły wylaniać się kolejno przy wyjściu. Byli zaspokojeni, rozbawieni, usmarowani od stóp do głów łojem z kapiących świec, wymazani gliną i absolutnie zachwyceni całą przygodą. Nie posiadali się ze zdziwienia, że kompletnie stracili poczucie czasu. Na zewnątrz zaczynało się już ściemniać. Nawołujący dzwonek rozbrzmiewał już pół godziny, ale takie zakończenie pełnego przygód dnia dodawało mu jeszcze więcej uroku. Gdy parowiec z całą bandą dzieci odbił od brzegu, nikt ani trochę nie żałował straconego czasu. No, może za wyjątkiem kapitana.

Huck pełnił już swoją wartę, gdy dostrzegł błyskające nieopodal nabrzeża światła parowca. Nie słyszał żadnych głosów dochodzących z łodzi, gdyż dzieciarnia była wyciszona i spokojna, jak wszyscy ludzie padający ze zmęczenia. Zastanawiał się, cóż to za statek i dlaczego nie zatrzymał się przy nabrzeżu, ale wkrótce powrócił myślami do swojego zadania. Noc zapowiadała się na pochmurną i ciemną. O dziesiątej ustał hałas pojazdów, zgasły nieliczne światła, zniknęli ostatni piesi maruderzy. Miasteczko udało się na spoczynek, pozostawiając małego strażnika samego z ciszą i duchami. O jedenastej zgasły światła w gospodzie i teraz panowała już kompletna ciemność. Huck siedział tak i czekał, wydawałoby się w nieskończoność, ale nic się nie działo. Zaczął mieć wątpliwości. Czy to w ogóle ma sens? Czy to NAPRAWDĘ ma jakiś sens? A może by tak dać sobie spokój i iść spać?

Nagle usłyszał hałas! Natychmiast wyostrzył wszystkie zmysły. Drzwi do alejki zamknęły się cichuteńko. Skoczył za róg składu cegieł, a po chwili przeszło dwóch mężczyzn, tak blisko, że niemal się o niego otarli. Jeden z nich niósł coś pod pachą. To musi być ta skrzynka! A więc szli po skarb! Wołać teraz Tomka? Nie, to byłoby głupie, tamci zniknęliby ze skrzynką i tyle by ich widzieli! Nie. Pójdzie za nimi. Zaufa ciemności, ona na pewno go dobrze ukryje. Tak przekonując siebie samego, Huck wyszedł zza rogu i podążył za mężczyznami niczym kot, na bosaka, trzymając się od nich w bezpiecznej odległości.

Przeszli uliczką przy rzece jakieś trzy przecznice, a potem skręcili w lewo. Następnie szli cały czas prosto, aż dotarli do ścieżki prowadzącej na wzgórze Cardiff i podążyli nią dalej. W połowie drogi na szczyt minęli dom starego Walińczyka i wspinali się dalej. „No dobra – pomyślał Huck. – Zakopią w starym kamieniołomie”. Ale przy kamieniołomie nikt się nie zatrzymał. Przeszli obok i szli dalej w górę. Skręcili w wąziutką ścieżkę porośniętą wysokimi sumakami i skryli się w mroku. Huck przybliżył się, skracając dystans, bo i tak nie mogliby go teraz zobaczyć. Biegł przez chwilę truchtem, ale zwolnił, obawiając się, że mógłby znaleźć się zbyt blisko. Prze-

szedł kawałek, po czym zatrzymał się. Nasłuchiwał. Nic. Zero dźwięku. Absolutnie. Zdawało mu się, że słyszy tylko walenie własnego serca. Znad wzgórza dobiegło huczenie sowy – zły omen! Ale żadnych kroków. O rany! Czyżby wszystko przepadło? Już miał puścić się biegiem, gdy niecałe cztery stopy od niego ktoś chrząknął. Serce podskoczyło Huckowi do gardła. Trząśił się, jak w wielkiej febrze i był tak słaby, że tylko czekał, aż runie na ziemię. Dobrze wiedział, gdzie jest – o pięć kroków od przełazu prowadzącego do obejścia wdowy Douglas. „Niech i tak będzie – pomyślał – niech sobie tu zakopią, łatwo będzie znaleźć.”

Nagle dał się słyszeć bardzo cichy głos, głos Indianina Joe:

– Do diabła z nią! A jak ktoś u niej jest? Światła się świecą, chociaż późno.

– Ja nie widzę.

To był głos nieznanego. Nieznanego z nawiedzzonego domu. Serce Hucka przeszło zimny dreszcz. A więc to była ta „zemsta”! W pierwszej chwili chciał wiać. Potem jednak przypomniał sobie, że wdowa Douglas była dla niego niejednokrotnie taka dobra i że może tamci chcą ją zabić. Strasznie chciał iść ją ostrzec, ale wiedział, że się nie odważy. Mogli go przecież złapać. Te wszystkie myśli przebiegły mu przez głowę w krótkiej przerwie między słowami nieznanego, a tymi, które wypowiedział Indianin Joe:

– Bo ci krzak zasłania. Stań tu. Teraz widzisz?

– Mhm. Rzeczywiście, ktoś tam jest. Lepiej odpuśćmy.

– Odpuśćmy? I tak po prostu wyjedźmy z kraju na dobre? Odpuścić i pewnie nigdy więcej nie mieć takiej okazji? Jeszcze raz ci powtarzam: jej forsą mnie nie obchodzi – może sobie ją wziąć. Ale jej mąż źle się ze mną obchodził. I to nie raz. I to on był sędzią pokoju, który mnie wsadził za włóczęgostwo. A i to nie wszystko. To nawet nie ułamek wszystkiego! On mnie wybatożyć kazał! Wychłostać przed więzieniem, jak Murzyna jakiegoś! Przy całym miasteczku! Wybatożyć! Rozumiesz to? Znieważył mnie i umarł. Ale ona mi za to zapłaci.

– Ale nie zabijaj jej! Nie rób tego!

– Zabijając? A kto tu mówi o zabijaniu? Jego to bym zabił, gdyby tu był, ale nie ją. Jak się chcesz zemścić na kobiecie, to jej nie zabijasz. Co to, to nie! Oszpecaś ją. Rozwalasz jej nos, nacinasz uszy jak losze!

– Boże, przecież to jest...

– Nie odzywaj się! Tak będzie dla ciebie lepiej. Przywiążę ją do łóżka. Jak się na śmierć wykrwawi, to co – moja wina? Płakać nie zamierzam. A ty, mój przyjacielu, pomożesz mi. DLA MNIE to zrobisz! Po to cię mam. Sam nie dam rady. A jak nawalisz, to cię zabiję. Jasne? A jeśli będę musiał zabić ciebie, to i ją zabiję, a wtedy nikt się nigdy nie dowie, kto za tym stoi.

– No, skoro tak trzeba, to do roboty. Im szybciej, tym lepiej. Aż mnie ciarki

przechodzą.

– Teraz? Jak ktoś tam jest? Słuchaj no, zaraz pomyślę, że coś kręcisz. Czekamy, aż zgasną światła, nie spieszy nam się...

Huck wyczuwał, że nastąpi milczenie, które będzie o wiele gorsze od tej złowieszczej gadki. Wstrzymał więc oddech i ostrożnie zrobił krok w tył. Balansował przez chwilę niebezpiecznie na jednej nodze, ledwie utrzymując równowagę i bujając się to na jedną, to na drugą stronę, aż wreszcie pewnie postawił stopę. Jeszcze jeden krok, równie ostrożny i ryzykowny, potem kolejny, i następny, i... trzasnęła gałązka! Wstrzymał oddech, nasłuchiwał... Zupełna cisza. Był bezgranicznie wdzięczny. Obrócił się ostrożnie między sumakami, jakby był statkiem, i szybko, acz uważnie, ruszył przed siebie. Poczł się bezpiecznie dopiero wtedy, gdy dotarł do kamieniołomu. Puścił się pędem. Biegł i biegł, aż dobiegł do domu Walińczyka. Walił do drzwi, aż z okien wyjrzały głowy staruszka i jego dwóch wiernych synów.

– Co za hałasy? Kto się tam dobija? Czego?

– Wpuście mnie, prędko! Zaraz wszystko powiem.

– A to czemu? Ktoś ty?

– Huckleberry Finn. Szybko, wpuście mnie!

– Huckleberry Finn, no proszę! To raczej nazwisko, które wielu drzwi nie otwiera, jak mniemam. Ale wpuście go chłopcy. Zobaczmy, w czym rzecz.

– Tylko błagam, nie mówcie nigdy, że wam powiedziałem – w pierwszych słowach poprosił Huck. – Nie mówcie, bo mnie załatwią, jak nic. Ale wdowa taka dla mnie dobra i chcę wam powiedzieć. Powiem, ale obiecajcie, że mnie nie wydacie.

– Rany! On chyba naprawdę chce coś powiedzieć. Inaczej by tak nie pajacował! – wykrzyknął staruszek. – Mówże, nikt cię nie wyda, chłopcze.

Trzy minuty później starzec i synowie, należycie uzbrojeni, byli już na wzgórzu i skradali się wśród sumaków z bronią w rękach. Hucka już z nimi nie było. Schował się za ogromnym głazem i nasłuchiwał. Nastąpiła długa, nerwowa cisza. Nagle rozległ się huk wystrzału i krzyk.

Huck nie czekał na wyjaśnienia – wyskoczył jak poparzony i poleciał w dół wzgórza, co sił w nogach.

ROZDZIAŁ XXX

Gdy tylko niedzielny poranek zdradził swoją obecność, Huck wlaźł po omacku na wzgórze i lekko zastukał do drzwi starego Walińczyka. Domownicy spali, ale był to niezwykle czujny sen, zważywszy na wydarzenia nocne. Wszyscy jednocześnie wyjrżeli przez okno:

– Kto tam?

Cichym i przestraszonym głosem Huck odpowiedział:

– Wpuśćcie mnie, proszę. To tylko ja, Huck Finn.

– To nazwisko może otworzyć te drzwi o każdej porze dnia i nocy, chłopcze!

Wejdz, zapraszamy!

Dziwne były to słowa dla uszu włóczęgi i jednocześnie najmilsze, jakie kiedykolwiek słyszał. Nie przypominał sobie, żeby szczególnie ostatnie z nich było kiedyś użyte w stosunku do niego. Drzwi prędko otwarto, a on wszedł do środka. Podano mu krzesło, a staruszek i jego dwaj rośli synowie czym prędzej się ubrali.

– No, chłopcze, mam nadzieję, żeś głodny. Jak tylko słonko wstanie, będzie śniadanie. I to gorące. Jak trzeba! Mieliśmy z chłopcami nadzieję, że przyjdiesz jeszcze w nocy.

– Bałem się strasznie – odparł Huck. – Zwiąłem. Zwiąłem, jak strzelba wystrzeliła i dopiero po trzech milach się zatrzymałem! Teraz przyszedłem się dowiedzieć, co się stało, wie pan. I przed świtem przychodzę, żeby mnie te diabły nie zobaczyły, nawet jakby już były nieżywe...

– Biedaczysko, oj, ciężką noc musiałeś mieć. Ale mamy tu dla ciebie posłanie, prześpisz się, jak sobie podjesz. A oni, niestety, martwi nie są. Bo widzisz, dzięki tobie od razu wiedzieliśmy, gdzie się na nich zasadzić. I podkradaliśmy się ostrożnie, aż byliśmy już o jakieś piętnaście stóp od nich. Ciemno przez te sumaki, jak w piwnicy i właśnie wtedy poczułem, że kichnę. Parszywy pech, jak nie wiem co! Próbowałem się powstrzymać, ale wszystko na nic. Musiało się stać i się stało! Szedłem na przodzie z gotową strzelbą, a to nieszczęsne kichnięcie wystraszyło tych drani i hop! – do krzaków. A ja krzyczę do chłopaków „Walić!” I dalej za ich szelestem. A chłopaki za mną. Ale oni już dali nogę, zbiry jedne, to my za nimi, przez las. Pewnie żeśmy ich nie trafili. Oni też wypalili raz jak zwiewali, ale kule tylko świsnęły i nic nam nie zrobiły. Jak już przestaliśmy słyszeć ich kroki, tośmy się zatrzymali i polecili budzić posterunkowych. Zwołali silną brygadę i poszli pilnować nad rzeką. Jak tylko się rozwidni, to szeryf i jego ludzie pójdą przetrząsać las. Chłopcy też zaraz do nich dołączą. Szkoda, że nie wiemy, jak te łotry wyglądały, to by na pewno pomogło. Ale ty to pewnie nic w tych ciemnościach nie widziałeś, co chłopcze?

– Widziałem. Ja ich widziałem w miasteczku i potem za nimi szedłem.

– Świetnie! To jak wyglądali? Opisz ich, chłopcze.

– Jeden to był ten stary głuchoniemy Hiszpan, co się kręcił w miasteczku parę razy, a drugi taki wredny obdarcuch był...

– To nam wystarczy. Znamy tych typów! Kiedyś się na nich natknąłem w lesie za domem wdowy, ale zaraz się zmyli. Lećcie chłopcy, powiedzcie szeryfowi. Śniadanie jutro zjecie!

Synowie Walijczyka natychmiast ruszyli. Gdy wychodzili z pokoju, Huck poderwał się na równe nogi i wykrzyknął:

- Tylko błagam, nie mówcie nikomu, że to ja wyśpiewałem! Błagam!
- Dobra, Huck. Skoro tak chcesz. Ale pochwała ci się należy za to, coś zrobił.
- Nie, nie! Wcale nie! Błagam, nie mówcie!

Gdy młodzieńcy wyszli, stary Walijczyk powiedział:

– Nic nie powiedzą. I ja też nie. Tylko dlaczego ty się tak upierasz, żeby nikt nie wiedział?

Huck nie powiedział nic więcej poza tym, że o jednym z nich wie już wystarczająco dużo i za żadne skarby nie chciałby, żeby tamten dowiedział się, co on wie, bo inaczej go zatłucze na amen.

Staruszek jeszcze raz obiecał milczenie, a potem rzekł:

– A jak to się stało, żeś ty ich śledził, chłopcze? Wyglądali nie bardzo, czy jak?

Huck milczał, obmyślając odpowiednio wyważoną ripostę, aż wreszcie powiedział:

– A bo, wie pan, ja to jestem taki łobuz... no, przynajmniej tak wszyscy mówią, to i pewnie tak jest – i tak czasem spać nie mogę i myślę, jak tu się zmienić. I tak tej nocy było. Spać nie mogłem i koło północy włóczyłem się po ulicach i myślałem, a jak doszedłem do tej starej cegielni, to się o ścianę oparłem, żeby dalej myśleć. No i wtedy tych dwóch przeszło koło mnie i coś pod pachą nieśli – to pomyślałem, że pewnie ukradli. Jeden palił cygaro, a drugi ognia chciał i się zatrzymali tuż koło mnie, i te cygara im twarze oświetliły. I wtedy zobaczyłem, że ten większy to ten głuchoniemy Hiszpan. Po tych białych bokobrodach i opasce na oku poznałem, a ten drugi to był taki obdarty, paskudny typ.

– Przy świetle z cygara widziałeś, że obdarty?

To trochę zbiło Hucka z tropu, ale po chwili powiedział:

– No, nie wiem na pewno, ale tak mi się wydaje jakoś.

– No i oni poszli, a ty...

– A ja za nimi. I tyle. Chciałem zobaczyć, czemu się tak skradają. I tak szedłem za nimi do przełazu u wdowy, a potem stałem w ciemnościach i słyszałem, jak ten obdarty błagał, żeby dać wdowie spokój, a Hiszpan zarzekął się, że ją tak oszpeci, jak potem ja wam opowiadałem...

– Zaraz! Głuchoniemy tak mówił?

Huck właśnie popełnił następny, straszliwy błąd!

Tak bardzo się starał, żeby staruszek nie zorientował się w żaden sposób, kim był ten Hiszpan, a jednocześnie język jakby sam chciał wpakować go w tarapaty, na przekór jego woli. Robił, co mógł, żeby się jakoś wykręcić, ale starszy pan przyglądał mu się uporczywie i dlatego chłopak co rusz popełniał gafy. W końcu

Walijczyk powiedział:

– Nie bój się mnie, chłopcze. Nie skrzywdzę cię za nic w świecie. Przeciwnie, będę cię bronił. Ten Hiszpan nie jest ani głuchy, ani niemy. Wyrwało ci się niechcący. Teraz już tego nie odkręcisz. Wiesz o nim coś, czego nie chcesz powiedzieć. Możesz mi zaufać. Powiedz, w czym rzecz. Nie bój się, nie wydam cię.

Przez chwilę Huck patrzył w szczerze oczy starego człowieka, po czym pochylił się bliżej i wyszeptał mu do ucha:

– To nie jest Hiszpan... to Indianin Joe!

Walijczyk omal nie spadł z krzesła! Po chwili powiedział:

– No to teraz wszystko jasne. Jak mówiłeś o tym cięciu uszu i kaleczeniu nosa, to myślałem, że bujasz, bo biały człowiek nigdy by się tak nie mścił. Ale Indianin! To całkiem co innego.

Podczas śniadania rozmawiali dalej i wtedy właśnie staruszek powiedział, że ostatnią rzeczą, jaką tej nocy zrobił z synami, przed pójściem spać, było zabranie latarni i przeszukanie przełazu, czy nie ma tam śladów krwi. Śladów nie było, ale znaleźli okazały pakunek z...

– Z czym?!

Nawet gdyby słowa te były błyskawicą, nie wyskoczyłyby szybciej ze zblakłych ust Hucka. Oczy miał jak młyńskie koła i dech mu zaparło w oczekiwaniu na odpowiedź. Teraz to Walijczyk patrzył zdumiony... Patrzył... trzy sekundy... pięć sekund... dziesięć... potem rzekł:

– Ze złodziejskimi narzędziami. Co tobie?

Huck opadł na krzesło, ciężko dysząc, ale i wzdychając z ulgą. Walijczyk przyglądał mu się z powagą i zaciekawieniem, a po chwili powiedział:

– Tak, złodziejskimi narzędziami. Zdaje się, że bardzo ci ulżyło. Co ci się nagle stało? Ty myślałeś, że co tam znaleźliśmy, co?

Huck był w pułapce. Badawcze spojrzenie nie dawało mu spokoju, wiele by dał za dobry pomysł na jakąś przekonującą odpowiedź, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Spojrzenie starego Walijczyka przesywało go na wylot. Wpadł mu do głowy zupełnie beznadziejny pomysł, ale nie było już czasu się nad nim zastanawiać. Zaryzykował zatem i powiedział cicho:

– Książki z niedzielnej szkółki może...

Biedny Huck był zbyt przestraszony, żeby się uśmiechnąć, za to starszy pan zanosił się głośnym śmiechem, trzęsąc przy tym każdym fragmentem swej anatomii, a w końcu powiedział, że taki śmiech to jak kieszeń pełna pieniędzy, bo dzięki niemu można nieźle zaoszczędzić na lekarzach. A potem dodał jeszcze:

– Biedactwo! Taki jesteś błądy i mizerny. Musisz być wykończony! Nie dziwota, że miesza ci się w głowie i ledwo się na nogach trzymasz. Ale przejdzie ci.

Myszę, że odpoczynek i trochę snu dobrze ci zrobią.

Huck zły był na siebie, że tak głupio się wyspał z tym swoim podejrzanym zaciekawieniem, bo gdy tylko usłyszał nocną rozmowę na przełazie, pomyślał, że w skrzyni wyniesionej z gospody nie mogło być skarbu. Tylko tak sobie pomyślał, pewien nie był, więc wzmianka o odnalezionym pakunku sprawiła, że nie dał rady zachować się inaczej. Ale właściwie cały ten incydent nie był taki zły, bo przynajmniej Huck wiedział teraz na pewno, że pakunek nie był TYM pakunkiem. Poczuli się uspokojony. W rezultacie wszystko zmierzało teraz w dobrym kierunku: skarb musiał nadal być w dwójce, tych dwóch łotrów złapią i zamkną jeszcze dziś, a on i Tomek będą mogli z łatwością i bez obaw przejąć złoto pod osłoną nocy.



Wdowa Douglas wdzięczna za uratowanie życia.

Zaraz po śniadaniu rozległo się pukanie do drzwi. Huck prysnął szukać jakiejś kryjówki, gdyż nie chciał być w żaden sposób kojarzony z ostatnimi wydarzeniami. Walińczyk otworzył drzwi, wpuścił kilka pań i kilku panów, wśród nich również wdowę Douglas, i zauważył, że pod górę ciągną całe masy ludzi, żeby popatrzeć na przełaz. Zatem wieść już się rozeszła. Starzec musiał opowiedzieć przybyłszom całą historię z zeszłej nocy, a wdzięczność wdowy za ocalenie nie miała granic.

– Ależ nie ma o czym mówić, droga pani. Jest ktoś, komu prawdopodobnie zawdzięcza pani więcej niż mnie i moim chłopcom, ale prosił mnie o dyskrecję. Nie byłoby nas tam, gdyby nie on.

Ta wiadomość wzbudziła naturalnie takie zainteresowanie, że główny wątek niemalże przestał mieć znaczenie, ale Walińczyk odmawiając wyjawienia sekretu, pozwolił, aby ciekawość zżerała ich od środka. I właśnie dzięki temu wieść rozejść się miała po całym miasteczku. Kiedy opowiedział o wszystkich innych okolicznościach, wdowa rzekła:

– A ja położyłam się do łóżka z książką i przespałam całe to zamieszanie. Cemuście nie przyszli mnie zbudzić?

– Pomyśleliśmy, że nie ma po co. Te typy i tak raczej już by nie wrócili. Nie zostawili żadnych narzędzi, po co zatem szanowną panią budzić i straszyć niemilosierdzie? Postawiłem na czatach przy pani domu trzech Murzynów i pilnowali całą noc. Dopiero co wrócili.

Przychodziło coraz więcej ludzi i cała historia musiała być opowiadana jeszcze raz, i jeszcze raz i tak przez kilka kolejnych godzin.

Podczas wakacji nie działała szkołka niedzielna, ale i tak wszyscy zjawili się w kościele wcześniej. Gorączkowo rozprawiano o niezwykłych wydarzeniach. Dotarły wieści, że nie odnaleziono na razie żadnych śladów zbirów. Po nabożeństwie wychodząca z kościoła, w tłumie wiernych, żona sędziego Thatchera, podeszła do pani Harper i zapytała:

– Czy moja Becky cały dzień dzisiaj prześpi? Tak myślałam, że będzie okrutnie zmęczona...

– Pani Becky?

– No tak – zdziwiła się kobieta. – Nie nocowała dziś u państwa?

– Ależ nie – odparła nie mniej zdziwiona pani Harper.

Pani Thatcher natychmiast pobladła i opadła na kościelną ławę, właśnie w momencie, gdy ciotka Polly przechodziła obok, rozmawiając z przyjaciółką. Ciotka powiedziała:

– Dzień dobry, pani Thatcher. Dzień dobry, pani Harper. Brakuje mi właśnie pewnego chłopca... Domyślam się, że Tomek został u jednej z pań na noc, a teraz boi się przyjść do kościoła. Już ja z nim pomówię!

Pani Thatcher pokręciła nieznacznie głową i zbladła jeszcze bardziej.

– U nas go nie było – z niewyraźnym wyrazem twarzy odparła pani Harper.

Na twarzy ciotki Polly również zaczął malować się pewien niepokój.

– Joe, a ty widziałeś dziś rano mojego Tomka?

– Nie, proszę pani.

– A kiedy go ostatnio widziałeś?

Joe próbował sobie przypomnieć, ale nie potrafił niczego stwierdzić na pewno. Ludzie wychodzący z kościoła zaczęli się zatrzymywać. Rozległy się szepty i teraz na każdym obliczu pojawił się niepokój. Nerwowo przepytywano dzieci i młodych opiekunów. Wszyscy twierdzili, że nie wiedzą, czy Tomek i Becky byli na statku w drodze powrotnej. Było ciemno i nikt nie myślał o sprawdzaniu, czy kogoś nie brakuje. W końcu jeden z młodzieńców podzielił się swoimi podejrzeniami, że tamci mogą nadal być w jaskini! Pani Thatcher osunęła się, a ciotka Polly zalała łzami i załamała rękę.

Przeraźliwa wieść rozchodziła się z ust do ust, od grupki do grupki, z ulicy na ulicę. W przeciągu pięciu minut dzwony biły na trwożę, jak szalone i postawiły całe miasteczko na równe nogi! Wydarzenia na wzgórzu Cardiff odeszły w cień, o włamywaczach zapomniano. Osiodłano konie, obstawiono łodzie, wypuszczono parowiec i przed upływem pół godziny dwie setki ludzi ciągnęły ładem i wodą w kierunku jaskini.

Przez całe długie popołudnie miasteczko wyglądało jak wymarłe. Ciotkę Polly i panią Thatcher odwiedziło wiele kobiet starających się je jakoś pocieszyć. Płakały razem z nimi, co okazało się lepsze od słów. Całą koszmarną noc miasteczko czekało na wieści, a gdy zaczęło świtać, otrzymano jedynie informację: „Poślijcie więcej świec i jedzenie”. Pani Thatcher prawie odchodziła od zmysłów, podobnie zresztą, jak ciotka Polly. Sędzia Thatcher stał z jaskini słowa nadziei i pokrzepienia, ale to wszystko na nic się zdało.

Stary Walijczyk wrócił do domu nad ranem, ochlapany łojem świec, ubrudzony gliną i prawie nieżywy ze zmęczenia. Zastał Hucka nadal leżącego w łóżku,



Huck Finn:
Choroba.

które dla niego przygotował. Chłopak trząsł się w gorączce. Wszyscy lekarze byli w jaskini, więc pacjentem zajęła się wdowa Douglas. Powiedziała, że starać się będzie, jak tylko potrafi, bo czy dobry był, czy zły, czy zdolny, czy przeciętny, jest Bożym dzieckiem, a nic, co od Niego pochodzi, zaniedbane być nie może. Walijczyk stwierdził, że Huck ma w sobie dobro, na co wdowa rzekła:

– To na pewno. To Boskie dzieło. On niczego nie przeoczy. Nigdy. Zawsze zostawia coś dobrego na każdym stworzeniu wychodzącym z Jego rąk.

Przed południem do miasteczka zaczęły schodzić się grupki zmęczonych ludzi, jednak najwytrwalsi szukali dalej. Jediną wiadomością było to, iż obszar jaskini został przeszukany, jak nigdy dotąd: zamierzano zajrzeć w każdy kąt i każdą szczelinę. Gdziekolwiek tylko udawało się przejść w tym pokręconym labiryncie, w oddali widać było migoczące światełka, słychać echo nawoływań i wystrzałów z pistoletów. W jednym miejscu, oddalonym od szlaków zwykle odwiedzanych przez turystów, znaleziono na skalnej ścianie napis: „Becky i Tomek”. Wykonano go sadzą ze świecy, a tuż obok leżał kawałeczek pobrudzonej wstążki. Pani Thatcher rozpoznała wstążkę i rozplakała się nad nią. Mówiła, że to ostatnia relikwia, jaką ma teraz po swym dziecku i że żadna inna pamiątka nie będzie tak cenna, gdyż ta właśnie najdłużej była przy dziewczynce, zanim nadeszła straszliwa śmierć. Niektórzy mówili jeszcze, że kilka razy zauważono w jaskini migoczące w oddali światełko. Natychmiast zaczynało krzyżeć i nawoływać, ludzie pędzili w tamtym kierunku, ale zawsze kończyło się gorzkim rozczarowaniem, gdyż nie były to zaginione dzieci, tylko inni poszukiwacze oświetlający sobie drogę.

Ciężki wysiłek trwał jeszcze przez trzy kolejne straszliwe dni i noce, a miasteczko pogrążyło się w beznadziejnym odrętwieniu. Nikt nie mógł na niczym skupić myśli. Niespodziewane odkrycie, że właściciel gospody ukrywał na jej terenie alkohol, jakkolwiek było niesamowitym wydarzeniem, przeszło praktycznie bez echa. W przebłysku świadomości, Huck ostrożnie poruszył temat gospód i w końcu, podejrzewając najgorsze, spytał, czy podczas jego choroby, coś znaleziono.

– A i owszem – odrzekła wdowa.

Huck poderwał się na łóżku z przerażaniem w oczach:

– Co? Co znaleźli?

– Alkohol! I zamknęli gospodę. Leż spokojnie, dziecko. Aleś się ożywił!

– Jeszcze tylko jedno proszę mi powiedzieć, jeszcze jedno! Czy to Tomek Sawyer znalazł?

Wdowa wybuchnęła płaczem:

– Cicho, cichutko, no już cicho, dziecko! Mówiłam ci już, że nie wolno ci rozmawiać. Jesteś bardzo, bardzo chory!

Nie znaleźli zatem nic prócz alkoholu. Gdyby to było złoto, byłoby dużo więcej zamieszania. A więc skarb przypadł na zawsze! Na zawsze! Tylko czemu ona tak strasznie płacze? Dziwne.

Takie myśli kłębiły się Huckowi w głowie, aż wreszcie znużyły go tak, że zasnął. Wdowa rzekła do siebie:

– Śpij, biedaczyno, śpij. Tomek Sawyer znalazł... Szkoda, że samego Tomka Sawyera nikt znaleźć nie może! A już niewiele zostało takich, co jeszcze mają nadzieję i wystarczająco sił, żeby szukać dalej.

ROZDZIAŁ XXXI

Wróćmy teraz do Tomka i Becky oraz ich udziału w pikniku. Przemierzali oni mroczne korytarze wraz z resztą towarzystwa, zwiedzając znajome miejsca jaskini. Były one opatrzone nieco przesadnymi nazwami, jak: „Salon”, „Katedra”, „Pałac Alladyna” i tym podobne. Rozpoczęła się swawolna zabawa w chowanego, w którą zarówno Tomek, jak i Becky włączyli się z wielkim zapałem. Gdy już porządnie się zmęczyli, oddalili się w jeden z krętych korytarzy, trzymając świece wysoko i od czytując zawiłą płataninę imion, dat, adresów i złotych myśli wymalowanych na skalistych ścianach (sadzą ze świec). Idąc i rozmawiając, prawie przeoczyli fakt, że znaleźli się w takiej części jaskini, gdzie napisów już nie było. Wymalowali więc swoje imiona pod jedną z wystających półek skalnych i powędrowali dalej. Doszli do niewielkiego strumyka, który spływając ze skalnego występu i niosąc osad wapienny, latami tworzył w lśniącym i niezniszczalnym kamieniu misterną, pomarszczoną Niagarę. Tomek precisnął się za nią, aby oświetlić zjawisko dla Becky. Odkrył, że wodna kurtyna ukrywa za sobą coś w rodzaju stromych schodków wciśniętych między wąziutkie ściany. Natychmiast wstąpił w niego duch odkrywcy. Becky udzielił się jego zapał i zostawiwszy sobie na drogę powrotną dymny znak na skale, ruszyli razem na poszukiwania. Podążali krętymi tunelami w głąb tajemniczej jaskini. Zostawili kolejny znak i weszli w któryś z bocznych korytarzy, szukając atrakcji, o których potem będą mogli opowiedzieć światu na zewnątrz. W jednym miejscu odkryli przestronną pieczarę, której sufit stanowiło mnóstwo połyskujących stalaktytów długości i wielkości ludzkiej nogi. Zdumieni obeszlą niezwykle miejsce, podziwiając ten wspaniały widok i znów weszli w jeden z wielu korytarzy, odchodzących od pieczary. Po chwili znaleźli się przy



Wędrowka
Tomka i Becky
po jaskini.

urokliwym źródelku, którego dno bogato zdobione było szronem błyszczących kryształków. Znajdowali się pośrodku sali, której ściany podtrzymywały okazałe kolumny z połączonych ze sobą olbrzymich stalaktytów i stalagmitów. Dzieło to powstało dzięki nieustannej pracy kropelek wody na przestrzeni całych wieków.

Pod sufitem ulokowały się gromady nietoperzy, po parę tysięcy w jednej grupie. Światło świec zakłóciło ich spokój, więc gromadnie sfrunęły, piszcząc i rzucając się wściekle na świece. Tomek dobrze znał ich zwyczaje i wiedział, jak mogą być niebezpieczne. Chwycił Becky za rękę i popędził w pierwszy lepszy korytarz. Zrobił to w samą porę, gdyż jeden z nietoperzy właśnie zgasił świecę Becky, gdy dziewczynka wybiegała z komnaty. Nietoperze goniły ich tak jeszcze spory kawałek, ale uciekinierzy co rusz wpadali w nowe przejścia i wreszcie udało im się pozbyć niebezpiecznego pościgu. Chwilę potem Tomek odkrył podziemne jezioro, które było tak okazałe, że jego drugi koniec ginął w ciemnościach jaskini. Oczywiście, chłopiec chciał od razu zbadać jego brzegi, ale po namyśle uznał, że lepiej będzie najpierw chwilę odsapnąć. Wtedy to dzieci po raz pierwszy poczuły przenikliwą ciszę, nieprzyjemną, jak dotknięcie lepkiej dłoni. Becky powiedziała:

– Ojej, wcześniej tego nie zauważyłam, ale już dawno nie słychać żadnych głosów reszty!

– Pomyśl, Becky. Jesteśmy daleko pod nimi – nie wiem nawet, jak daleko na północ, południe, wschód, czy gdzie tam jeszcze. Nie możemy ich tu usłyszeć.

Becky się zaniepokoiła.

– Ciekawe, jak długo już tu jesteśmy. Może lepiej wracajmy.



Błakanie się
dzieci po ja-
skini.

– Też tak myślę. Tak będzie lepiej.

– Trafisz, Tomek? Mnie się już wszystko pokręciło.

– Myślę, że trafię. Tylko te nietoperze. Jak pogaszą nam świece, to będzie klops. Spróbujmy jakiegoś innego wyjścia, żeby nie wracać tamtędy.

– Dobrze, tylko mam nadzieję, że się nie zgubimy. To byłoby straszne!

Po tych słowach dziewczynka aż zatrzęsła się na samą myśl o takiej sposobności.

Ruszyli jednym z korytarzy i przez dłuższy czas szli w milczeniu, sprawdzając każde mijane przejście w poszukiwaniu czegoś znajomego. Jednak wszystko wydawało się obce. Za każdym razem, gdy Tomek dokonywał oględzin, Becky wpatrywała się w jego twarz, wyczekując jakiegoś pokrępowanego sygnału, a on powtarzał wesoło:

– Wszystko w porządku. To jeszcze nie tu, ale zaraz znajdziemy!

Jednak każde niepowodzenie odbierało mu nadzieję. Desperacko zaglądając na chybił trafił w rozwidlające się korytarze, łudził się, że może wreszcie znaleźć ten właściwy. Nadal mówił, że: „Wszystko jest w porządku”, ale w jego ser-

cu zagościł tak potężny strach, że słowa te straciły cały swój sens i równie dobrze mógłby mówić: „Wszystko stracone!”. Przerażona Becky kurczowo przywarła do jego boku, bezskutecznie starając się ze wszystkich sił powstrzymać łzy. W końcu powiedziała:

- Mniejsza o nietoperze, wracajmy tamtędy! Błądzimy tylko coraz bardziej...
- Słuchaj! – przerwał Tomek.

Tylko cisza. Tak głęboka, że wyraźnie słychać było nawet ich oddechy. Tomek krzyknął. Okrzyk odbił się echem w pustych tunelach i rozpląnął się w oddali w niewyraźny dźwięk przypominający szyderczy śmiech.

- Nie rób już tak. To przerażające – powiedziała Becky.
- Przerażające, ale tak trzeba, Becky. Może nas usłyszą – i krzyknął ponownie.

„Może” brzmiało znacznie gorzej niż ten upiorny śmiech; było jak ulatująca nadzieja. Przez chwilę stali nieruchomo i nasłuchiwali, ale bez skutku. Tomek odwrócił się szybko i pospieszył z powrotem. Nie minęła chwila, gdy do Becky dotarła jawna niepewność w poczynaniach chłopca, która uświadomiła jej kolejną straszliwą prawdę: on nie umiał znaleźć drogi powrotnej!

- To ty nie porobiłeś żadnych znaków?
- Ale ja byłem głupkiem, Becky! Jakim głupkiem! Nie pomyślałem, że będziemy chcieli wracać! Nie trafię. Wszystko mi się pokręciło.
- Och, Tomku! Zgubiliśmy się! Zgubiliśmy! Już nigdy nie wy-

dostaniemy się z tego okropnego miejsca! Dłaczegośmy się w ogóle odłączyli od reszty!



Rozpacz Becky w jaskini.

Padła na ziemię i zaniosła się tak histerycznym płaczem, iż Tomek bał się, że może nawet umrzeć albo postradać rozum. Siadł przy niej, objął ramieniem, a ona ukrywając twarz w jego piersi, wylewała cały swój lęk i daremny żal, a echo zmieniało je w prześmiewczy chichot. Tomek błagał, by wzbudziła w sobie nadzieję, ale dziewczynka twierdziła, że nie potrafi. Zaczął więc obwiniać się i wymyślać sobie za wpakowanie jej w takie tarapaty i to wreszcie pomogło. Obiecała wskrzesić nadzieję i iść za nim wszędzie, gdzie każe, jeśli tylko już więcej nie będzie tak mówił. I dodała, że jest to tak samo jej wina, jak jego.

Ruszyli więc znowu. Bez celu, na chybił trafił. Jedyne, co mogli zrobić, to iść. Po prostu iść...

Na chwilę powróciła nadzieja, bez specjalnego powodu, tak sobie. To leży w naturze nadziei: powracać, dopóki się nie zestarzeje i nie przyzwyczai do niepowodzeń.

Po pewnym czasie Tomek wziął od Becky jej świecę i zdmuchnął ją. Ta oszczędność była nader wymowna! Słowa były zbędne. Dziewczynka wszystko zrozumiała i nadzieja ponownie ją opuściła. Zdawała sobie sprawę, że Tomek miał jesz-

cze całą swoją świecę oraz trzy czy cztery kawałeczki w kieszeniach, a jednak musiał i tę oszczędzić.

W końcu dało o sobie znać zmęczenie i dzieci zmuszały się do skupiania uwagi, gdyż straszonym było pomyśleć, że miałyby odpocząć, podczas gdy czas stał się tak cenny. Musieli iść, iść gdziekolwiek, byleby robić coś, co może przynieść jakiś skutek. Odpoczynek byłby zaproszeniem dla śmierci.

Jednak słabowite nóżki Becky wreszcie odmówiły posłuszeństwa. Usiadła, a Tomek spoczął obok niej. Rozmawiali o domu, przyjaciołach, wygodnych łózkach, a przede wszystkim o świetle! Becky płakała, a Tomek starał się wymyślić coś na pocieszenie. Wszystkie pomysły zdawały się jednak tak oklepane, że cokolwiek by nie powiedział, brzmiało ironicznie. Becky była wykończona, więc w końcu usnęła. Dla Tomka była to ulga. Siedział, wpatrując się w jej bledziutką twarzączkę i patrzył, jak robi się coraz łagodniejsza pod wpływem dobroczynnych snów, aż rozchmurzyła się całkiem i zagościł na niej uśmiech. Ta spokojna twarz podziałała kojąco również na jego duszę i myśli chłopca powędrowały do minionych czasów i krzepiących wspomnień. Gdy tak siedział zadumany, Becky przebudziła się z radosnym uśmiechem, który jednak wnet zamarł na jej ustach i ustąpił miejsca strachowi.

– Jakże mogłam tak zasnąć! Chciałabym się nigdy nie obudzić! Nigdy! Nie! Wcale nieprawda, Tomku! Nie patrz tak! Już więcej tak nie powiem.

– Ciesz się, że pospałaś. Poczujesz się lepiej i zaraz znajdziemy wyjście.

– Możemy spróbować, ale widziałam we śnie taką cudną krainę. Myślę, że to tam idziemy.

– A może nie, może wcale nie... No, rozchmurz się Becky, chodźmy dalej.

Podnieśli się i bez zbytnej nadziei pomaszzerowali, trzymając się za ręce. Starali się ustalić, jak długo są już w jaskini, ale wydawało im się, że minęły dni, a nawet tygodnie. Jednocześnie zdawali sobie sprawę, że to niemożliwe, skoro wciąż mieli świece. Dużo później (nie wiedzieli jak długo) Tomek stwierdził, że powinni iść ostrożnie i po cichu oraz nasłuchiwać kapania wody. Muszą zlokalizować źródółko.

Gdy po chwili je znaleźli, Tomek powiedział, że nadszedł czas na odpoczynek. Oboje byli wycieńczeni, jednak Becky stwierdziła, że może pójść jeszcze kawałeczek. Zdziwiła się bardzo, gdy Tomek się sprzeciwił i nie mogła zrozumieć, o co mu chodzi. Gdy usiedli, Tomek przytwierdził świeczkę gliną do ściany. Myśli kłębiły im się w głowach i przez jakiś czas oboje milczeli. Ciszę przerwała Becky:

– Ale jestem głodna!

Tomek wydobył coś z kieszeni.

– Pamiętasz to? – zapytał.

Becky prawie się uśmiechnęła.

- To przecież nasz tort weselny.
- Żałuję, że nie mam kawałka wielkiego jak beczka, ale to wszystko, co mamy.
- Zachowałam go z pikniku, żeby był na szczęście. Tak jak dorośli robią z tortem weselnym, a ten będzie naszym...

Urwała w pół zdania. Tomek podzielił ciasto i podczas gdy Becky jadła z apetytem, on tylko skubał swój kawałek. Ucztę popili zimną wodą, której akurat mieli pod dostatkiem. Po pewnym czasie Becky zaproponowała, aby ruszyli dalej. Po chwili milczenia Tomek zapytał:

- Becky, zniesiesz odważnie, jak ci coś powiem?
- Dziewczynka pobladła, ale stwierdziła, że da radę.
- No więc słuchaj. Musimy zostać tutaj, gdzie jest woda do picia. Ten kawałeczek świeczki jest ostatni!

Becky wybuchnęła żalonym płaczem. Tomek robił, co mógł, by ją pocieszyć, ale z marnym skutkiem. W końcu dziewczynka powiedziała przez łzy:

- Tomek!
- Co, Becky?
- Oni zobaczą, że nas nie ma i będą nas szukać! Prawda?
- Tak, na pewno! Na pewno tak będzie!
- Może nawet już nas szukają.
- Pewnie! Mam nadzieję, że szukają.
- A kiedy się zorientowali, że nas nie ma?
- No myślę, że jak wrócili na statek.
- Ale wtedy już mogło być ciemno. Zauważyliby, że nas nie ma?
- Nie jestem pewien. Ale i tak twoja mama zauważyłaby zaraz po ich powrocie.

Przerażanie malujące się na twarzy Becky ocuciło Tomka i wnet pojął, że to była gafa. Przecież Becky miała nie wracać tego wieczoru do domu! Dzieci zamilkły i pograżyły się w rozmyślaniach. Już po chwili rozpacz Becky dała mu do zrozumienia, że pomyślała o tym samym, co on. Że może minąć całe niedzielne przedpołudnie zanim pani Thatcher dowie się, iż Becky nie nocowała u pani Harper.

Dzieci wbiły wzrok w ostatni kawałeczek świeczki i patrzyły, jak wolno i bezlitośnie ogarek topnieje, potem, jak wystaje tylko półcałowy knocik, a jeszcze później, jak słabutki płomień unosi się i opada, wspina po cieniutkiej smuźce dymu, tli się przez moment na wierzchołku, po czym gaśnie... i zapada upiorna, nieprzenikniona ciemność!

Ile czasu minęło, zanim Becky uświadomiła sobie, że płacze wtulona w ramiona Tomka, tego nie wiedziało żadne z nich. Wiedzieli natomiast, że po zdającym się trwać wieczność otepiającym śnie, oboje obudzili się i ponownie zderzyli ze swoim przygnębieniem. Tomek stwierdził, że może być już niedziela albo nawet

poniedziałek. Starał się zachęcić Becky do rozmowy, ale była zbyt smutna i opuściła ją wszelkie resztki nadziei. Aby ją pocieszyć, powiedział, że pewnie zaginęli już dość dawno temu i z całą pewnością wszyscy już ich szukają. Będzie krzyczał i może wtedy po nich przyjdą. Spróbował, ale w ciemnościach echo zabrzmiało tak potwornie, że porzesał na tej jednej próbie.

Godziny mijały i pojawił się głód, znęcając się nad uwięzionymi. Z Tomkowego przydziału tortu został jeszcze kawałek, który podzielili między sobą na pół i zjedli, ale byli potem jeszcze bardziej głodni. Ta nędzna przekąska jedynie podrażniła łaknienie.

Nagle Tomek szepnął:

– Ciii! Słyszałaś to?

Wstrzymali oddech, nasłuchując. Dochodził do nich jakiś bardzo daleki, stłumiony dźwięk, coś jakby wołanie. Tomek natychmiast odpowiedział i ciągnąc Becky za rękę, ruszył korytarzem w kierunku głosu. Znowu nasłuchiwał i znowu coś usłyszał, ale tym razem głos był wyraźnie bliżej.

– To oni! – krzyknął. – Idą tu! Becky, chodź. Już wszystko w porządku!

Zabłąkani wędrowcy nie posiadali się z radości. Nie mogli jednak iść zbyt szybko, bo dookoła roilo się od pułapek, na które trzeba było bardzo uważać. Już po chwili dotarli do jednej z nich i musieli się zatrzymać. Uskok przed nimi mógł mieć równie dobrze trzy, jak i ze sto stóp głębokości. Nie było mowy o przejściu. Tomek położył się na brzuchu i sięgnął w dół, jak mógł najdalej. Żadnego dna. Musieli zostać na miejscu i czekać na ratowników. Nasłuchiwali. Najwyraźniej dalekie nawoływania stawały się coraz dalsze! Po chwili umilkły zupełnie. Co za okropny pech! Tomek wrzeszczał tak długo, aż ochrypl, ale wszystko na nic! Pocieszał Becky, jednak minęły całe wieki nerwowego wyczekiwania, a oni nie usłyszeli ani jednego ludzkiego głosu.

Wrócili po omacku do źródelka. Czas włócił się niemiłosiernie. Trochę spali, potem obudzili się, wygłodniali i załamani. Tomek był pewien, że musiał być już wtorek.

Nagle coś przyszło mu do głowy. W pobliżu znajdowały się wejścia do kilku bocznych korytarzy. Lepiej zbadać choć część z nich, niż znosić tę okropną bezczynność. Wydobył z kieszeni linę od latawca i przywiązał do skalnego występu. Tomek ruszył przodem, rozwijając po omacku linę. Po około dwudziestu krokach korytarz skończył się uskokiem. Tomek ukląkł i pomacał teren przed sobą rękoma, a potem sięgnął za skalny róg. Wyciągnął się, jak tylko mógł najbardziej w prawo i nagle, nie dalej niż jakieś dwadzieścia jardów od niego, zza skały wyłoniła się ludzka ręka dzierżąca świecę! Tomek wrzasnął i w tej samej chwili za ręką ukazał się jej właściciel... Indianin Joe!!! Tomek zamarł, nie był w sta-

nie się poruszyć! Odczuł gigantyczną ulgę, gdy zaraz potem fałszywy Hiszpan wziął nogi za pas i zniknął z pola widzenia. Tomek zastanawiał się, czy to możliwe, że Joe rozpoznał jego nawoływania i przyszedł zabić go za te zeznania w sądzie. Ale echo musiało przecież zniekształcić jego głos. Bez wątpienia o to chodziło. Przerazenie osłabiło każdy najmniejszy mięsień jego ciała. Powiedział sobie, że jeśli tylko starczy mu sił, to wróci do źródelka i już się stamtąd nie ruszy, bo za nic w świecie nie chce znów wpaść na Indianina Joe! Starał się ze wszystkich sił, aby Becky nie wiedziała o tym, co zobaczył. Powiedział jej, że krzyczał tylko tak „na wszelki wypadek”.

Na dłuższą metę głód i zmęczenie zawsze biorą górę nad strachem. Kolejne wlokące się godziny czekania i długi sen przyniosły pewne zmiany. Dzieci obudziły się potwornie głodne. Tomek stwierdził, że na pewno jest już środa bądź czwartek albo nawet piątek czy sobota i że z pewnością już zaprzestano wszelkich poszukiwań. Zasugerował zbadanie kolejnego korytarza. Gotów był nawet na spotkanie z Indianinem Joe i na wszystkie inne straszliwości. Becky była jednak bardzo osłabiona; popadła w jakąś straszną apatię i w żaden sposób nie można jej było z tego stanu wydobyć. Powiedziała, że będzie siedzieć tu na miejscu i czekać, aż umrze, co na pewno nastąpi niedługo. Zgodziła się, by Tomek wyruszył z linką od latawca i sprawdził sobie korytarze, jeśli ma takie życzenie, ale wyprosiła, żeby wracał co jakiś czas i mówił do niej. Kazała też obiecać, że gdy nadejdzie ta ostateczna godzina, to on zostanie przy niej i będzie trzymał ją za rękę, aż do samego końca.

Tomek pocałował ją, czując, jak coś ściska mu gardło. Z udawanym przekonaniem stwierdził, że uda mu się odnaleźć ratowników albo wyjście z jaskini. Potem wziął linkę od latawca i po omacku, na czworakach, wszedł w jeden z tuneli. Był ledwie żywy z głodu i przytłoczony wróżbą nieuchronnego końca.

ROZDZIAŁ XXXII

Nadeszło wtorkowe popołudnie, a następnie zgasło o zmierzchu. St. Petersburg wciąż pogrążony był w żałobie. Zaginionych dzieci nie odnaleziono. W ich intencji wznoszono zbiorowe modły, a także całe mnóstwo cichych i szczerych modlitw prywatnych, w które proszący wkładali całe swe serca. Niestety, nadal nie było żadnych dobrych wieści z jaskini. Większość poszukiwaczy zrezygnowała z prób odnalezienia dzieci i powróciła do swych codziennych zajęć, twierdząc, iż z pewnością nie ma już szans na ich odszukanie. Pani Thatcher była bardzo chora i przez większość czasu majaczyła w gorączce. Serce się krajało, gdy nawoływała swoje dziecko, unosiła głowę, by po chwili nasłuchiwanie, z przejmują-

cym jękiem opuścić ją z powrotem na poduszkę. Ciotka Polly popadła w całkowite przygnębienie, a jej siwe włosy stały się niemal zupełnie białe. Wtorkowej nocy miasteczko udało się na spoczynek smutne i zrozpaczone.



Odnalezienie
Tomka i Becky.

W samym środku nocy rozległo się nagle wściekłe bicie dzwonów i po chwili ulice zaroily się od ledwie ubranych, podekscytowanych ludzi. Rozległy się okrzyki: „Udało się! Udało się! Znaleźli ich! Znaleźli!” Do ogólnej wrzawy dołączyły dźwięki blaszanych rondli i trąbek, a tłum ruszył w stronę rzeki. Tam ukazał się zgromadzonym obraz dwojga dzieci nadjeżdżających odkrytym wozem, ciągniętym przez wrzeszczących mieszkańców. Wszyscy stoczyli się wokół nich i przyłączyli do radosnego pochodu, wypełniając główną ulicę gromkimi „hura!”.

We wszystkich oknach rozbłysło światło i do rana nikt już nie wrócił do łóżka. Była to najwspanialsza noc, jaką miasteczko kiedykolwiek widziało. Przez pierwsze pół godziny, przez dom sędziego Thatchera przewinęła się istna procesja ludzi ściskających i całujących, zarówno ocalonych, jak i rękę pani Thatcher. Niektórzy próbowali coś powiedzieć, ale nie byli w stanie wykrztusić słowa, wylewali jedynie potoki łez.

Ciotka Polly nie posiadała się z radości, pani Thatcher cieszyła się także, ale jej euforia byłaby pełna, gdyby posłaniec, wysłany do jaskini, dotarł z tą cudowną wiadomością do jej męża. Leżąc na kanapie w otoczeniu przejętych słuchaczy, Tomek opowiadał o ich niesłychanej przygodzie, ubarwiając ją tu i ówdzie, dla lepszego efektu. Zakończył opisem, jak to pozostawił Becky i ruszył na wyprawę badawczą, jak przeszedł dwa tunele tak daleko, jak tylko pozwalała mu linka od latawca, jak za trzecim razem rozciągnął ją do granic możliwości i miał właśnie wracać, kiedy zauważył odległe światełko przypominające światło dzienne, jak porzucił sznurek i po omacku puścił się w stronę światła, jak przecisnął głowę i ramiona przez malutki otworek i ujrzał wody Missisipi! A gdyby wtedy była noc, to wcale nie zauważyłby tego światełka i już nigdy więcej nie wrócił do tego korytarza! Opowiadał, jak wrócił po Becky i podzielił się z nią radosną nowiną, ale ona powiedziała, by nie denerwował jej takim gadaniem, bo była zmęczona i dobrze wiedziała, że umrze i właściwie to chciała umrzeć. Opisywał, jak musiał się starać i ją przekonywać i jak o mało nie umarła z radości, gdy doszedłszy do owego miejsca, sama zobaczyła to światło, i jak on przecisnął się pierwszy przez otwór, a potem pomógł jej przejść, i jak usiedli i płakali ze szczęścia, i jak pojawili się jacyś ludzie na łodzi i Tomek ich zawołał, i opowiedział, co im się przydarzyło i jak bardzo są wygłodniali, i jak mężczyźni nie chcieli uwierzyć w tę przedziwną historię, ponieważ „znaleźli się przecież o pięć mil w dół rzeki od doliny, w której jest jaskinia”, i jak potem zabrali ich łodzią do swojego domu, nakar-

mili, pozwolili się wypaść do późnego wieczora, a w końcu przywieźli do domu.

Przed świtem, dzięki porozpinanym sznurkom, odnaleziono sędziego Thatcher'a z grupką ratowników i przekazano im fantastyczną nowinę.

Trzy dni i noce trudu, głodu i zmęczenia w jaskini nie minęły bez śladu, o czym Tomek i Becky już wkrótce się przekonali. Przez całą środę i czwartek nie ruszali się z łóżek i zdawało się, że stają się coraz bardziej zmęczeni. Tomek wstał na chwilę w czwartek, w piątek wyszedł do miasteczka i prawie wydobrzył w sobotę, ale Becky do niedzieli nie opuściła swojego pokoju, a potem wyglądała, jakby przeżyła jakąś wyniszczającą chorobę.

Tomek dowiedział się też o chorobie Hucka i w piątek poszedł go odwiedzić, ale nie pozwolono mu wejść do pokoju. Podobnie w sobotę i niedzielę. Dopiero w poniedziałek mógł do niego zajrzeć, ale uprzedzono go, żeby nic nie mówił o swoich przygodach ani o żadnych emocjonujących rzeczach. Wdowa Douglas pilnowała, by wywiązał się z obietnicy. W domu Tomek dowiedział się o sprawie ze wzgórzem Cardiff, o tym, że znaleziono wreszcie ciało „obdarcucha” w rzece, nieopodal przystani promowej oraz, że ten utopił się najprawdopodobniej podczas próby ucieczki.

Jakieś dwa tygodnie po przygodzie z jaskinią, Tomek wybrał się z odwiedzinami do Hucka, który czuł się już na tyle dobrze, że mógł słuchać niesamowitych opowieści, a Tomek miał mu do powiedzenia coś, co z pewnością powinno go zainteresować. Po drodze znajdował się dom sędziego Thatcher'a, więc Tomek postanowił wstąpić do Becky. Sędzia wraz z kilkoma przyjaciółmi zachęcili chłopca do rozmowy, a jeden z nich ironicznie zapytał, czy nie chciałby może znów wybrać się do jaskini. Tomek odparł, że nie miałby nic przeciwko temu. Na co sędzia powiedział:

– Nie ty jeden, Tomku, z pewnością nie ty jeden. Ale zajęliśmy się już tym problemem. Już nikt nigdy nie zgubił się w jaskini.

– A dlaczego?

– A dlatego, żeśmy dwa tygodnie temu zabarykadowali wejście do niej żelazną blachą i zamknęli na trzy spusty. I klucze są u mnie.

Tomek pobałdł jak ściana.

– Co się stało, chłopcze?! Szybko! Szklankę wody!

Przyniesiono wodę i chluśnięto Tomkowi prosto w twarz.

– No, już lepiej. Cóż to się stało z tobą, Tomku?

– Panie sędzio, w jaskini jest Indianin Joe!

ROZDZIAŁ XXXIII

Wiadomość rozniosła się po miasteczku w przeciągu kilku minut i kilkanaście wypełnionych ludźmi łodzi płynęło już w kierunku Jaskini McDougala, a za nimi prom z kompletem pasażerów. Tomek Sawyer płynął łódką, w której był także sędzia Thatcher.



Śmierć głodowa
Indianina Joe.

Gdy otwarto wrota jaskini, wszystkim ukazał się w półmroku straszliwy widok: martwy Indianin Joe leżał wyciągnięty na ziemi z twarzą tuż przy szczelinie w drzwiach, jakby jego tęskne oczy do ostatniej chwili utkwione były w świetle dziennym i radościach świata na zewnątrz. Tomek był poruszony, gdyż wiedział dobrze, jak ten nieszczęśnik musiał cierpieć. Odczuwał litość, ale jednocześnie przepelniało go uczucie ulgi i bezpieczeństwa. Dopiero teraz uświadomił sobie, jak straszliwy ciężar przygniatał go do tej pory od chwili, gdy zeznał przeciwko temu krwawemu wysiedleńcowi.

Obok Indianina Joe leżał jego nóż z rozpołowionym ostrzem. Ogromna belka przytrzymująca drzwi była wyszczerbiona i porżnięta w mozolnym trudzie – bezużytecznej męce, ponieważ znajdująca się za nią skała tworzyła próg, którego nóż nie miał szans przewyciężyć. To właśnie na nożu widoczne były jedyne ślady zniszczenia. Nawet, gdyby nie było kamiennej przeszkody, wysiłki i tak poszłyby na marne, gdyż nawet jeśli Indianin Joe całkiem przeciął belkę, i tak nie przecisnąłby się pod drzwiami i dobrze o tym wiedział. Drażył zatem w tym miejscu tylko po to, by mieć coś do roboty, zabić stojący w miejscu czas i zająć czymś udręczone ciało i umysł. Zwykle w tym przedsiönku jaskini można było znaleźć porozrzucane po szczelinach resztki świeczek pozostawione przez turystów, ale tym razem nie było ani kawałeczka. Więzień odszukał je wszystkie i zjadł. Zdołał także schwytać kilka nietoperzy, które również zjadł, pozostawiając jedynie pazurki. Nieszczęśnik umarł z głodu. W zasięgu jego ręki wyrastał stalagmit, który z mazołem, przez wieki, piął się ku górze dzięki wodzie kapiącej nań ze znajdującego się nad nim stalaktytu. Jeniec odłamał wierzchołek stalagmitu i na powstałym kikucie umieścił kamień, na którym wydrążył niewielkie wgłębienie mające gromadzić bezcenne krople spadające ze straszliwą, zegarmistrzowską precyzją co trzy minuty. Jedna łyżeczka wody na dwadzieścia cztery godziny. Ta woda kapała tak samo już wtedy, gdy piramidy były jeszcze świeże, gdy upadła Troja, gdy Rzym tworzył swe podwaliny, gdy krzyżowano Chrystusa, gdy Wilhelm Zdobycyca tworzył imperium brytyjskie, gdy żeglował Kolumb i gdy masakra w Lexington²⁵ była „najświeższą wiadomością”. I kapie nadal. I będzie kapać również

²⁵ Słynna bitwa pod Lexington miała miejsce w 1861 r. podczas wojny secesyjnej (przyp. autora).

wtedy, gdy wszystkie obecne wydarzenia przejdą do historii, zapadną się w mrok tradycji i znikną w ciemnościach zapomnienia. Czy wszystko ma cel i przeznaczenie? Czy ta woda kapała tak wytrwale przez pięć tysięcy lat właśnie po to, by napoić tego nędznego ludzkiego robaka? Czy też ma jakiś inny ważny cel do osiągnięcia w przeciągu następnych dziesiątek tysięcy lat? Nieważne. Minęło już wiele, wiele lat od chwili, gdy ów nieszczęsny mieszaniec wydrążył kamień, by chwycić bezcenne krople, a po dziś dzień, podziwiający Jaskinię McDougala, turyści, najdłużej przyglądają się właśnie temu żalonnemu kamieniowi i mozolnie kapiącej wodzie. „Kubek Indianina Joe” figuruje na pierwszym miejscu listy cudów jaskini i nawet „Pałac Alladyna” nie może się z nim równać.

Indianin Joe został pochowany w pobliżu wylotu jaskini. Na pogrzeb ludzie tłumnie przybyli łodziami i wozami, z miasteczek, farm i wiosek oddalonych nawet o siedem mil. Przywieźli ze sobą dzieci i prowiant, i zgodnie twierdzili, że spędzili czas niemal tak udanie, jakby to było publiczna egzekucja.

Pogrzeb położył kres działaniom usiłującym wyjednać gubernatorskie ulaskawienie dla Indianina Joe. Petycja była już podpisana przez wielu. Odbyło się mnóstwo łzawych, wymownych zebrań, powołano kółko niezbyt rozgarniętych kobiet, których zadaniem było w smutku i żałobie udać się do gubernatora i ubłagać go, by był litościwym osłem i zaniechał swoich obowiązków. Indianin Joe podejrzewany był o morderstwo pięciu mieszkańców, ale co z tego? Gdyby był nawet samym diabłem wcielonym, to i tak znalazłoby się mnóstwo miękkich serc gotowych podpisać się pod petycją o ulaskawienie i zdolnych uronić łzę ze swego wnieścownie zepsutego i ciekącego narządu płaczu.

Następnego ranka, po pogrzebie, Tomek zabrał Hucka w ustronne miejsce, by odbyć ważną rozmowę. Huck dowiedział się już wszystkiego o Tomkowych przygodach od Walińczyka i wdowy Douglas, ale Tomek uważał, że jest coś, o czym z pewnością mu nie powiedzieli i to właśnie o tym chciał z nim porozmawiać. Huck posmutniał i powiedział:

– Ja wiem, o co chodzi. Byłeś w „dwójce” i nie było tam nic, prócz whisky. Nie powiedzieli mi, że to byłeś ty, ale ja wiedziałem, jak tylko usłyszałem o tej awanturze. Ja żem wiedział, że nie wzięłeś forsę, no bo jakbyś wziął, to byś mi ja-koś powiedział, nawet jakbyś nikomu innemu nic nie wygadał. Ja od początku tak myślałem, że my tego łupu nie zdobędziemy wcale.

– Ale Huck, ja nie doniosłem na tego od gospody. Przecież wiesz, że w sobotę, jak był piknik, to nic w gospodzie się nie działo. Pilnowałeś wtedy w nocy, nie pamiętasz?

– Ano tak! Tak się to już dawno wydaje. To było wtedy, kiedy poszedłem za Indianinem Joe do wdowy.

– Poszedłeś za nim?

– No tak, ale cicho. Indianin Joe pewnie zostawił tu jakichś swoich kumpli, a ja nie chcę, żeby się mnie czepiali i robili mi coś złego. Jakbym nie poszedł, to on by już teraz dawno w Teksasie siedział.

I Huck opowiedział w tajemnicy całą swoją przygodę Tomkowi, który dotąd znał jedynie wersję Walijczyka.

– No i – zakończył Huck – wracając do tamtej sprawy, ktokolwiek buchnął whisky z „dwójki”, zwinął też forszę. Przepadło, Tomek.

– Huck, tej forsy w ogóle nie było w „dwójce”!

– Co? – Huck przyglądał się bacznie koledze z niedowierzaniem. – Ty wiesz, gdzie ona teraz jest?

– W jaskini, Huck!

Huckowi aż się oczy zaświeciły.

– Jeszcze raz powiedz.

– Pieniądze są w jaskini!

– Ale poważnie. Bujasz czy na serio?

– Na serio. Najbardziej serio na świecie. Pójdiesz ze mną i pomożesz je wydobyć?

– No pewnie! Pójdę, jak uda nam się jakoś oznaczyć drogę i się nie zgubić.

– Huck, to się da zrobić bez najmniejszego problemu!

– Bomba! A skąd wiesz, że kasa jest w...

– Poczekaj, aż będziemy na miejscu. Jak nie znajdziemy, to obiecuję oddać ci mój bębenek i wszystko inne, co mam. Obiecuję.

– No dobra, super. To kiedy?

– Możemy nawet od razu. Dasz radę?

– A to daleko w tej jaskini? Łażę już trochę: ze trzy czy cztery dni, ale więcej niż milę nie uleżę. Znaczą, tak mi się wydaje.

– To jakieś pięć mil tą drogą, którą każdy by poszedł. Każdy, ale nie ja, Huck. Jest taki skrót, który tylko ja znam. I tam cię zabiorę łódką. Będę wiostował sam w obie strony. Ty nawet nie musisz palcem kiwnąć.



Wyprawa
po złoto.

– To ruszajmy już.

– Dobra. Potrzebujemy trochę chleba, mięsa, naszych fajek, ze dwa worki, dwie albo trzy linki od latawców i trochę tego wynalazku... no tych tam zapalek, czy jak je zwał. Mówię ci stary, ile ja bym wtedy dał, żeby w tej jaskini mieć kilka.

Chwilę po południu chłopcy pożyczili sobie niewielką łódkę od nieobecnego akurat mieszkańca i od razu ruszyli w drogę. Gdy byli w odległości kilku mil od „Wrót Jaskini”, Tomek powiedział:

– Widzisz, przez całą drogę od wrót skarpa wygląda tak samo: żadnych do-

mów, żadnych składzików drewna, wszędzie krzaki i krzaki. A widzisz to białe miejsce tam, gdzie brzeg się obniża? To jeden z moich znaków. Chodź, wysiadamy.

I wysiedli.

– Z tego miejsca, gdzie stoisz, mógłbyś kijem od wędki sięgnąć do dziury, którą wylazłem. Spróbuj ją znaleźć.

Huck przeszukał dokładnie miejsce z każdej strony, ale niczego nie znalazł. Tomek dumnie podszedł do zbitej kępy sumaków i powiedział:

– Proszę cię bardzo! Zobacz. Najlepsza jama w kraju. Tylko nikomu ani słowa. Zawsze chciałem być rozbójnikiem. Wiedziałem, że muszę mieć takie miejsce, ale był problem, gdzie je skombinować. A teraz już je mamy i to nasza tajemnica. Powiemy tylko Joe Harperowi i Benowi Rogersowi, bo naturalnie musimy mieć bandę. Inaczej będzie bez sensu. Banda Tomka Sawyera. Nieźle brzmi, co, Huck?

– No, nieźle. A kogo będziemy napadać?

– No, właściwie wszystkich. O samo napadanie chodzi.

– I będziemy ich zabijać?

– Nie, no nie zawsze. Będziemy ich w jaskini zamykać, dopóki nie przygotują okupu.

– A co to jest ten okup?

– Forsa. Każę się im zebrać, ile tylko dadzą radę od przyjaciół, a jak po roku nie zbiorą, to ich zabijasz. Tak to zwykle się robi. Tylko kobiet się nie zabija. Je się zamyka, ale nie zabija. I one są zawsze takie piękne, bogate i straszliwie się boją. Zabierasz im zegarki i inne takie, ale zawsze zdejmujesz przed nimi kapelusz i gadasz do nich grzecznie. Rozbójnicy są najbardziej uprzejmi ze wszystkich. W każdej książce tak jest. I te kobiety się w tobie zakochują i po tygodniu czy dwóch przestają płakać, a potem to aż ich zmusić nie można, żeby sobie poszły. Jak je gdzieś wywieziesz, to zaraz wracają. Tak w książkach jest.

– Ale to fajne, Tomek. Chyba lepsze od piratów.

– No, rzeczywiście lepsze, bo blisko domu, cyrków i w ogóle...

Tymczasem wszystko było już przygotowane i chłopcy weszli do otworu. Tomek szedł przodem. Gdy z mozołem dotarli do drugiego końca tunelu, przytwierdzili splecione sznurki od latawca i ruszyli dalej. Po kilku krokach byli już przy źródelku. Tomka przeszedł zimny dreszcz. Pokazał Huckowi kawałek knota od świeczki przytwierdzonego gliną do ściany i opowiedział, jak wraz z Becky przyglądał się temu, jak płomień drga, a potem zupełnie gaśnie.

Chłopcy zaczęli rozmawiać szeptem, bo nieprzenikniony mrok i cisza tego miejsca wyraźnie ciążyły im na duszy. Szli dalej. Po chwili znaleźli się w kolejnym tunelu, którym dotarli do uskoku. W świetle świec okazało się, że tak naprawdę nie była to żadna przepaść, a jedynie strome, gliniane zbocze o wysokości może trzydziestu stóp.

Tomek wyszeptał:

– Teraz ci coś pokażę, Huck.

Podniósł swoją świecę wysoko i powiedział:

– Zajrzyj za ten róg, jak możesz najdalej. Widzisz? Tam, na tej wielkiej skale, zrobione dymem od świecy.

– Tomek, to jest krzyż!

– No właśnie! A gdzie jest „dwójka”? Pod krzyżem, nie? I to tam widziałem Indianina Joe ze świecą, Huck!

Huck gapił się przez chwilę w ten dziwny znak, a potem drżącym głosem powiedział:

– Zmywajmy się stąd!

– Zwariowałaś? Chcesz skarb zostawić?

– Tak, zostawić. Na pewno kręci się tu gdzieś duch Indianina Joe!

– Nieprawda, Huck. Wcale że nie. Już raczej siedziałby tam, gdzie umarł, przy wejściu do jaskini, pięć mil stąd.

– A właśnie, że nie, Tomek. Nieprawda. Przy forsie by siedział! Ja wiem, jak jest z tymi duchami i ty też wiesz.

Tomek przestraszył się, że Huck może mieć rację. Zaczął mieć złe przeczucia, ale po chwili doznał olśnienia:

– Słuchaj, Huck, ale my trąby jesteśmy! Duch Indianina Joe nie przyjdzie tam, gdzie jest krzyż!

To był mocny argument i najwyraźniej zadziałał.

– Nie wpadłem na to, ale co racja, to racja. Całe szczęście, że jest tu ten krzyż. No to zejźmy na dół i poszukajmy tej skrzynki.

Tomek ruszył przodem, tworząc w glinie coś na kształt schodków. Huck szedł za nim. Z małej komnaty, w której znajdowała się pokaźna skała, odchodziły cztery korytarze. Chłopcy sprawdzili trzy z nich, ale bez rezultatu. W najbliższej skale natknęli się na niewielką wnękę, a w niej na legowisko z koców, starą szelkę, skórki od bekonu i starannie obgryzione kości dwóch czy trzech kur. Skrzynki jednak nie było. Chłopcy przetrząsnęli to miejsce dokładnie, ale na próżno. Tomek powiedział zawiedziony:

– Przecież mówił, że pod krzyżem. A już bliżej krzyża niż tu, to się nie da. Przecież nie może być pod skałą, bo ona siedzi porządnie w ziemi.

Przeszukali miejsce raz jeszcze i zrezygnowani usiedli. Huck nie miał żadnych pomysłów. Po chwili Tomek znowu się odezwał:

– Słuchaj, są ślady na glinie i tłuszczy od świeczek, ale tylko po jednej stronie skały, a po drugiej ich nie ma. Ciekawe czemu. Założę się, że kasa jest jednak pod skałą. Idę pogrzebać w tej glinie.

– To niezła myśl – ożywił się Huck.

„Prawdziwy Barlow” Tomka od razu zabrał się do roboty i po nie więcej niż czterech calach natrafił na coś drewnianego.

– Ej, Huck! Słyszałeś to?

Huck zaczął natychmiast kopać i odgarniać glinę. Po chwili ich oczom ukazały się jakieś deski, które musieli usunąć. Pod nimi znajdowała się naturalna rozpadlina, prowadząca pod skałę. Tomek zanurkował do niej i trzymając świecę, jak najdalej przed sobą, zajrzał do środka. Już po chwili stwierdził, że końca szczeliny nie widać. Postanowił, że pójdzie sprawdzić, co i jak. Pochylił się i wszedł do środka. Wąziutki tunel delikatnie opadał. Tomek posuwał się krętym przejściem, najpierw w prawo, potem w lewo. Huck podążał tuż za nim. Tomek skręcił za skalnym zakrętem i nagle wykrzyknął:

– Rany Julek, Huck! Patrz!

Bez wątpienia patrzył na skrzynkę ze skarbem spoczywającą w małej, przytulnej grocie, wraz z pustą beczką po prochu, paroma strzelbami w skórzanych pokrowcach, dwiema czy trzema parami starych mokasynów, skórzanym pasem i jakimiś innymi śmieciami, całkiem przesiąkniętymi kapiącą wodą.



Odnalezienie skarbu.

– Nareszcie! – powiedział Huck, mieszając dłonią zaśnieżone monety. – Tomek, jesteśmy bogaci!

– Ja zawsze czułem, że my go znajdziemy, Huck. Aż trudno w to uwierzyć, ale mamy go! Dobra, szkoda czasu. Zmywamy się stąd. Pokaż, zobaczę, czy dam radę to unieść.

Skrzynka ważyła jakieś pięćdziesiąt funtów i Tomek co prawda mógł ją podnieść w dość pokraczny sposób, ale z niesieniem był już problem.

– Tak myślałem – powiedział. – Wtedy, w tym nawiedzonym domu, oni też ją tak targali. Zauważyłem to. Dobrze, że pomyślałem i zabrałem te małe worki.

Wkrótce pieniądze były już w torbach i chłopcy zanieśli je do skały z krzyżem.

– To teraz zabieramy strzelby i resztę – powiedział Huck.

– Nie, Huck. Zostaw. Przydadzą nam się, jak będziemy rozbójnikami. Będziemy je tu stale przechowywać i urządzać tu swoje orgie. To super miejsce na orgie.

– Co za orgie?

– Nie wiem, ale rozbójnicy zawsze mają orgie i my też musimy. Dobra, chodź, Huck. Już i tak nam długo zeszło. Chyba się późno robi. I głodny jestem. Zjemy i zapalimy, jak dojdziemy do łodzi.

Po chwili wystawiali już głowy z kępy sumaków. Rozejrzeli się uważnie dookoła, upewnili się, że brzeg jest czysty i niedługo potem jedli i palili fajki, siedząc w łodzi. Gdy słońce nurkowało ku zachodowi, odbili od brzegu i ruszyli w drogę powrotną. Tomek wiosłował w gęstniejącym mroku i gaworzył radośnie z Huc-

kiem. Tuż po zmroku przybili do celu.

– No dobra – powiedział Tomek. – Teraz schowamy forszę na strychu w drewnitni wdowy. Rano przyjdę, przeliczymy wszystko i podzielimy się, a potem poszukamy jakiegoś miejsca w lesie, gdzie kasa będzie bezpieczna. A ty tu zostań i popilnuj wszystkiego. Ja polecę i załatwię wózek od Benny’ego Taylora. Zaraz będę z powrotem.

Zniknął, a chwilę później był już z wózkiem. Włożyli oba worki do środka i przykrywszy je jakimiś starymi szmatami, ruszyli w drogę, ciągnąc za sobą cały ładunek. Gdy dotarli do domu Walijczyka, zatrzymali się, by chwilę odsapnąć. Właśnie mieli iść dalej, gdy pojawił się Walijczyk i zawołał:

– Hej, kto tam?

– Huck i Tomek Sawyer.

– Świetnie! Chodźcie ze mną, chłopcy. Wszyscy już na was czekają. No prędko, idziemy. Pomogę wam z tym wózkiem. O! Lekki to on nie jest. Cegły tam macie, czy złom jaki?

– Złom – odparł Tomek.

– Tak myślałem. Chłopcy w tym miasteczku wołają się narobić i natrwonić czasu, żeby szukać żelastwa i potem sprzedać do odlewni, niż się zająć jakąś porządną robotą i zarobić dwa razy tyle. Ale taka to już natura ludzka. No chodźcie, chodźcie!

Chłopcy byli ciekawi, o co to całe zamieszanie.

– Nieważne, sami zobaczycie, jak dojdziemy do wdowy Douglas.

Huck odezwał się z pewną obawą w głosie, bo zwykle obrywało mu się niesłusznie:

– Ale proszę pana, myśmy nic nie zrobili.

Walijczyk zaśmiał się i powiedział:

– No, nie wiem, mój drogi. No nie wiem. Przecież przyjaźnisz się z wdową, czyż nie?

– No, tak. Znaczą, dobra jest dla mnie.

– No właśnie. To czego się bać?

Huck nie zdołał nawet w myślach odpowiedzieć sobie na to pytanie, bo wraz z Tomkiem został już wepchnięty do salonu pani Douglas. Zostawiwszy wózek przy drzwiach, pan Jones podążył za nimi.

Pokój był bardzo mocno oświetlony, a w nim znajdowały się wszystkie ważne osoby z miasteczka. Byli tam państwo Thatcherowie, państwo Harperowie, państwo Rogersowie, ciotka Polly, Sid, Mary, pastor, redaktor i mnóstwo innych, odświętnie ubranych osobistości. Wdowa przywitała chłopców tak wylewnie, jak tylko serdecznie dało się potraktować dwa podobnie wyglądające stworzenia. Chłopcy wysmarowani byli bowiem gliną i tłuszczem od świec. Ciotka Polly oblała się pąsowym rumieńcem, zmarszczyła brwi i patrząc na Tomka, po-

kręciła głową. Nikt jednak nie czuł się tak upokorzony, jak oni dwaj. Pan Jones odezwał się pierwszy:

– Tomka w domu nie zastałem, więc wróciłem, ale natknąłem się na niego i Hucka wprost przed moimi drzwiami, więc czym prędzej ich tu sprowadziłem.

– I bardzo słusznie – odparła wdowa. – Chodźcie ze mną, chłopcy.

Zaprowadziła ich do sypialni i powiedziała:

– A teraz umyćcie się i przebierzcie. Macie tu dwa nowiutkie komplety ubrań: koszule, skarpetki i całą resztę. Należą do Hucka. Nie, nie trzeba dziękować, Huck. To pan Jones kupił jeden, a ja drugi. Ale oba będą na was pasowały. No, zakładajcie. My poczekamy, a wy zejdźcie, kiedy doprowadzicie się do ładu.

I wyszła.

ROZDZIAŁ XXXIV

Huck odezwał się pierwszy:

– Tomek, moglibyśmy nawiać, gdybyśmy mieli linę. Okno wcale nie jest wysoko...

– No co ty! Czemu chcesz wiać?

– No, bo ja nie nawykłem do takich tłumów. Nie cierpię tego. Ja tam nie schodzę.

– A daj spokój! To nic takiego. Ja tam się nie przejmuję. I zajmę się tobą.

Wtedy pojawił się Sid:

– Tomek, ciotka to już na ciebie całe popołudnie czeka. Mary przygotowała twoje niedzielne ciuchy i wszyscy się o ciebie martwili. A to na twoim ubraniu, to nie jest czasem glina i tłuszcz?

– Słuchaj no, panie Sid, może byś tak pilnował swojego nosa, co? I po co w ogóle ta cała szopka?

– To jedno z tych przyjęć wdowy, które zawsze wydaje. Tym razem na cześć Walińczyka i jego chłopaków, i tego, jak ją wtedy w nocy wybawili z tarapatów. I jeszcze coś ci mogę powiedzieć, jak chcesz.

– No, dawaj.

– Pan Jones szykuje jakąś niezłą niespodziankę na dzisiaj. Ale jak podsłuchałem, kiedy mówił dziś o tym w tajemnicy cici, to już chyba nie jest taki wielki sekret... Wszyscy wiedzą, wdowa też, chociaż udaje, że nie ma o niczym pojęcia. I pan Jones upierał się, że Huck też musi przy tym być, bo bez niego nie może zdradzić tego wielkiego sekretu.

– Jakiego sekretu, Sid?

– No, o tym, jak Huck wyśledził tych bandytów, kiedy szli do wdowy. Pan

Jones chciał z tego zrobić wielkie halo, ale coś mi się wydaje, że nic mu nie wyjdzie.

Sid zachichotał z wielką satysfakcją.

– Wygadałeś wszystko?

– A co za różnica, kto! Ktoś wygadał i tyle.

– Wiesz co, Sid, jest tylko jedna osoba w miasteczku, która mogłaby być na tyle wredna, żeby tak postąpić. I tą osobą jesteś ty! Jakbyś był wtedy na miejscu Hucka, to zwiewałbyś ze wzgórza i nikomu nic o bandziorach nie powiedział. Bo ty to tylko złośliwiec jesteś i nie możesz znieść, jak się kogoś chwali za dobre rzeczy. A masz i nie dziękuj, jak mawia wdowa.

Tomek trzepnął Sida po uszach i kilkanaście kopniakami wystawił za drzwi:

– Leć i poskarż się ciotce, jak żeś taki odważny. A jutro i tak oberwiesz!

Kilka minut potem wszyscy goście wdowy usadowili się przy dużym stole, a kilkanaścioro dzieci, zgodnie z ówczesnym obyczajem, posadzono przy małych bocznych stolikach. W stosownym momencie pan Jones wygłosił swe przemówienie, w którym podziękował wdowie za zaszczyt wyświadczony jemu samemu i jego synom, ale dodał, że jest jeszcze pewna osoba, której skromność... i tak dalej, i tak dalej. Wyjawiał cały sekret o wkładzie Hucka w nocne wydarzenia, a uczynił to z typową dla siebie dramaturgią. Jednak zdumienie, które tym wywołał, było raczej udawane i wcale nie tak wielkie, jakie być mogło w bardziej sprzyjających okolicznościach. Wdowa uduła niezmiernie zaskoczoną i obsypała Hucka taką liczbą komplementów i wyrazów wdzięczności, że trudne do zniesienia cierpienia z powodu nowego stroju ustąpiły miejsca znacznie bardziej nieznośnym mękom bycia w centrum uwagi.

Wdowa oznajmiła, że zamierza przyjąć Hucka pod swój dach i dać mu wykształcenie, a potem, gdy tylko będzie mogła oszczędzić nieco grosza, pomoże mu rozkręcić jakiś skromny interes. Tomek wykorzystał okazję i powiedział:

– Huck tego nie potrzebuje. Huck jest bogaty.

Jedynie z uwagi na dobre maniery całe towarzystwo nie wybuchnęło gromkim śmiechem po tym niezwykłym dowcipie. Po chwili niezręcznej ciszy, Tomek odezwał się ponownie:

– Huck ma pieniądze. Możecie w to nie wierzyć, ale ma ich całe mnóstwo. Nie uśmiechajcie się tak, mogę to zaraz wszystkim pokazać. Chwileczkę.

Tomek wybiegł na zewnątrz. Pozostali patrzyli po sobie ze zdumieniem i z zaciekawieniem zerkali na Hucka, który nawet nie pisał.

– Sid, co go napadło? – spytała ciotka Polly. – Zresztą z nim to nigdy nic nie wiadomo. Nigdy...

Tomek wrócił, mocując się z ciężkimi workami i ciotka Polly nie zdążyła już dokończyć myśli. Wysypał na stół całą górę złotych monet i powiedział:

– Proszę, a nie mówiłem? Połowa jest Hucka, a połowa moja!

Ten widok zaparł wszystkim dech w piersiach. Wybałuszali oczy, ale przez chwilę nikt nie ośmielił się odezwać. Potem rozległo się gremialne wołanie o wyjaśnienie. Tomek stwierdził, że chętnie go dostarczy i tak też uczynił. Opowieść była długa, ale wysłuchano jej w wielkim skupieniu. Nikt nie zakłócił fascynującego uroku tej historii. Gdy Tomek skończył, odezwał się pan Jones:

– A ja myślałem, że przygotowałem nie lada niespodziankę, tymczasem widzę, że wypada ona zupełnie błado przy waszej opowieści. Nawet się do niej nie umywa, to trzeba przyznać!

Pieniądze zostały policzone. Wyszło nieco ponad dwanaście tysięcy dolarów. Była to suma większa, niż ktokolwiek kiedykolwiek widział naraz, mimo że paru tam obecnych posiadało znacznie więcej w postaci nieruchomości.

ROZDZIAŁ XXXV

Czytelnik może być pewien, że nieoczekiwane wzbogacenie się Tomka i Hucka wywołało w miasteczku St. Petersburg niemałe zamieszanie. Taka suma pieniędzy, i to w dodatku w gotówce, wydawała się czymś nieprawdopodobnym. Rozmawiano o tym, chętno się tym, wychwalano, aż rozsądek niejednego mieszkańca zachwiany został przez nadmierne podniecenie. Przetrząsnięto każdy „nawiedzony” dom w St. Petersburgu i okolicznych miejscowościach, deska po desce. Przekopano fundamenty w poszukiwaniu ukrytego skarbu i nie robili tego chłopcy, a mężczyźni, często poważni, pozbawieni fantazji ludzie. Gdziekolwiek Tomek i Huck się pojawiali, zabiegano o ich względy, podziwiano ich i przyglądano się im uważnie. Chłopcy zapomnieli już, że do ich słów wcześniej też przykładano wielką wagę, ale teraz cokolwiek powiedzieli, było niemal czczone i wciąż powtarzane. Wszystko, co robili, uchodziło za niezwykle. Całkiem stracili możność robienia i mówienia rzeczy zwyczajnych, a co więcej, ich wcześniejsze przygody zostały odświeżone i doszukano się w nich różnych nowych niezwykłości. W lokalnej gazecie ukazały się nawet krótkie notki biograficzne obu młodzieńców.

Wdowa Douglas ulokowała pieniądze Hucka w banku na sześć procent, a sędzia Thatcher, na prośbę ciotki Polly, zrobił to samo z częścią Tomka. Obaj mieli teraz dochody, które były wręcz kolosalne: dolar na każdy dzień powszedni w roku i w co drugą niedzielę. To było właśnie tyle, ile otrzymywał pastor (albo raczej ile mu obiecano, bo zwykle jakoś nie udawało mu się dostać takiej sumy). Dolar i dwadzieścia pięć centów tygodniowo wystarczyłoby w owych prostych

czasach na wikt, opierunek, szkołę, ubrania i środki czystości dla jednego chłopca.

Sędzia Thatcher wyrobił sobie o Tomku bardzo dobre zdanie. Mówił, że żaden zwyczajny chłopiec nie uratowałby jego córki z jaskini. Kiedy w największej tajemnicy Becky opowiedziała mu, jak to Tomek wziął na siebie jej różgi w szkole, sędzia był wyraźnie wzruszony. A gdy jeszcze poprosiła, by nie gniewał się za to poważne kłamstwo Tomka, dzięki któremu przeniósł on chłostę z jej pleców na swoje, sędzia w uniesieniu odparł, iż było to szlachetne, wspaniałomyślne i wielkoduszne kłamstwo. Takie, które warto było z dumą nieść przez historię, ramię w ramię z wychwalaną prawdą Jerzego Waszyngtona o ścinaniu drzewka siekierą. Becky uważała, że jej ojciec nigdy nie wydawał się tak wysoki i wspaniały jak wtedy, gdy krążył po pokoju i mówił te słowa, tupiąc sobie do rytmu. Od razu pobiegła do Tomka i wszystko mu opowiedziała.

Sędzia Thatcher widział w Tomku przyszłego wybitnego prawnika lub wielkiego żołnierza. Powiedział, że osobiście dopilnuje, by chłopiec dostał się do Akademii Wojskowej, a potem otrzymał najlepsze wykształcenie prawnicze w kraju, po to, żeby był przygotowany do wykonywania jednego z tych zawodów albo też obu naraz.



Huck Finn pod opieką wdowy Douglas.

Bogactwo Hucka Finna i fakt, że znajdował się teraz pod opieką wdowy Douglas, wprowadziły go do społeczeństwa. A właściwie zawlokły go tam i wepchnęły. Cierpienia, jakie temu towarzyszyły, były ponad jego siły. Służący wdowy pilnowali, by był czysty i schludny, uczesany i wyszczotkowany, a do snu układali go w nieprzyjemnej pościeli, która nie mogła mieć nawet najmniejszej plamki, którą można byłoby przycisnąć do serca i uważać za przyjaciela. Musiał jeść nożem i widelcem, używać serwetki, filiżanki i talerza; musiał uczyć się z książki, chodzić do kościoła i mówić tak poprawnie, że jego mowa stała się całkiem pozbawiona wyrazu. Gdzie by się nie obrócił, kraty i kajdany cywilizacji pętały mu ręce i nogi.

Trwał dzielnie w tych mękach trzy tygodnie, aż pewnego dnia zniknął. Wielce zrozpaczona wdowa szukała go bez ustanku przez dwie doby. Opinia publiczna była szczerze poruszona. Przeszukano całą okolicę, a nawet rzekę w poszukiwaniu ciała. Wczesnym rankiem trzeciego dnia Tomek Sawyer, rozsądnie myśląc, poszedł poszukać w starych, pustych beczkach przy opuszczonej rzeźni i w jednej z nich odnalazł zbiega. To tam Huck nocował. Właśnie zjadł śniadanie, składające się ze skradzionych resztek jedzenia i leżał teraz wygodnie, pykając fajkę. Był zapuszczony, nieuczesany i odziany w te same stare łachy, które czyniły zeń tak malowniczą postać w czasach wolności i bez troski. Tomek wyciągnął go z beczki i opowiedział o tym, jakiego narobił zamieszania. Próbo-

wał przekonać go do powrotu do domu. Twarz Hucka straciła cały wyraz błogiego zadowolenia, a na jego miejscu pojawił się smutek. Chłopiec powiedział:

– Nawet mi o tym nie mów, Tomek. Próbowałem i się nie da. No, nie da rady. To nie dla mnie, nie umiem tak. Wdowa jest dla mnie dobra i miła, ale nie mogę znieść tego ich życia. Wstawać mi każe codziennie o tej samej porze, myć się, czesać mnie tam ciągle, ona nie pozwala mi spać w szopie i muszę nosić te durne ciuchy, co mnie duszą. Żadne powietrze się przez nie nie przedostaje i są tak paskudnie ładniutki, że nie mogę ani usiąść, ani się położyć, ani nigdzie się wytarzać... Na drzwiach od piwnicy nie zjeżdżałem już chyba od wieków! Chodzę do kościoła i tylko się tam pocę. Nie cierpię tych ich kazań! Muchy złapać nie można, pozuć sobie nie można. Całą niedzielę w butach muszę łązić! Wdowa je na komendę, spać chodzi na komendę, wstaje na komendę – wszystko takie obrzydliwie uporządkowane, że już nie mogę tego znieść...

– Wszyscy tak robią, Huck.

– A co mnie to! Ja nie „wszyscy”, nie znoszę tego. Straszne tak być uwiązany. I o żarcie tak łatwo. Wcale to nie fajne. Muszę się pytać, czy mogę na ryby, muszę się pytać, czy mogę popływać. Do diaska! O wszystko się muszę pytać! I mówić się tak nauczyłem porządnie, że aż mdli. Codziennie musiałem na strych wiać, żeby sobie chwilę poprzeklinać, bo bym nie wyrobił inaczej. Wdowa mi palić nie pozwala, krzyczeć też nie, gapić się z otwartą gębą ani przeciągać, ani drapać przy ludziach. A w dodatku (zatrząsał się przy tych słowach ze złości i oburzenia) do diabła, ona się ciągle modli! W życiu takiej nie widziałem! Musiałem nawiać, Tomek. No, musiałem! A poza tym, szkoła się zaraz zacznie i musiałbym tam iść, a tego to już bym nie zdzierzył! Słuchaj, bycie bogatym wcale nie jest takie super. Ciągłe jakieś problemy, trud i znój. Aż się żyć odechciewa! Dobrze mi w tych łąkach i w tej becze. Już ich nigdy nie zostawię. Gdyby nie ta forsa, to bym się nie wrobił w takie coś. Weź moją część i może tylko daj mi od czasu do czasu jakiegoś dziesiątaka. Nie często, bo jak coś przychodzi zbyt łatwo, to wcale nie jest fajnie. Idź też do wdowy i przekonaj ją jakoś...

– Ale Huck, przecież wiesz, że nie mogę. To nie w porządku, a poza tym, jak trochę dłużej poprobujesz, to polubisz takie życie.

– Polubię! Jasne! Tak jak siedzenie na rozpalonej blasze, gdybym odpowiednio długo posiedział, hę? Nie, Tomek, nie będę bogaty i nie będę mieszkał w tych ich przekłetych, ciasnych domkach. Las lubię, rzekę i becзки – i tego się trzymam. Do diabła z tym! Teraz, jak już mieliśmy strzelby, jaskinię i wszystko do rozbójnictwa, to się przyplątała ta cała szopka i wszystko się popsulo!

Tomek wyczuł okazję:

– Słuchaj, Huck, to, że jestem bogaty, nie powstrzyma mnie od zostania roz-

bójnikiem.

– Nie? No to świetnie! Mówisz serio?

– Najzupełniej serio. Tylko że nie możesz być w bandzie, jeśli nie będą cię inni szanować.

Entuzjazm Hucka przygaś.

– Nie mogę być w bandzie? A na pirata to się nadawałem.

– No tak, ale to co innego. Rozbójnik to wyższa półka niż pirat. W większości krajów rozbójnicy to są już najwyższe sfery – książęta i takie tam.

– Przecież zawsze byłeś moim kumplem, nie? Nie wystawisz mnie teraz? Nie zrobisz mi tego, co nie?

– Nie chciałbym, Huck. I nie chcę, tylko co ludzie powiedzą? Będą mówić: „Phi! Banda Tomka Sawyera i takie typy do niej należą!” I to o tobie będzie, Huck. Nie chciałbyś tak i ja też nie.

Przez chwilę Huck milczał i bił się z myślami. W końcu się odezwał:

– Dobra, wrócę do wdowy na miesiąc i zobaczę, czy wytrzymam to wszystko, ale ty mnie do bandy weź.

– Dobra, Huck, stoi! A teraz chodź, stary, poproszę wdowę, żeby ci trochę odpuściła.

– Powaga? Zrobisz tak? Super. Jak mi odpuści w tych najgorszych rzeczach, to będę sobie popalał i przeklinał w tajemnicy, i przepychał się, i tłukł. A kiedy zacznie z tą bandą i kiedy będziemy napadać?

– No, zaraz. Zwołamy chłopaków i może dzisiaj w nocy zrobimy inicjację.

– Co zrobimy?

– Inicjację.

– A co to?

– No, przysięga się, że będziemy się nawzajem wspierać i nie wydamy wspólnych sekretów bandy, nawet jakby cię na kawałki pociachali, i że jak ktoś skrzywdzi kogokolwiek z bandy, to się go zabije i jego rodzinę też.

– Ale fajnie! Straszliwie fajnie, na serio!

– No jasne. I ta przysięga to musi być o północy, w najbardziej odludnym i straszliwym miejscu, jakie się znajdzie. Najlepiej w nawiedzonym domu, tylko że one teraz wszystkie porozwalane.

– Ale z północą nie będzie problemu, Tomek.

– No racja. I na trumnę się przysięga, a potem krwią podpisuje.

– To jest coś! Milion razy lepsze niż piratowanie. Zostanę u wdowy, choćbym zgnił. A jak już będę prawdziwym rozbójnikiem i wszyscy będą o tym gadać, to ona na pewno będzie dumna, że mnie kiedyś z rysztołka wyciągnęła.

ZAKOŃCZENIE

I tak kończy się ta kronika. Jako że jest to historia CHŁOPCA, tutaj musi się zakończyć. Dalej trwać nie może, bo przeistoczyłaby się w historię MĘŻCZYZNY. Gdy pisze się opowieść o dorosłych, zawsze wiadomo, kiedy ją zakończyć. Na małżeństwie, rzecz jasna... Ale gdy pisze się o młodzińcach, należy skończyć tam, gdzie akurat się uda.

Większość opisanych tu bohaterów wciąż żyje, w szczęściu i w zdrowiu. Może pewnego dnia warto będzie na nowo przyjrzeć się losom młodych i zobaczyć, na jakich mężczyzn i kobiety powyrastali. Dlatego najlepiej nie wyjawiać teraz niczego o ich dalszym życiu.

OPRACOWANIE



I. BIOGRAFIA MARKA TWAINA

Słynny amerykański pisarz urodził się **30 listopada 1835 r.** w małym miasteczku **Florida** w stanie Missouri. Jego prawdziwe imię i nazwisko brzmiało **Samuel Langhorne Clemens**, a literacki pseudonim pochodzi z czasów, kiedy pisarz sterował parostatkami płynącymi po Missisipi. Pseudonim artystyczny *mark twain* pochodzi z żargonu pilotów parowców rzecznych i oznacza miarę – dwa sążnie głębokości.

Twain był ostatnim z sześciorga dzieci Jane Lampton i Johna Marschala Clemensa. W **1840 r.**, gdy miał pięć lat, rodzina przeniosła się do małego prowincjonalnego miasteczka **Hannibal**, położonego na południu Stanów Zjednoczonych, nad rzeką Missisipi. Z tą piękną osadą wiąże się jego dzieciństwo, tutaj też osadził akcje wielu swoich książek.

W **1847 r.**, gdy miał 12 lat, **zmarł jego ojciec John**, a sytuacja materialna rodziny nagle się pogorszyła. Przyszły pisarz nie mógł dłużej chodzić do szkoły i zakończył naukę na pięciu klasach. Musiał szybko dorosnąć. Podjął pracę zarobkową – był roznosicielem prasy, chłopcem na posyłki w drukarni, zaczął się kształcić na rzemieślnika – zecera, był też zatrudniony w lokalnej gazecie „Hannibal Courier”.

Marek Twain uwielbiał przygody i dlatego postanowił wyruszyć na Dzikie Zachód. Pracował tam jako górnik w kopalni srebra w Nowadzie, a idąc śladami wielu podróżników – wędrował w poszukiwaniu złota przez zachodnie wybrzeża Kalifornii. Z tego okresu rozgłos przyniosło mu opowiadanie pt. *O sławnej skaczącej żabie z Calaveras* z 1865 r.

Po tym sukcesie dwie gazety – „Alta California” oraz „New York Tribune” zatrudniły go jako reportera i korespondenta, który towarzyszył amerykańskim turystom podróżującym do Europy na pokładzie statku Miasto Kwaków. Wspomnienia z tej wyprawy opisał w powieści pt. *Prostaczkowie za granicą* wydanej w 1869 r.

W 1857 r., po wielu podróżach, przeniósł się do **St. Louis**. W następnym roku otrzymał licencję pilota rzecznego i zaczął pracę na parowcu handlowym. Wrażenia z podróży i piękne opisy krajobrazów znalazły się w jego autobiografii pt. *Życie na Missisipi* wydanej w 1883 r. Przedstawił w niej autentyczne wydarzenia, w tym tragiczne i smutne przeżycia.

W wieku dwudziestu sześciu lat młody pisarz przeniósł się w okolice górniczego miasteczka Carson. Podjął pracę w kopalni Jackass Hill w Kalifornii, ale wciąż przenosił się z miejsca na miejsce, m.in. wędrował po amerykańskich miastach i poznawał ciekawych ludzi (np. zawarł znajomość z Charlesem Dickensem, autorem *Opowieści wigilijnej*).

W 1870 r. ożenił się z bogatą panną **Olivią Langdon**. Wraz z żoną zamieszkał w Buffalo, a na świat przyszło czworo ich dzieci. W tym czasie też Twain stawał się coraz słynniejszym pisarzem i odnosił wiele sukcesów. Los jednak nie oszczędził mu bolesnych doświadczeń – jego dzieci umarły w młodym wieku. W 1874 r. pisarz wybudował **dom w Hartford w stanie Connecticut**. W tej posiadłości powstały *Przygody Tomka Sawyera* w 1876 r., a potem kontynuacja przygód młodego bohatera – *Tomek Sawyer detektywem* i *Tomek Sawyer za granicą* oraz też znane i bardzo poczytne *Przygody Hucka Finna* z 1884 r. W Hartford powstały również powieści przygodowe przeznaczone dla dzieci i młodzieży, takie jak m.in. *Książę i żebrak* z 1882 r. czy *Jankes na dworze króla Artura* z 1889 r.

Mark Twain założył również własną firmę wydawniczą, która jednak w 1896 r. zbankrutowała. Twain popadł w tarapaty finansowe. Aby podreperować budżet, objechał niemal cały świat, wygłaszając wykłady, co przyniosło mu naprawdę wielki majątek. Pisarz był świetnym wykładowcą wielu amerykańskich uczelni, a za swoją działalność na tym polu w 1888 r. został uhonorowany tytułem Master of Art na Uniwersytecie w Yale. Twain odbył też liczne podróże po krajach Europy (Niemcy, Szwajcaria, Włochy), był również na Hawajach. Swoje wrażenia z tych wypraw zawarł w książce pt. *Włóczęga za granicą*, która ukazała się w 1880 r.

Pisarz wkrótce potem poważnie zachorował na serce. Na pogorszenie się stanu jego zdrowia miał też wpływ smutek i ciężka depresja po stracie kolejnych dzieci. Wkrótce zmarła również jego żona, a także ukochana córka Jane. Twain znów zaczął mieć problemy finansowe. Wiele jego powieści było wydawanych bez jego zgody i dlatego pisarz nie otrzymywał wynagro-

dzenia. Mark Twain zmarł kilka miesięcy po śmierci córki Jane, **21 kwietnia 1910 r.** w Redding w stanie Connecticut.

Mark Twain był nie tylko interesującym i niezmiernie utalentowanym pisarzem, dziennikarzem i podróżnikiem, ale także wielkim prześmiewcą i satyrykiem. Potrafił śmiać się nawet z samego siebie, stając się głównym bohaterem wielu zabawnych opowieści i anegdot.



II. KALENDARIUM ŻYCIA I TWÓRCZOŚCI MARKA TWAINA

Data	Życie	Twórczość
30.11.1835 r.	narodziny pisarza w miasteczku Florida	
1840 r.	przyjazd rodziny do Hannibal	
1847 r.	śmierć ojca pisarza – Johna	
1857 r.	przeprowadzka rodziny do St. Louis	
1864 r.	praca Twaina w kopalni Jackass Hill w Kalifornii	
1865 r.	praca autora w kopalniach srebra w Newadzie i jako poszukiwacz złota w Kalifornii	<i>O sławnej skaczącej żabie z hrabstwa Calaveras</i>
1867 r.	praca w charakterze reportera na pokładzie statku płynącego do Europy podczas podróży amerykańskich turystów	
1869 r.		<i>Prostaczkowie za granicą</i>
1870 r.	ślub z Olivią Langdon i osiedlenie się w Buffalo	
1872 r.		<i>Pod gołym niebem</i>
lata 1876-1882		początek pisania cyklu <i>Epos rzeki Missisipi</i>
1873 r.		<i>Pozłaczany wiek: opowieść o naszych czasach</i>
1874 r.	wybudowanie domu w Hartford	
1876 r.		<i>Przygody Tomka Sawyera</i>

1880 r.		<i>Włóczęga za granicą</i>
1882 r.		<i>Księżę i żebrak</i>
1883 r.		<i>Życie na Missisipi</i>
1888 r.	uhonorowanie pisarza tytułem Master of Art na Uniwersytecie Yale	
1884 r.		<i>Przygody Hucka Finna</i>
1889 r.		<i>Jankes na dworze króla Artura</i>
1892 r.		<i>Pretendent z Ameryki</i>
1894 r.		<i>Wilson Kapuściana Głowa; Tomek Sawyer za granicą</i>
1896 r.	upadek przedsiębiorstwa wydawniczego Twaina i początek wykładów w USA i Europie	<i>Tomek Sawyer detektywem</i>
1898 r.		<i>The Austrian Edison Keeping School Again, From the London Times of 1904</i>
1900 r.		<i>Człowiek, który zdemoralizował Hadleyburg</i>
1909 r.	śmierć córki pisarza – Jane	
21.04.1910 r.	śmierć Marka Twaina w Redding w stanie Connecticut	
1916 r.		wydanie pośmiertne: <i>Tajemniczy przybysz</i>



III. RODZAJ I GATUNEK LITERACKI

1. RODZAJ LITERACKI

EPIKA – jeden z rodzajów literackich, obok liryki i dramatu; jego charakterystycznymi elementami są: narracja i narrator, świat przedstawiony, w skład którego wchodzi postacie rzeczywiste, fikcyjne lub fantastyczne, a także fabuła, akcja, wątki, zdarzenia.

2. GATUNEK LITERACKI

POWIEŚĆ PRZYGODOWA – powieść przygodowa (przedstawia przede

wszystkim przygody głównego bohatera, Tomka Sawyera, ale także działania jego przyjaciela, Hucka).



IV. OMÓWIENIE LEKTURY

1. CZAS I MIEJSCE AKCJI

Czas akcji: akcja *Przygód Tomka Sawyera* toczy się w **drugiej połowie XIX wieku i obejmuje czas od wiosny do jesieni jednego roku**. Wiemy, że czas narracji jest przeszły w stosunku do czasu, w którym autor spisywał tę historię. W zakończeniu dowiadujemy się, że bohaterowie książki są już dorosłymi ludźmi, co oznacza, że czas opowieści jest dużo wcześniejszy od czasu narracji. Fabuła obejmuje też wydarzenia wcześniejsze, np. wyrok wydany na Indianina Joe przez męża pani Douglas skazujący go na bity pośrodku rynku, co wywołało u Indianina chęć zemsty i spowodowało późniejsze zdarzenia.



Miejsce akcji: głównym miejscem akcji jest **miasteczko St. Petersburg**, w którym Tomek mieszka wraz z ciotką Polly, przyrodnim bratem Sidem i siostrą Mary. Jednak z biegiem akcji przenosimy się najpierw na **Wyspę Jacksona**, potem do **nawiedzonego domu** na wzgórzu Cardiff, a na koniec do **Jaskini McDougala**.

2. TREŚĆ UTWORU

Rozdział I

Tomek Sawyer – mały urwis i wagarowicz – został przyłapany przez swoją ciotkę Polly na wyjadaniu powideł ze spiżarni. Chłopiec sprytnie uniknął kary. Przy kolacji kobieta zadawała mu podchwytliwe pytania, chcąc wybać, czy tego dnia nie uciekł ze szkoły. Tomek miał suchą koszulę, ale mokłą głowę, gdyż – jak twierdził – polewał się wodą. Ciotka podejrzewała, że był na wagarach nad rzeką. Aby sprawdzić, czy chłopiec zdejmował koszulę, obejrzała kołnierzyk, który wcześniej przyszyła mu do ubrania. Co prawda, był on zaszyty, ale przyrodni braciszek Tomka, Sid, zdradził podstęp malca, oznajmiając, że kołnierzyk został zaszyty białą nitką, a ta jest czarna. Rozgniewany Tomek wybiegł z domu, złorzecząc Sidowi.



Na dworze bohater ćwiczył nową umiejętność gwizdania, której niedawno nauczył się od pewnego Murzyna. Na drodze spotkał bardzo elegancko ubranego chłopca. Najpierw groził mu, a że tamten nie pozostał mu dłuż-

ny, Tomek wdał się z nimi w bójkę. Bił nieznanego tak długo, aż ten poprosił, aby przestał. Pokonany odszedł jak niepyszny, zaś zwycięski Tomek pobiegł do domu, gdzie wpadł w ręce ciotki Polly. Kobieta była przerażona, kiedy dostrzegła jego zniszczone ubranie. Postanowiła zakazać mu wszelkich zabaw i wychodzenia z domu w sobotę.



Rozdział II

Nadszedł sobotni letni poranek. W ramach kary Tomek musiał pomalować 30 jardów wysokiego płotu, co wywołało jego niezadowolenie. Bohater, oczywiście, wolałby robić coś innego. Nie udało mu się przekupić Jima, aby pomalował chociaż kilka desek. Nagle wpadł na pewien pomysł – zaczął udawać przed kolegą, Benem Rogersem, że praca ta sprawia mu przyjemność. W zamian za prawo do pomalowania fragmentu płotu, Ben oddał Tomkowi jabłko. Następnie przebiegły Tomek dał możliwość pracy innym kolegom, m.in. Billiemu Fisherowi za latawiec, Johnny'emu Millerowi za zdechłego szczura: *W ten oto sposób po południu Tomek przeistoczył się z biedniutkiego chłopca w bogacza kąpiącego się w dobrobycie.*



Rozdział III

Na widok pięknie pomalowanego płotu ciotka nie posiadała się z radości. Zabrała Tomka do spiżarni, w nagrodę obdarowała go dorodnym jabłkiem, a także wygłosiła przemowę, chwalać dobrze wykonaną pracę. Nie zauważyła, że w tej samej chwili urwis ukradł jej pączka. Pozwoliła Tomkowi na zabawę, gdy ten nagle dostrzegł Sida i postanowił wyrównać rachunki. Obrzucił brata grudkami ziemi. Potem popędził na główny plac miasteczka St. Petersburg, na którym dwie grupy chłopców miały ze sobą stoczyć pojedynek. Tomek i jego przyjaciel, Joe Harper, byli generałami i dowodzili walką, obserwując uczestników pojedynku ze wzgórza. Grupa Tomka odniosła zwycięstwo, a on sam wrócił do domu. Podczas powrotu zauważył w jednym z ogródków śliczną dziewczynkę, w której od razu się zakochał. Przestał myśleć o Amy Lawrence, o którą wcześniej bardzo długo zabiegał. Zaczął się wygłupiać, chcąc zwrócić na siebie uwagę nieznanym, a ona, rozbawiona, rzuciła mu kwiatka – bratka. Tomek myślał o dziewczynce i stał pod jej domem przez pozostałą część dnia.

Podczas kolacji u ciotki, Sid zbił cukiernicę, ale za winnego uznała Tomka, co wywołało jego głębokie rozgoryczenie. Chłopiec wyszedł z domu i udał się pod okna nieznanym dziewczynki, gdzie z kolei służąca wylała na nie-

go kubek wody. Rozgniewany Tomek cisnął w okno kamieniem i uciekł. W domu położył się do łóżka, nie odmówiwszy pacierza, co zapamiętał Sid.

Rozdział IV

W niedzielę, po śniadaniu, ciotka urządziła rodzinne modlitwy i wspólne czytanie *Pisma Świętego*. Tomek uczył się na pamięć fragmentu *Kazania na Górze*, z czego przepytywała go siostra – Mary. Potem musiał umyć się w miednicy, co robił kilkakrotnie, choć nienawdził tej prostej czynności. Najpierw tylko umoczył mydło w wodzie, potem umył jedynie twarz. Wreszcie za chłopca postanowiła zabrać się zniecierpliwiona Mary. Po kąpieli założyła mu odświętne ubranie i buty (na co dzień chodził bosy). We trójkę poszli do szkoły niedzielnej, w której nauka trwała od 9.00 do 10.30, a po niej odbywało się nabożeństwo.

Tomek odkupił od kolegów kolorowe kartki, które dzieci dostały jako nagrody za znajomość fragmentów *Biblii*. Potem, siedząc w szkolnej ławce, pociągał za włosy i kłął chłopców, czym zwracał na siebie uwagę nauczyciela i za co został skarcony.

Po lekcjach, wraz z innymi dziećmi, poszedł do kościoła. Podczas gdy dyrektor szkoły, pan Walters, wygłaszał kazanie, do budynku wszedł sędzia, Thatcher, wraz z żoną i córką. Tomek natychmiast rozpoznał w dziewczynce swoją nową miłość i poczuł się bardzo szczęśliwy. Dyrektor przedstawił nowych mieszkańców miasteczka, uczniowie szkoły zaczęli się popisywać, pragnąc zaprezentować się nowej uczennicy z jak najlepszej strony. Tomek wyszedł na środek ze zdobytymi wcześniej karteczkami, prosząc o wręczenie mu *Biblii*. Dyrektor był zdumiony, wydawało mu się to niedorzeczne, ale przyznał nagrodę. Chłopiec został przedstawiony sędziemu, który prosił go, aby wymienił imiona dwunastu apostołów albo chociaż dwóch wybranych, jako pierwszych. Po długim namyśle chłopiec powiedział: *Dawid i Goliat*.

Rozdział V

O 10.30 mieszkańcy miasteczka zeszli się na nabożeństwo. Tomek przyszedł wraz z ciotką, Sidem i Mary. Pastor odśpiewał hymn, po czym odmówił modlitwę. Tomek z nudów złapał muchę, ale ciotka natychmiast kazała mu ją wypuścić. W trakcie kazania Tomek wypuścił z pudełka chrząszcza, który chwycił go za palec. Owad wylądował na podłodze kościoła, gdzie bał się nim pudel. W końcu usłyszano skowyt pudła uszczypniętego przez szczypawkę. Pudel znów podbiegł do chrząszcza i usiadł na nim, co wywo-

łało jeszcze potężniejsze wycie. Pies przebiegł z hałasem przez cały kościół, wskoczył na kolana właściciela, został wyrzucony przez okno i zniknął. Ludzie śmiali się, pastor przerwał kazanie, później szybko je skończył. Tomek był po raz pierwszy zadowolony z tak mile spędzonej niedzieli.

Rozdział VI

W poniedziałkowy poranek Tomek chciał wymigać się od szkoły i zaczął myśleć nad sposobem oszukania ciotki. Ruszał mu się ząb, ale lepszym uzasadnieniem wydał mu się otarty palec. Chłopiec zaczął pojękiwać. Obudził w ten sposób Sida, który przerażony pobiegł po Polly. Kiedy ciotka weszła do pokoju, a chłopiec oznajmiał, że jego palec jest martwy, ogarnęło ją roz-bawienie. Przy okazji wyszedł na jaw ruszający się ząb, który ciotka usunęła za pomocą nitki i gorącego polana. W drodze do szkoły Tomek wzbudzał zazdrość kolegów, gdyż dzięki dziurze po zębie zdobył umiejętność plucia w zupełnie inny sposób niż wszyscy.

Chłopiec spotkał Huckleberry'ego Finna: *Huckleberry był powszechnie nienawidzony i budził strach we wszystkich matkach w miasteczku, gdyż był leniem, awanturnikiem i złym, wulgarnym chłopcem, a także dlatego, że był obiektem podziwu wszystkich dzieci, które przepadały za jego zakazanym to-warzystwem i chciały być takie jak on.* Chłopcy rozmawiali ze sobą o sposo-bach leczenia kurzajek, a potem dobili targu – w zamian za swój wyrwany ząb Tomek dostał od Hucka kleszcza.

Przez to spotkanie chłopiec spóźnił się na lekcję i już miał zamiar okła-mać nauczyciela, gdy dostrzegł siedzącą w pobliżu ukochaną Becky That-cher. Powiedział nauczycielowi, że rozmawiał z Huckiem, za co dostał lanie, a następnie, w ramach dodatkowej kary, pedagog kazał mu usiąść z Becky. Tomkowi bardzo to odpowiadało. Siadł obok niej w ławce i ukradkiem po-częstował brzoskwinią. Dzieci zaczęły ze sobą rozmawiać. Tomek rysował na papierze różne obrazki dla dziewczynki. W końcu zapisał starannie na ta-bliczce wyznanie miłości, które pokazał ukochanej. W tej samej chwili nauczyciel podniósł go za ucho z ławki i przesadził na tył klasy.

Chłopiec był tak ożywiony, że zupełnie nie myślał o lekcjach. Oblał dyk-tando, źle odpowiedział z geografii, aż w końcu musiał oddać swój cynowy medal, który dotąd nosił z dumą.

Rozdział VII

Na lekcji Tomek wyjął kleszcza i bawił się zwierzątkiem z Joe Harperem.

Zabawa przerodziła się w kłótnię, którą przerwał nauczyciel. Gdy nadeszła południowa przerwa, chłopiec poprosił Becky Thatcher, aby udała, że idzie do domu, a w rzeczywistości, by wróciła i spotkała się z nim w szkole.

W pustej klasie Tomek uczył Becky rysować, potem żuli gumę i rozmawiali. On powtórnie wyznał jej miłość i poprosił, aby uczyniła to samo, a wówczas będą już oficjalnie zaręczeni. W końcu Becky szepnęła mu na ucho: *Kocham cię*, a on, szczęśliwy, pocałował ją w usta. Przyrzekli sobie, że od tej pory będą chodzić razem do szkoły, kiedy nikt nie będzie patrzył i tańczyć na zabawach tylko ze sobą, bo tak się robi, gdy jest się zaręczonym. Przypadkowo jednak wyszło na jaw, że Tomek był już zaręczony z Amy Lawrence, co wywołało płacz Becky. Dziewczynka odrzuciła miłość Tomka, nie pomogły jego tłumaczenia, że poprzednia narzeczona już go nie obchodzi. Chłopiec wyszedł z klasy, ale znów wrócił i próbował przekonać do siebie Becky. Dał jej mosiężną gałkę, którą ona rzuciła na podłogę. W końcu ostatecznie opuścił szkołę i nie było go tak długo, że Becky zaczęła się martwić. Rozpaczwała i użalała się nad sobą.

Rozdział VIII

Tomek powędrował daleko za szkołę, aż do lasu, gdzie zmęczony przysiadł na mchu. Przez jego głowę przebiegały różne myśli. Najpierw był rozgoryczony i zły na Becky, potem czuł przypływ romantycznych uniesień – chciał zostać żołnierzem lub Indianinem. A może lepiej byłoby zostać piratem... Zrzucił marynarkę i spodnie, zrobił sobie pas z szelek, z zarośli wyjął ukryty tam wcześniej łuk ze strzałami, drewniany miecz i blaszaną trąbkę.

Po chwili pojawił się w tym miejscu Joe Harper, w takim samym stroju. Bawili się w Robin Hooda i Guya z Gisborne, tocząc ze sobą pojedynek. Co chwilę zamieniali się rolami i odgrywali nowe. Zabawę skończyli dopiero wieczorem.

Rozdział IX

Tego wieczoru Tomek i Sid, jak co dzień, powędrowali do łóżek, ale mały rozrabiaka wcale nie miał zamiaru zasnąć. Przespał tylko godzinę, o jedenaście zbudził go stuk butelki rzuconej o ścianę i krzyki ciotki. Szybko ubrał się i wyszedł na czworakach wzdłuż gzymsu.

Tam czekał na niego Huckleberry Finn ze swoim zdechłym kotem. Razem udali się na cmentarz. Po jakimś czasie, między grobami, usłyszeli głosy. Myśleli, że są wydawane przez duchy, ale nagle dostrzegli pijanego Muf-



fa Pottera, Indianina Joe i młodego doktora Robinsona rozkopujących jakąś mogiłę. Mężczyźni ułożyli trupa na noszach, a potem zażądali dodatkowej opłaty za wniesienie ciała do gabinetu Robinsona. Zaczęli się kłócić, a Indianin Joe przypomniał doktorowi, jak pięć lat temu wypędził go ze swojego domu, gdy ten przyszedł prosić o jedzenie. Joe groził doktorowi pięścią, a ten znieczeka powalił go na ziemię. Wtedy, w obronie Indianina stanął Muff Potter i wszyscy zaciekle walczyli ze sobą. Robinson uderzył Pottera w głowę deską z grobu, Williamsa, a Indianin dźgnął nożem doktora. Następnie włożył nóż w rękę nieprzytomnego Muffa, który, na skutek ciosu Robinsona, upadł na ziemię. Kiedy Potter odzyskał przytomność, wniósł mu, że to on jest zabójcą doktora. Prerażeni chłopcy uciekli z cmentarza.

Rozdział X

Tomek i Huck pobiegli do starej garbarni. Tam, drżąc ze strachu, obawiali się zemsty Indianina Joe. Tomek, na deseczce, wypisał słowa: *Huck Finn/ i Tomek Sawyer przysięgają, że nie puszczą pary z gęby/ o tym i niechby/ skona- li marnie, gdyby/ wygadali i niechby/ zgnili*. Podpisali to przyrzeczenie własną krwią i zakopali deseczkę przy ścianie budynku.

Wówczas, gdzieś w pobliżu, rozległo się wycie psa, a chłopcy przypuszczali, że jest to znak ich rychłej śmierci. Na szczęście, zwierzę stało odwrócone do nich tyłem.

Następnie usłyszeli chrapanie dobiegające z przodu garbarni, więc przedarli się cichutko w poszukiwaniu źródła dźwięku. Zobaczyli leżącego w pobliżu Muffa Portera.

Chłopcy rozstali się. Tomek wrócił do łóżka, cichutko zdjął ubranie, nie wiedząc, że obserwował go Sid. Rankiem obudził się obolały, poszedł do kuchni i szybko zorientował się, że wszyscy już dowiedzieli się o jego wczorajszej wyprawie. Ciotka Polly płakała i twierdziła, że Tomek złamał jej serce i swoimi wybrykami wpędzi ją do grobu. Słowa te wywołały wyrzuty sumienia u siostrzeńca. Skruszony, płakał i błagał ją o wybaczenie, ale wciąż miał wrażenie, że nie zdołał uspokoić ciotki. Włókł się do szkoły markotny, na dodatek, podczas pierwszej lekcji dostał lanie za poprzednie wagary. Przyjął je bez emocji. Niestety, nie mógł pozostać obojętny na widok swojej mosiężnej gałki, którą, zawiniętą w papier, zwróciła mu Becky.

Rozdział XI

W południe całe miasteczko wiedziało już o morderstwie, którego doko-

nano na cmentarzu. Lekcje zostały odwołane, a wszyscy mieszkańcy tłumnie udali się na miejsce zbrodni. Odnaleźli Muffa Pottera, którego prowadził szeryf, był bowiem głównym podejrzanym. Dowodem stał się jego nóż znaleziony obok ofiary. Indianin Joe kłamał, wskazując Pottera jako zbrodniarza. Huck i Tomek w osłupieniu wysłuchali fałszywych zeznań mężczyzny. Przez tydzień Tomka prześladowały koszmary – ponury sekret powodował wyrzuty sumienia, chłopiec mówił przez sen, co od razu zauważył Sid. Przez ten czas Tomek przemyślał do aresztu niewielkie drobiazgi dla Pottera, które miały pocieszyć więźnia.

Rozdział XII

Becky Thatcher zachorowała i przestała chodzić do szkoły, co stało się dla Tomka nowym powodem do zmartwień. Ponieważ robił się markotny i smutny, ciotka podejrzewała jakąś chorobę. Naiwna, ślepo wierząca we wszystkie rady redaktorów medycznych czasopism, postępowała według ich zaleceń – urządziła siostrzeńcowi zimne kąpiele, a gdy to nie pomagało, gorące prysznice i zanurzania w wodzie. W końcu wypróbowała na nim nowy środek przeciwbólowy, lecz sprytny chłopak wylał miksturę do dziury w podłodze i udał, że lekarstwo mu pomogło.

Kiedy pojawił się kot ciotki, Peter, Tomek dał mu lek, a zwierzę zaczęło biegać jak oszalałe po całym pokoju, wydając przeraźliwe okrzyki. Polly patrzyła na zachowanie kota ze zdumieniem, nie mając pojęcia, co mu się stało. Dostrzegła wreszcie łyżeczkę od leku i chwyciła malca za ucho. Jednocześnie była bardzo smutna – pomyślała, że jeśli lek źle podziałał na zwierzę, to pewnie szkodzi też ludziom... Przestała dawać Tomkowi lekarstwo.

Przed szkołą chłopiec wciąż wypatrywał Becky. Pewnego dnia wreszcie ją dostrzegł, co wprawiło go w świetny nastrój. Popisywał się przed nią, ale dziewczynka odnosiła się do jego wyczynów z lekceważeniem. Upokorzony i zdruzgotany, odszedł.

Rozdział XIII

Tomek był posępny i rozżalony. Uważał siebie za opuszczoną, nikomu niepotrzebną istotę pozbawioną przyjaciół, której nikt nie kocha. Na dworze spotkał Joego Harpera, który też czuł się nieszczęśliwy, bo mama stłukła go za to, że rzekomo wypił w domu śmietankę. Wspólnie postanowili iść w świat i wieść życie wygnańców. Zawarli umowę, że zawsze będą się wspierać, jak bracia i tylko śmierć zdoła ich rozdzielić. Postanowili osiąść na



Wyspie Jacksona i zostać piratami. Do pirackiej braci przyłączył się Huck.

O północy cała trójka spotkała się na skarpie, przynosząc pożywienie i przedmioty niezbędne im do życia na wyspie. Porwali tratwę i wypłynęli na Missisipi. Po dwóch godzinach dobili do brzegu wyspy, postawili prowizoryczny namiot z żagla i rozpalili ognisko. Po obfitej kolacji złożonej z zapasów szynki i smażonego boczku czuli się doskonale. Jednak nocą zaczęli mieć wyrzuty sumienia, że źle zrobili, zabierając prowiant i uciekając z domu.

Rozdział XIV

Tomek zbudził się pierwszy i podziwiał piękno przyrody. Potem obudził pozostałych podróżników. Wspólnie złowili ryby, które usmażyli z boczkiem na śniadanie, następnie zwiedzili nieznaną łódź. W południe, głodni, postanowili zjeść zimną szynkę. Pod wieczór, w ich serca stopniowo zaczęła wdzierać się tęsknota za domem. Daleko na rzece usłyszeli huk. To ludzie poszukiwali chłopców – uciekinierów, myśląc, że ci utopili się w rzece. Początkowo, na myśl, że byli teraz na ustach wszystkich mieszkańców miasteczka, ogarnęła ich duma, jednak wkrótce znów zaczęli zastanawiać się nad powrotem do domu. Ostatecznie zostali, a nocą Tomek włożył do kapelusza Joego swoje skarby wraz z jakąś notatką i zamiast spać, udał się w stronę piaszczystej mielizny.

Rozdział XV

Późnym wieczorem Tomkowi udało się przedostać z wyspy do domu. Siedząc pod łóżkiem, niezauważony, obserwował, jak ciotka Polly, Sid, Mary i mama Joego oplakiwali śmierć chłopców. Dowiedział się, że gdy zauważono zaginięcie tratwy, przypominano sobie, jak chłopcy wspominali, że wkrótce wszyscy „o czymś usłyszą”. Domyślono się, że postanowili uciec. Kiedy jednak opuszczona tratwa przybiła do brzegu pusta, uznano, że chłopcy utonęli. Ciotka Polly płakała, mówiła o Tomku w samych superlatywach i przyznała, że żałuje, iż nie może go uściskać. Wspomniała, że niedługo odbędzie się pogrzeb chłopców.

Tomkowi zrobiło się żal rozpaczającej ciotki, ale nie zdradził się. Wychoząc z domu, ucałował śpiącą opiekunkę. Chciał zostawić jej kawałek kory z informacją, że żyje, ale ostatecznie zmienił zdanie. Wziął szalupę i popłynął w górę rzeki. Wrócił do kolegów, którzy już zastanawiali się, czy można dzielić jego skarby: *Podczas podanego natychmiast sutego śniadania z boczku i ryb zdawał relację ze swych poczynañ, odpowiednio je ubarwiając. Gdy skoń-*

czył, cała kompania pękała z dumy i zachwytu.

Rozdział XVI

Po obiedzie cała banda poszła szukać złotych jaj, z których potem mieli przyrządzić smaczną jajecznicę. Wolny czas chłopcy wykorzystali na zabawę w cyrk, granie w kulki i kąpiele. Wkrótce dopadła ich tęsknota za domem. Tomek napisał na piasku imię Becky. Joe oznajmił, że chciałby już wrócić. Sawyer usiłował przekonać go do pozostania, ale rozżalony przyjaciel ubrał się i odszedł, żegnany kąśliwymi docinkami. W ślad za nim ruszył Huck.

Wtedy Tomek zdradził im pewien tajemny plan, na który przystali z ochotą. Wrócili na wyspę i zaczęli się bawić. Po kolacji uczyli się palić fajkę. Przechwalali się swoim doświadczeniem w paleniu tytoniu, ale po głębszym zaciągnięciu się dymem zbledli i rozeszli na strony, aby przeczekać wymioty. Kiedy Huck ponownie zaproponował im fajkę, chłopcy stwierdzili, że zaszkodziło im coś z obiadu.

Nocą zerwała się straszna wichura i ulewny deszcz. Prerażeni wyspiarze siedli pod wielkim dębem, trzymając się za ręce. Po burzy okazało się, że mieli dużo szczęścia, ponieważ piorun uderzył w jawor, pod którym wcześniej nocowali. Całe obozowisko zostało zalane. Na szczęście udało się im znaleźć kawałek suchego drewna i rozpałić ogień. Wysuszyli gotowaną szynkę i urządzili ucztę. Zasnęli, jednak rano nie mieli zapału ani chęci do robienia czegokolwiek.

Tomek wciąż wymyślał nowe zabawy. Tym razem mieli być Indianami. Cały dzień biegali bez ubrań, wymalowani w kolorowe pasy i toczyli ze sobą bitwy, jako, że wszyscy trzej, byli wodzami różnych plemion. Przed kolacją ćwiczyli się w paleniu fajki pokoju, co wychodziło im coraz lepiej.

Rozdział XVII

Tymczasem w miasteczku ciotka Polly i Harperowie pogrążeni byli w żałobie. Becky płakała i żałowała, że oddała Tomkowi jedyną pamiątkę po nim – mosiężną gałkę. Koledzy ze szkoły sprzeczekali się o to, kto ostatni widział chłopców żywych. Wszyscy wspominali zaginionych jako bohaterów.

W niedzielne przedpołudnie rozległo się bicie dzwonu – mieszkańcy, na czele z rodzinami nieszczęsnych wyspiarzy, przyszedli do kościoła na nabożeństwo żałobne za dusze chłopców. Żałobnicy zajęli miejsca w pierwszej ławce, a pastor rozpoczął nabożeństwo odśpiewaniem uroczystego hymnu. Po odśpiewaniu modlitwy wygłosił kazanie, w którym wychwalał wspańiałe cha-



raktery i zalety chłopców, przypomniawszy też wzruszające wydarzenia z ich życia. Zebrani w kościele płakali z żalu.

Nagle zaskrzypiały drzwi i do środka weszli zaginionieni, z Tomkiem na czele. Okazało się, że do tej pory przysłuchiwali się na chórze mowie pogrzebowej. Ciotka Polly, Mary i rodzina Harperów rzucili się na ocalonych, obsypując ich pocałunkami, tylko sierota Huck stał sam z boku i przypatrywał się wszystkiemu. Tomek przypomniawszy cioci, że ktoś powinien także ucieszyć się z powrotu Hucka. Polly wycalowała chłopaka, który czuł się ogromnie zawstydzony. Pastor odśpiewał hymn dziękczynienia.

W ten sposób chłopcy zrealizowali tajemniczy plan Tomka. W nocy przybyli do miasteczka, nad ranem zakradli się do kościoła, aby ukazać się wszystkim podczas własnego pogrzebu.

Rozdział XVIII

W poniedziałek podczas śniadania wszyscy dogadzali Tomkowi, ciocia Polly mówiła jednak, że gdyby chłopiec ją kochał, przypląnąłby i dał znak, że żyje. Małec opowiedział wówczas swój wymyślony sen, dokładnie przedstawiając wydarzenia wieczoru, podczas którego odwiedził dom. Polly potraktowała tę opowieść jak proroczą wizję, ale podejrzliwemu Sidowi zbyt dużo szczegółów pokrywało się z prawdą. Gdy Tomek doszedł do tej części snu, w której napisał na kawałku kory, że nie umarł i pocałował cicię w usta, szczęśliwa Polly wybaczyła mu wszystko i serdecznie uściskała.

Od tej pory siostrzeniec czuł się jak bohater: *Młodzi chłopcy chodzili stadnie krok w krok za nim i nie posiadali się z dumy, że są widziani w jego towarzystwie. Z kolei rówieśników zżerała zazdrość: Tomek postanowił, że nie chce mieć teraz nic wspólnego z Becky Thatcher. Obecnie sława była dla niego wszystkim.*

Zarozumialec, chcąc dokuczyć Becky, lekceważył ją całkowicie i wciąż rozmawiał z Amy Lawrence. Taka postawa wzbudziła zazdrość Thatcher. Dziewczynka, aby zwrócić na siebie jego uwagę, rozpowiedziała wszystkim, że zamierza urządzić piknik. Prawie wszystkie koleżanki i koledzy wprosił się do niej, oprócz Tomka i Amy, którzy udając obojętność, dumnie odeszli. Ich zachowanie zraniło Becky, która pobiegła w ustronne miejsce, aby się wyplakać. Rozmyślała długo, na lekcji siedziała markotna, ale już do przerwy opracowała plan zemsty.

Gdy Tomek na przerwie nadal rozmawiał z Amy i patrzył ukradkiem na Becky, ta zaczęła oglądać książkę z obrazkami w towarzystwie Alfreda Templa



(owego modnie ubranego chłopca, którego Tomek wcześniej pobił). Tomek czuł, jak wzbierała w nim zazdrość. Żałował, że nie wykorzystał wcześniejszej szansy na pogodzenie się z dziewczynką. Potem wściekł się na jej nowego towarzysza i wyobraził sobie, jak stacza z nim zwycięską walkę. W południe uciekł ze szkoły, nie mogąc dłużej znieść szczebiotania zakochanej w nim Amy i zachowania Becky.

Tymczasem jego ukochana po wyjściu Tomka od razu straciła zainteresowanie Alfredem i zaczęła płakać, co zaniepokoiło Templa. Wreszcie chłopak zaczął rozumieć, że został podstępnie wykorzystany i oblał zeszyt Tomka atramentem. Becky obserwowała tę scenę i najpierw chciała poinformować o wszystkim dawnego ukochanego, ale szybko zmieniła zdanie, przypominając sobie jego lekceważący stosunek do zaproszenia na piknik. Postanowiła nienawidzić go do końca życia.

Rozdział XIX

W domu Tomek wysłuchał awantury ciotki, która podczas wizyty u Harperów opowiedziała o jego niezwykłym śnie. Okazało się, że wcześniej pani Harper dowiedziała się od Joego, że siostrzeniec Polly rzeczywiście odwiedził tamtej nocy dom i podsłuchiwał rodzinę. Jej żal ukoiliło tylko to, że chłopiec szczerze żałował swojego żartu i przed odejściem ucałował ją z troską. Niepewna, czy aby nie kłamie, wyjęła z szafy marynarkę dziecka i przeszukała jej kieszenie. Znalazła list napisany na korze, w którym Tomek zawiadomił ją, że chłopcy żyją, są zdrowi i cali. Polly rozplakała się ze wzruszenia.

Rozdział XX

Tomek, pokrzepiony pocałunkiem ciotki, wyruszył do szkoły, gdy nagle na drodze spotkał Becky. Chciał się z nią pogodzić, ale dziewczynka nadal traktowała go z pogardą.

Nauczyciel, pan Dobbins, w młodości marzył o studiowaniu medycyny, ale ze względów finansowych zmuszony był zakończyć karierę na prowadzeniu zajęć w szkole. Jednak dawne zainteresowania pozostały. W szufladzie swojego biurka trzymał jakąś tajemniczą książkę, którą w wolnych chwilach wyjmował i czytał. Dzieci od dawna ciekawił tytuł jego lektury. Tego dnia Becky spostrzegła, że w szufladzie tkwi klucz. Przekreśliła go, wyjęła książkę i zaczęła ją przeglądać. Dzieło nosiło tytuł *Anatomia*, a na pierwszej stronie widniała ilustracja przedstawiająca nagiego człowieka. Nagle do klasy wszedł Sawyer, a wystraszona Becky gwałtownie zamknęła książkę i przypadkiem roze-



rwała jedną z kartek. Dziewczynka wrzuciła *Anatomię* do szuflady i przekreśliła klucz, płacząc ze strachu i wstydu.

Na lekcji Becky była zdenerwowana, a Tomek, patrząc na nią, zaczął jej współczuć. Nauczyciel zbił go różgą za poplamiony przez Alfreda zeszyt. Becky nie zdradziła Alfreda, a Tomek bezskutecznie przysięgał, że nie wylał atramentu na swój zeszyt.

Nadeszła chwila, gdy pan Dobbins wyjął swoją książkę i dostrzegł podartą kartkę. Wywoływał kolejno uczniów, żądając, by winowajca sam się przyznał. Kiedy nadeszła kolej Becky, wstał Tomek i powiedział, że to jego wina. Z dumą odebrał różgi, ponieważ w oczach Becky dostrzegł uwielbienie i wdzięczność. Dodatkowa kara, czyli dwie godziny spędzone w szkole, też nie były dla niego straszne, bo domyślał się, że dziewczynka będzie na niego czekać.

Rozdział XXI

Przed wakacjami surowy nauczyciel chciał, aby szkoła wypadła jak najlepiej na egzaminach końcowych. Dręczył więc uczniów, karząc ich za najdrobniejsze przewinienia. Chłopcy wpadli na pomysł dokuczenia mu. W delikatny plan został wtajemniczony syn malarza szyldów, u którego mieszkał Dobbins z żoną.

W dzień uroczystości, o 20.00, szkoła została przystrojona wieńcami, na sali egzaminacyjnej zgromadzili się mieszkańcy i wybitne osobistości miasteczka. Nauczyciel zasiadał na podwyższeniu, a za jego plecami wisiała tablica. Uczniowie wychodzili po kolei i recytowali albo śpiewali. Tomka dopadła trema i nie udało mu się dokończyć swojego występu, co wywołało gniew Dobbinsa. Następnie dziewczynki recytowały swoje wiersze, pełne powagi, nabożnych pouczeń i filozoficznych rad. Jeden z utworów został uznany za najlepsze dzieło wieczoru i nagrodzony rześzystymi oklaskami. Burmistrz przyznał autorce nagrodę.

Nauczyciel zaczął rysować na tablicy kontury Ameryki, lecz po wieczorze spędzonym przy kieliszku, poszło mu kiepsko, co wywołało chichot uczniów. Stał więc rysunek i wznowił pracę, ale mapa zrobiła się już całkiem krzywa. Za trzecim razem poszło mu doskonale, ale śmiech nie ucichł. Nagle, z wejścia na poddasze, znajdującego się nad głową nauczyciela, wyłonił się zawieszony na sznurku kot. Obniżał się stopniowo, aż chwycił perukę mężczyzny i odsłonił jego, pomalowaną na złoto (przez syna malarza), łysinę. Był to koniec uroczystości i początek wakacji.





Rozdział XXII

Tomek wstąpił do nowo powstałego zgromadzenia „Braci Wstrzeźmięzliwości”, przysiągł stronić od papierosów, nie żuć tytoniu i nie przeklinać, lecz odtąd zaczęła go dręczyć pokusa robienia tego wszystkiego. Czekał na Dzień Niepodległości, aby, jako członek bractwa, pokazać się w pięknej czerwonej szarfi. Szybko stwierdził jednak, że to zbyt długo i jego nadzieja skupiła się na uroczystym pogrzebie sędziego Frazera. Sędzia chorował, ale wciąż nie umierał, więc w końcu Tomek złożył rezygnację z przynależności do bractwa. Jeszcze tej samej nocy stan sędziego pogorszył się i biedny człowiek umarł. Odbył się uroczysty pogrzeb, bracia z bractwa paradowali w swoich szarfach, co bardzo drażniło Tomka.

W wakacje chłopiec bardzo się nudził, więc najpierw założył grupę pieśniarzy, a następnie cyrk. Becky Thatcher wyjechała na wakacje z rodzicami do Konstantynopola. Tomek przez dwa tygodnie chorował na odrę, a kiedy wrócił do zdrowia, spostrzegł, że wszyscy koledzy stali się nagle bardzo religijni.

Nastąpił nawrót choroby i kolejne trzy tygodnie chłopiec spędził w łóżku. Gdy ponownie spotkał się z kolegami, zauważył w ich zachowaniu zmianę na gorsze.

Rozdział XXIII

Rozpoczęła się rozprawa w związku z morderstwem doktora Robinsona. Tomek miał wyrzuty sumienia, że zatajają z Huckiem prawdę. Chłopcy bali się Indianina Joe, więc jeszcze raz przysięgli sobie, że nie zdradzą tajemnicy. Jednak, gdy udali się pod więzienie, aby przekazać Potterowi papierosy i drobiazgi, ten podziękował im szczerze i żalił się na obojętną postawę innych ludzi. Wspomnił, jak pomagał im i był dla nich dobry. Czuli się niczym ostatnie łotry, ponieważ pamiętali, że z Huckiem podzielili się rybą i wskazał Tomkowi dogodne miejsca do wędkowania.

Na sali rozpraw, po kolei, sędzia i oskarżyciel zadawali pytania świadkom. Wszystko wskazywało na winę Pottera. Nieoczekiwanie na świadka został powołany Tomek Sawyer, który dokładnie opowiedział, co wydarzyło się na cmentarzu. Oświadczył, że doktora Robinsona zabił Joe, a nie Muff Potter. W tej samej chwili Indianin rzucił się do okna i uciekł z sali sądowej.

Rozdział XXIV

Tomek ponownie stał się bohaterem – ulubieńcem starszych i obiek-



tem zazdrości młodszych. Lokalna gazeta zamieściła nawet o nim wzmiankę. Dręczone wyrzutami sumienia zaprowadziło go przed rozprawą do adwokata Pottera i spowodowało, że wyjawił prawdę. Teraz jednak on i Huck bali się zemsty Indianina Joe. Nocami Tomek nie mógł spać, był przekonany, że do czasu śmierci Joego, za którego złapanie wyznaczono nagrodę, nie będzie się czuł bezpieczny.

Rozdział XXV

Tomek postanowił wybrać się na poszukiwanie skarbów i zachęcał do tego Hucka. Uważał, że mogą się one znajdować w pobliżu starych drzew i w nawiedzonym domu przy strumieniu Cichy Dom. Zabrali ze sobą kilof, łopatę i wyruszyli na wyprawę. Po wejściu na wzgórze, naprzeciwko starego domu, zaczęli kopać. Ponieważ niczego nie znaleźli, uzgodnili, że przyjdą w to miejsce nocą. W pobliżu zostawili swoje narzędzia.

O północy spotkali się ponownie i znów zaczęli kopać, ale po jakimś czasie ogarnął ich strach – było ciemno, według nich była to też pora duchów. Wydawało się im, że za plecami ktoś czai się w mroku. Porzucili upatrzone miejsce i ruszyli w kierunku domu.

Rozdział XXVI

W piątek koło południa Huck i Tomek przyszli po narzędzia. Potem przypomnieli sobie, że piątek to niezbyt dobry dzień na załatwianie ważnych spraw, bawili się i udawali Robin Hooda. Cały czas tęsknie spoglądali w stronę nawiedzonego domu.

W sobotę po południu kopali jeszcze trochę przy wcześniej wykopanej dziurze, a następnie poszli do nawiedzonego domu. Zakradli się pod drzwi i zajrzeli do środka: *Ujrzeli pokój zarośnięty chwastami, pozbawiony podłogi i tynków na ścianach, za to ze starym kominkiem, ziejącymi pustką otworami okiennymi, zrujnowanymi schodami i pozrywanymi, porzuconymi pajęczynami.*

Weszli na górę, rozejrzeli się i już mieli zejść na dół, gdy niespodziewanie Tomek usłyszał dwa męskie głosy. Do domu wszedł stary głuchoniemy Hiszpan z Indianinem Joe! Chłopcy, drżąc ze strachu, przysłuchiwali się ich rozmowie. Przestępcy jedli kolację, Joe mówił, że zamierzał następnego dnia rozejrzeć się po miasteczku, a potem spotkać się z towarzyszem w górze rzeki.

Gdy mężczyźni zasnęli, Tomek chciał uciec, ale bał się, że skrzywienie podłogi zbudzi Indianina. Chłopcy czekali zatem do rana. Indianin Joe zbudził towarzysza. Zaplanowali pozostawienie w domu sakiewki z 650 dolarami.

Zaczęli kopać dołek łopatami, które chłopcy zostawili w krzakach. Nagle natrafili na skrzynię ze złotymi monetami. Postanowili zabrać ją do kryjówki pod krzyżem. Przez chwilę zastanawiali się nad tym, kto zostawił narzędzia. Indianin chciał wdrapać się na górę i sprawdzić, czy ktoś tam jest, ale załamały się pod nim schody. O zmroku odeszli, taszcząc ze sobą skrzynkę.

Tomek i Huck odetchnęli z ulgą. Ruszyli do domu. Myśleli o tym, jak odebrać przestępcom skrzynkę i co oznaczają słowa o zemście wypowiedziane przez Indianina.

Rozdział XXVII

Tomkowi wydawało się, że wszystkie straszne wydarzenia poprzedniego dnia były tylko snem. Niestety, Huck potwierdził, że wszystko to zdarzyło się naprawdę. Chciałby trafić do kryjówki Indianina Joe i zabrać mu złoto, tylko nie wiedział, gdzie jest kryjówka, o której wspominał morderca (nazywał ją „dwójką”). Chłopcy wypytywali w gospodzie o pokój numer dwa i usłyszeli plotki, że pokój jest nawiedzony i nie wiadomo, kto w nim mieszka. Postanowili dostać się tam i śledzić Joego.

Rozdział XXVIII

Chłopcy kilka dni czatowali na przestępców w pobliżu gospody. Wreszcie postanowili spróbować wejść do środka. W czwartek Tomek z lampą wziętą od ciotki i osłoniętą ręcznikiem delikatnie otworzył drzwi do pokoju w gospodzie. Tam napotkał śpiącego Indianina Joe. Przerazony, chwycił lampę, ręcznik i uciekł, nakazując to samo stojącemu na czatach Huckowi.

Wreszcie zziązani chłopcy zatrzymali się i Tomek opowiedział, co zobaczył w pokoju Indianina. Umówili się, że Huck będzie pilnował gospody i powiadomi Tomka, gdy tylko Joe wyjdzie, a wtedy razem wykradną skrzynkę. Na razie Tomek poszedł nocować do domu, zaś Huck miał spać w stodole u Bena Rogersa.

Rozdział XXIX

W piątek rano Tomek usłyszał radosną wieść o powrocie sędziego Thatcher z rodziną. Spotkał się nareszcie z Becky, która w dodatku miała zamiar kolejnego dnia urządzić piknik.

W dzień pikniku dzieci przyszły wystrojone, z koszykami pełnymi smakołyków. Specjalnie na ten cel wynajęto starą łódź parową. Sid zachorował i Mary została w domu, żeby go pilnować. Becky powiedziała mamie, że przenocuje u Susy Harper. Tomek zaproponował ukochanej, żeby poszli do



wdowy Douglas, która zawsze częściej dzieci lodami. Po krótkim wahaniu, Becky zgodziła się na zmianę planów. Postanowili nikomu nic o tym nie mówić: *Trzy mile poniżej miasteczka parowiec przybił do zalesionej niecki i zacamował. Dzieci wyskoczyły na brzeg i już po chwili cały las i skaliste pagórki trzęsły się od wrzasków i śmiechów. Wypróbowali wszelkie możliwe sposoby na zmęczenie się i spocenie, a potem solidny apetyt zagnał wszystkie niespokojne duchy do obozowiska. Rozpoczął się atak na różnorakie smakołyki. Po posiłku przyszła pora na odpoczynek i mile pogaduszki w cieniu rozłożystych dębów.*

Potem wszyscy postanowili pójść do Jaskini McDougala. Była ona wielkim labiryntem krętych przejść, które przecinały się ze sobą, rozłączały i prowadziły donikąd. Na zewnątrz zaczynało się ściemniać, kiedy rozbawione grupki dzieci opuściły korytarze.

Huck wykonał swoje zadanie, słyszał huk parowca, ale nie miał pojęcia o pikniku. Około jedenastej usłyszał hałas – dwaj mężczyźni poszli ze skrzynką! Podążali ścieżką na wzgórze Cardiff, aż dotarli w okolice domu wdowy Douglas. Huck podszedł do przerażającą rozmowę – Indianin Joe chciał oszpecić wdowę w zemście za działalność jej męża, sędziego pokoju, który kazał wychłostać przestępcę na środku miasta. Huck uciekł, pobiegł do domu mieszkającego obok Walijczyka i opowiedział o całej sytuacji. Starzec i synowie zabrali broń i wyruszyli do domu wdowy. Po jakimś czasie słychać było dobiegające stamtąd odgłosy wystrzałów.

Rozdział XXX

W niedzielę rano Huck zapukał do starego Walijczyka, prosząc, aby go wpuścił. Staruszek opowiedział, jak zorganizował z synami zasadzkę na Indianina Joe. Mówił, że w pewnym momencie nie mógł się powstrzymać od kichnięcia, co zaalarmowało złoczyńców, prowokując ich do ucieczki. Synowie Walijczyka obudzili straż i szeryfa, a teraz wszyscy szukają przestępców ukrywających się w lesie.

Huck zdradził starcowi straszną prawdę o Indianinie, a tamten powiedział mu o odnalezionej przy przełazie skrzynce z narzędziami. Przez chwilę Huck myślał, że starzec znalazł złoto i zbladł ze strachu.

Rozległo się stukanie do drzwi. Huck szukał kryjówki, żeby nikt nie skojarzył go ze sprawą, a do domu staruszka przyszedli mieszkańcy miasteczka – wdowa Douglas, kilku panów i kilka pań. Wdowa podziękowała Walijczykowi za ocalenie jej życia, starszy człowiek oznajmił, że jest ktoś, komu powinna również podziękować, ale ta osoba prosiła go o dochośnie tajemnicy. Jego słowa



wywołały wielkie zainteresowanie.

W kościele zebrali się ludzie. Matka Becky zapytała panią Harper o swoją córkę i zmartwiła się na wieść o tym, że jej córka nie nocowała u nich. Podobnie ciotka Polly szukała Tomka Sawyera. Wszyscy niepokoiili się, a jeden z chłopców zauważył, że dzieci mogły zabłądzić w jaskini. Mieszkańcy wyruszyli na poszukiwania, a ciotka i pani Thatcher płakały przez całą noc.

Walijczyk wrócił nad ranem do domu, dostrzegł, że Huck jest chory. Lekarze byli w jaskini, więc chorym zajęła się wdowa Douglas.

Poszukiwacze wrócili. Jaskinia została dokładnie przeszukana, ale nie znaleziono dzieci. Jedynym śladem był napis na ścianie „Becky i Tomek” oraz wstążka dziewczynki leżąca daleko od znanych uczęszczanych szlaków.

Przez następne trzy dni trwały poszukiwania, które nie przyniosły rezultatu. W gospodzie znaleziono alkohol, co spowodowało zamknięcie tego miejsca.

Rozdział XXXI

Tomek wraz z Becky wędrowali krętymi korytarzami jaskini, doszli do strumyka, gdzie chłopiec dostrzegł kolejne fascynujące przejścia. Dzieci podążały tunelami w głąb. Odkryli niezwykłą pieczarę i źródółko, ale musieli uciekać stamtąd przed nietoperzami. Chwilę potem Tomek doszedł do podziemnego jeziora. Nagle spostrzegł, że są sami. Okazało się, że już dawno oddalili się od grupy. Becky chciała wracać, a Tomek postanowił spróbować znaleźć inne wyjście. Wkrótce ogarnął ich strach, ponieważ błądząc nie mogli wyjść z labiryntu. Becky płakała, więc Tomek zaczął obwiniać siebie za to, że naraził ją na takie kłopoty. Po długim marszu Becky poczuła się tak zmęczona, że na chwilę zasnęła. Po obudzeniu się dziewczynka znów płakała, potem ruszyli w drogę, nad słuchując, gdzie kapie woda. Doszli do źródła i Tomek zaproponował, by zatrzymali się tu i coś zjedli. Przekonał Becky, że muszą tutaj zostać, gdyż tylko tu jest woda i mają już tylko jeden kawałek świecy. Siedzieli przerażeni i przytuleni do siebie, a ogarek powoli gasł. Po długim czasie usłyszeli wołanie. Pobiegli ku miejscu, skąd dochodził głos, ale natrafili na głęboki uskoki, którego nie byli w stanie pokonać. Odgłosy wkrótce umilkły, a oni, zdesperowani i załamani, wrócili do źródła.

Tomek chciał dociec, dokąd prowadzą pozostałe korytarze, wziął linkę od latawca i ruszył naprzód. Korytarz kończył się uskokiem. Chłopiec wyciągnął rękę i nagle dostrzegł wyłaniającą się zza skały dłoń Indianina Joe! Po chwili przestępca zniknął z pola widzenia chłopca, a Tomka ogarnęło przerażenie. Wrócił do źródła, lecz za kilka godzin oboje z Becky poczuli



wielki głód. Becky ogarnęła apatia, myślała nawet, że wkrótce umrze. Tomek znów wyruszył z linką od latawca, aby dalej badać korytarze. Był bardzo przytłoczony groźbą ostatecznego końca.

Rozdział XXXII

Wtorkowe południe w St. Petersburgu było bardzo smutne, ponieważ wciąż nie odnaleziono dzieci. Większość poszukiwaczy straciło nadzieję, niektórzy zaprzestali wszelkich działań. Pani Thatcher popadła w chorobę. W środku nocy nagle rozległo się bicie dzwonów i radosne okrzyki. Dzieci się znalazły! Tomek opowiedział o tym, jak zapuścił się w najdalsze korytarze i w pewnej chwili dostrzegł światełko, za którym pobiegł. Okazało się, że dotarł do wyjścia z jaskini około pięciu mil w dół rzeki od doliny, w której mieściło się wejście do groty. Nad Missisipi spotkali ludzi w łodzi, którzy nakarmili głodne dzieci i dowieźli je do miasteczka.

Tomek i Becky chorowali po tej przygodzie, dziewczynka przez kilka dni nie opuszczała swojego pokoju. Po wydobrzeniu, Tomek odwiedził chorego Hucka, ale wdowa Douglas nie pozwoliła mówić mu o jego przygodzie w jaskini. Przyjaciel musiał mieć spokój i nie wolno go było niczym denerwować. Przez następne dwa tygodnie Huck dochodził do siebie i dopiero po upływie tego czasu Tomek mógł mu o wszystkim opowiedzieć. Przedtem jednak chłopak odwiedził Becky i dowiedział się, że wejście do jaskini zostało dwa tygodnie temu zamknięte żelaznymi sztabami. Przekazał sędziemu, że w środku został Indianin Joe!

Rozdział XXXIII

Wszyscy popłynęli do jaskini, a gdy dotarli na miejsce i otworzyli wrota, ich oczom ukazał się straszny widok – martwy Indianin leżał wyciągnięty na ziemi, z twarzą tuż przy szczelinie. Przy nim znajdował się wyszczerbiony nóż. Tomek poczuł litość, ale zarazem przepełniło go poczucie ulgi i bezpieczeństwa.

Joe został pochowany u wylotu jaskini. Po pogrzebie Tomek spotkał się z Huckiem i rozmawiali na temat złota. Opowiadali sobie wzajemnie o wszystkim, co się do tej pory stało. Tomek stwierdził, że skrzynka ze skarbem została w jaskini i potrafi ją odnaleźć.

Po południu zabrali łódź i dopłynęli do dziury, przez którą Tomek wyszedł z jaskini. Chłopiec uznał ją za znakomitą kryjówkę i chciał założyć swoją bandę. Opowiedział Huckowi, że staną się rozbójnikami, będą na-

padać na ludzi i więzić ich w jaskini, aby zdobyć okup. Potem obaj weszli do otworu i skierowali się aż do źródelka. Następnie powędrowali do kolejnego uskoku i właśnie tam, na wielkiej skale, dostrzegli krzyż. Szukali skarbu, lecz mimo dokładnych oględzin, niczego nie znaleźli. Jednak Huck dalej kopał w glinie, a za chwilę ich oczom ukazały się deski. Pod nimi rozciągała się rozpadlina, w którą wszedł Tomek. Wąziutki tunel delikatnie opadał. Tomek posuwał się krętym przejściem, najpierw w prawo, potem zaś w lewo. Huck podążał tuż za nim. Wkrótce chłopcy odnaleźli skrzynkę ze skarbem.

Zabrali pieniądze w mniejszych woreczkach przyniesionych przez Tomka. Potem wrócili tą samą drogą do domu. Rzucili worki na wózek i przykryli je szmatami. Chcieli zawieźć je do drewnitni u wdowy, gdy na drodze zatrzymał ich stary Walińczyk. Mieli jak najszybciej iść do wdowy Douglas. Przyszła tam już ciocia Polly i kilka innych osób. Wdowa kazała chłopcom przebrać się w czyste ubrania, które czekały na nich w sypialni.

Rozdział XXXIV

Kilka minut później wszyscy goście wdowy usadowili się na miejscach. Nadeszli wystrojeni chłopcy, którym nieco wcześniej Sid powiedział, że pani Douglas urządziła przyjęcie na część Walińczyka i jego synów. Pan Jones podziękował wdowie za ten zaszczyt, a następnie wyjawiał obecnym cały sekret o zaangażowaniu Hucka w nocne wydarzenia. Wdowa podziękowała mu serdecznie, oznajmiając, że zamierza przyjąć Hucka pod swój dach i dać mu wykształcenie, a potem, gdy tylko będzie mogła oszczędzić nieco grosza, pomoże mu założyć jakiś skromny interes.

Nagle Tomek stwierdził głośno, że Huck jest bogaty i pokazał zdobyte worki złota. Połowa miała być dla Hucka, połowa dla Tomka. Chłopiec opowiedział całą historię, a potem odbyło się wspólne liczenie pieniędzy: okazało się, że dzieci znalazły około 12 000 dolarów.

Rozdział XXXV

Ojciec Becky miał bardzo dobrą opinię na temat Tomka. Był niezwykle wzruszony, gdy dziewczynka opowiedziała mu o tym, jak Tomek wziął na siebie różgi przeznaczone dla niej i jak uratował ją w jaskini. Sędzia dostrzegł w Tomku przyszłego prawnika albo żołnierza.



Huck został, wbrew swojej woli, ucywilizowany – spał odtąd w pięknej białej pościeli, jadł nożem i widelcem, chodził w ładnym ubraniu, był umyty i wyszczotkowany. Gdy po trzech tygodniach takiej męki uciekł z mieszkania wdowy, zrozpaczona kobieta szukała go długo wraz z mieszkańcami miasteczka. Tomek odnalazł zbiega w starych, pustych beczkach przy opuszczonej rzeźni. Początkowo Huck nie chciał słyszeć o powrocie do normalnego życia. Dopiero, gdy przyjaciel obiecał, że porozmawia z panią Douglas, aby ta dała mu więcej swobody, Huck zgodził się na dalsze życie w domu wdowy. Tomek oznajmił też Huckowi, że stworzy bandę rozbójników, a przecież do jego bandy nie może należeć byle kto. Te słowa stanowiły dla Hucka ostateczny argument.

3. JAKIE WĄTKI WYSTĘPUJĄ W POWIEŚCI?

W każdej powieści występuje zazwyczaj kilka wątków. Jeden z nich wysuwa się na pierwszy plan i nazywany jest **wątkiem głównym**, zaś pozostałe są mniej rozbudowane i określamy je mianem **wątków pobocznych**.

Wątek – to ciąg zdarzeń zgrupowanych wokół jednej lub kilku postaci.

- * **Wątek przygodowy** – wątek najważniejszy w całej powieści. Życie Tomka Sawyera polega na nieustannym przeżywaniu przygód i poznawaniu świata. Jego pragnienie przeżycia czegoś niezwykłego jest tak wielkie, że przewycięża nawet strach. Tomek ucieka na Wyspę Jacksona, zwiedza najdalsze zakątki jaskini, idzie do nawiedzonych domów, szuka skarbu, a nawet wybiera się nocą na cmentarz. Nikim i niczym się nie przejmuje, działa dalej, mimo zagrożenia ze strony przestępców i naprawdę osiąga swoje cele. Wychodzi cało z wszelkich niebezpieczeństw dzięki wrodzonemu sprytowi i odwadze, a także uporowi i sile ducha.
- * **Wątek sensacyjno-kryminalny** – dotyczy morderstwa doktora Robinsona i bezpośrednio wiąże się z przygodami Tomka i Hucka. Główną postacią tego wątku staje się niebezpieczny zbrodniarz Indianin Joe – człowiek pozbawiony wyrzutów sumienia oraz skrupułów moralnych. Zabija Robinsona, a następnie chce oszpecić wdowę Douglas. Dzięki zeznaniom Tomka zostaje rozpoznany, lecz ucieka i odtąd ukrywa się w różnych miejscach tropiony przez władze. Jak to zwykle bywa, do-

bro zwycięża i ukrywający się złoczyńca ponosi surową karę – umiera śmiercią głodową w zamkniętej żelazną sztabą jaskini. Niemalą rolę odgrywa w tym wątku skarb, który najpierw zostaje odnaleziony przez Indianina Joe w nawiedzonym domu, a następnie spoczywa ukryty przez złoczyńcę, w jaskini, skąd zabierają go Tomek z Huckiem.

- * **Wątek miłosny** – obejmuje dzieje uczucia Tomka Sawyera do Becky Thatcher. Chłopiec zauważa ją pewnego dnia bawiącą się w ogrodzie i od pierwszej chwili obdarza sympatią, mimo że wcześniej kochał Amy Lawrence. Stara się zwrócić na siebie jej uwagę, aż wreszcie dziewczynka daje mu bratek, który Tomek ukrywa pod kurtką. Od tej pory ich miłość przechodzi różne etapy – zauroczenie zmienia się w obojętność i zazdrość, a potem znów przechodzi w fazę zakochania, kiedy Tomek bierze na siebie winę za zniszczenie książki nauczyciela, którą podarła Becky. W oczach dziewczynki widzi radość i uwielbienie, co na powrót wprawia go w zachwyt. Jednak prawdziwym sprawdzianem uczuć staje się dopiero sytuacja w jaskini, gdzie chłopiec wykazuje się nie tylko opanowaniem i siłą charakteru, ale również opiekuńczością i wielką troską wobec swojej ukochanej. Wkrótce ich miłość zyskuje nawet przychylność dorosłych.
- * **Wątek Hucka Finna** – obejmuje losy biednego synka pijaka, który pozostawiony sam sobie, tuła się po miasteczku, nocując w beczkach i w szopach. Huck wyrusza wraz z Tomkiem na cmentarz, gdzie obaj spotykają Indianina Joe i gdzie również rozgrywa się scena zabójstwa. Przeważnie wątek łączy się z przygodami Tomka, poza rozdziałem, w którym obserwujemy, jak Huck ratuje wdowę przed śmiercią z rąk złoczyńcy. Z wdzięczności pani Douglas bierze go do siebie na wychowanie, lecz wkrótce chłopca mężczy cywilizowane życie.

4. CHARAKTERYSTYKA BOHATERÓW

4.1. Tomek Sawyer

- * sierota,
- * ma przyrodniego brata Sida i siostrę Mary,
- * siostrzeniec i wychowanek ciotki Polly.

Wygląd zewnętrzny

Tytułowy bohater powieści Marka Twaina jest dziesięcioletnim, szczu-



płym chłopcem o ciemnych kręconych włosach, których się bardzo wstydzi: *Loczki, według niego, były bardzo dziewczynskie i jedynie dodawały goryczy do jego życia*. Zwykle ubiera się w starą i połataną odzież. Zakłada spodnie i kurtkę, ale – za wyjątkiem niedziel – chodzi boso. Nie znosi się myć ani czesać, chociaż zmuszają go do tego ciotka Polly i Mary. Od święta i w niedziele dokonuje się nagła przemiana chłopca w czystego, porządnego i pięknie ubranego młodzieńca, najpierw bowiem Mary dokładnie myje Tomka w miednicy, a następnie każe mu się ubrać w tzw. drugie ubranie, czyli w bluzę z szerokim marynarskim kołnierzem, czyste spodnie i buty. Na głowę nakłada mu słomkowy nakrapiany kapelusik.

Zdolny leń i wagarowicz

Ten mały chłopiec jest powodem zmartwień cioci Polly. Mimo że jest zdolny i bystry (kiedy zależy mu na nauczaniu się na pamięć fragmentu *Pisma Świętego*, czyni to bardzo szybko; gdy chce wymigać się od pracy przy malowaniu płotu, udaje, że tę pracę lubi), nie lubi chodzić do szkoły i pod byle pretekstem ucieka z lekcji. Tomek chodził na wagary i świetnie się przy tym bawił – tak ocenia go narrator. Dzięki wrodzonemu sprytowi potrafi wyjść obronną ręką niemal z każdej awantury, kłamie jak z nut i wymyśla różne historie, które mają usprawiedliwić opuszczanie przez niego zajęć. Twierdzi, że był w szkole, podczas gdy pływał z kolegami w rzece. Aby uniknąć lania, sam przyszywa sobie kołnierzyk do ubrania, lecz robi to nitką w nieodpowiednim kolorze, więc sprawa szybko wychodzi na jaw. Ze względu na brak zainteresowania nauką i lenistwo ma opinię próżniaka i niezdolnego ucznia.

Wesoły, bezmyślny, beztroski

Bohater wciąż ma nowe kłopoty, a jego pogoń za przygodą wywołuje rozpacz ciotki. Na kilka dni znika wraz z kolegami na Wyspie Jacksona, podczas gdy rodzina i mieszkańcy miasteczka sądzą, że utopił się w rzece. Nie zastanawia się nad konsenkwencjami takiej wyprawy, a przecież mogli zginąć chociażby podczas burzy, kiedy w jawor, pod którym spali chłopcy, uderzył piorun. Często nie myśli o skutkach swoich czynów. Podczas pikniku bez wahania bada najdalsze korytarze jaskini i odłącza się od grupy. Nocą idzie z Huckiem do nawiedzzonego domu, chociaż wie, że może w nim przebywać poszukiwany przestępca. Chęć przeżywania przygód powoduje, że zapomina o tym, aby być ostrożnym.

Tomek jest też wesołym trzpiotem, czego dowodem jest chociażby żart

zrobiony nauczycielowi. Chłopcy spuszcza ją na sznurku kota, który chwytają w łapy perukę pana Dobbinsa. Zza peruki wyłania się pomalowana na złoty kolor lysina.

Rozrabiaka, nicpoń, impulsywny, wdaje się w bójki

Tomek przeważnie sam wszczynają awantury, tak dzieje się np. wówczas, gdy spotyka nieznanego i elegancko ubranego chłopca. Najpierw długo wymyśla mu, przechwala się przed nim, a następnie, gdy tamten nie pozostaje mu dłużny, rusza do ataku. Przestaje bić dopiero wtedy, gdy pokonany go o to poprosi. Oczywiście, czasem kłótnia między malcami jest nieunikniona i to wcale nie z jego winy. Gdy jego przyrodni braciszek, Sid, oznajmia ciotce Polly, że Tomek przyszył sobie kołnierzyk czarną nitką, ten postanawia, że zbije zdrajcę i jakiś czas później rzeczywiście realizuje swój zamiar.

Kocha szczerze ciotkę, nienawidzi Sida

Tomek nie znosi Sida, który jest przykładem złośliwego i okropnego brata. Sid, kiedy tylko może, stara się zaszkodzić Tomkowi i przedstawić go w złym świetle. Śledzi przyjścia i wyjścia chłopca wieczorami, udając, że śpi. Wykorzystuje sytuację na jego niekorzyść, jak dzieje się to w scenie z bicia cukiernicy lub przyszywania kołnierzyka czarną nitką. Dokuczają malcowi na każdym kroku, najwyraźniej jest zły, że ciotka musi teraz dzielić swoje uczucia na połowę. Ciotka Polly ma bowiem do sieroty wyjątkową słabość. Bardzo go kocha i mimo że powinna trzymać urwisa krótko, jest wobec niego wspaniałomyślna. Wybacza mu wszelkie psikusy, cieszy się z każdego dobrego słowa, które mówi jej Tomek, jego kłamstwa traktuje jak niewinne przewinienia. Można się domyślać, że ciotka nie ma pojęcia o wychowaniu dzieci – czyta pisma z poradami dla gospodyń domowych i zapewne na nich się wzoruje, co często prowadzi do opłakanych skutków (nowe lekarstwo ciotki działa negatywnie na kota, co przekonuje ją, że nie wszystkie mądre rady z czasopism należy natychmiast wprowadzać w życie). Tomek darzy ciotkę wielkim uczuciem, mimo że nie potrafi tego okazać, a to, co robi, może świadczyć o czymś zupełnie odwrotnym. Kiedy przyptywając wieczorem z Wyspy Jacksona, widzi, jak Polly rozpacza, pisze na kawałku kory, że są cali i zdrowi. Co prawda, korę wkłada jednak do kieszeni, żeby nie zepsuć dowcipu, ale całuje śpiącą ciotkę serdecznie.

Pragnie przygód, sławy, pieniędzy

Tomek chce za wszelką cenę przeżywać wciąż nowe przygody, a także być

sławny i bogaty. Pragnie, aby jego nazwisko coś znaczyło, a on sam był posiadaczem wielkiego skarbu, co w końcu staje się faktem. Chłopiec ma przy tym bujną wyobraźnię i marzy o tym, żeby zostać Indianinem, piratem czy żołnierzem. Aby wciąż pozostawać w centrum zainteresowania, organizuje dzieciom nowe zabawy i wpada na różne szalone pomysły, jak np. wyprawa na Wyspę Jacksona czy poszukiwanie skarbów.

Wrażliwy, dobry, szlachetny przyjaciel

O wrażliwości Tomka świadczy jego zachowanie w kościele, w momencie widowiskowego powrotu z wyspy. Chłopiec, wycelowany przez ciotkę Polly, mówi jej, że Huck czuje się samotny i jest mu smutno. Prawdopodobnie ojciec Finna nawet nie zauważył jego zniknięcia! Tomek potrafi dostrzec poczucie samotności i wstydu Hucka i pomaga przyjacielowi, gdy tylko może. Przyjaźń jest dla niego niezwykle ważną wartością. Pielęgnuje ją, w stosunku do bliskich pozostaje oddany, wierny. Służy im pomocą w trudnych sytuacjach. Umie wyrzec się czegoś i dać to drugiemu człowiekowi.

Szlachetność Tomka wobec przyjaciół zauważyć można w różnych sytuacjach. Pewnego dnia, na przykład, bierze on na siebie winę Becky (za rozdartą książkę pana Dobbinsa), za co dostaje od nauczyciela porządne lanie. Dzieli się z Huckiem złotem zabranym z kryjówki Indianina Joe, dzięki czemu kolega nie musi już troszczyć się o byt w przyszłości.

Zabobonny, przesądny, naiwny

Tomek wierzy w zabobony i przesady, na przykład te, które dotyczą sposobów na kurzajki: *Przekrawasz fasolę, potem przecinasz kurzajkę, wyciskasz trochę krwi na połówkę fasoli i zakopujesz to wszystko o północy, w bezksiężycową noc, na rozstaju dróg, a resztę fasoli spalasz. No i ten kawałek fasoli z krwią ciągnie, i ciągnie i próbuje przyciągnąć do siebie ten drugi kawałek, i tak ta krew wyciąga całą kurzajkę, i ona potem szybko znika.*

Moc odpowiednich zaklęć i rytualnych czynności jest dla niego częścią prawdziwego świata. Sądzi, że babcia Hopkins była czarownicą, że diabeł ma rogi i chodzi nocami po cmentarzu, a zaklęcia można odczarować za pomocą zdechłego kota. Wybierając się z Huckiem do nawiedzzonego domu, święcie wierzy, że mieszkają w nim duchy i diabły.

Odważny, dzielny, wytrwały

Przygody, w które wplątuje się Tomek, narażają go czasem na wielkie niebezpieczeństwo. Aby przetrwać, musi wykazać się siłą charakteru, odwagą

i bohaterstwem. Szczególnie niebezpieczna okazuje się wyprawa do jaskini. Kiedy dzieci gubią się w płataninie nieznanych korytarzy, Tomek wykazuje się odwagą i uporem.

Chłopiec nie traci zimnej krwi i stara się nie pokazywać po sobie lęku. Pragnie ocalić siebie, ale przede wszystkim swoją przyjaciółkę. Pociesza płaczącą Becky, przytula ją i obiecuje dziewczynce, że znajdzie wyjście. Szuka drogi powrotnej, rozwija linkę od latawca, aby nie zgubić znanej sobie trasy do źródła. Dzięki jego odważnej postawie oboje docierają wreszcie do wylotu grotu.

4.2. Huckleberry Finn

- * przyjaciel Tomka Sawyera,
- * syn ubożego pijaka z miasteczka St. Petersburg,
- * bezdomny włóczęga,
- * półsierota (nie ma matki).

Huckleberry był powszechnie nienawidzony i budził strach we wszystkich matkach w miasteczku, gdyż był leniem, awanturnikiem i złym, wulgarnym chłopcem, a także dlatego, że był obiektem podziwu wszystkich dzieci, które przepadały za jego zakazanym towarzystwem i chciały być takie, jak on.

Wygląd zewnętrzny

Huck nie troszczy się zupełnie o swój ubiór z braku środków materialnych (ojciec nie interesuje się synem, więc dziecko pozostawione jest samo sobie), ale także z wrodzonego zamiłowania do swobody i wolności. Dlatego też jego strój wygląda wyjątkowo nieładnie, jest stary i brudny. Poszczególne rzeczy chłopak znajduje na śmietnikach albo też dostaje w darze od przeróżnych osób, najczęściej pochodzących z marginesu społecznego: *Huckleberry ubierał się zawsze w znoszone łachy dorosłych facetów, które aż kwitły od brudu, były całe postrzępione i poprzecierane. Kapelusz był w stanie oplakany, z wielką dziurą w rondzie; płaszcz, gdy go miał na sobie, zwisał mu prawie do pięt, a guziki z tyłu znajdowały się nisko na plecach; spodnie, podtrzymywane jedną szelką, zwisały mu luźno i nisko na siedzeniu, a postrzępione, niepodwinięte nogawki szorowały po ziemi.*

Włóczęga, wiezie życie ulicznika

Huckleberry chodził własnymi drogami. W ciepłe noce spał pod drzwiami różnych domów, a gdy padało, znajdował sobie puste beczki. Nie chodził ani do szkoły, ani do kościoła. Nie słuchał nikogo i nikt mu nie rozkazywał. Mógł sobie chodzić na ryby albo popływać, kiedy tylko i gdzie tylko chciał i mógł tam

zostać, jak długo tylko chciał. Nikt nie zabraniał mu się bić i nie mówił mu, kiedy ma iść spać. Wiosną, zawsze, jako pierwszy, chodził bez butów, a jesienią, jako ostatni je zakładał. Nie musiał się myć ani zakładać czystych ciuchów. Potrafił niesamowicie kłąć.

Koledzy z miasteczka uwielbiają Hucka za jego samodzielność i zaradność, za umiłowanie swobody, a także za zwyczaje palenia i przeklinania, co wydaje się im szalenie modne i dorosłe. Co ciekawe, chłopak tak bardzo polubił swoją wolność i samodzielność, że potem trudno mu było dostosować się do cywilizowanych warunków życia u wdowy Douglas. W rozmowie z Tomkiem żali się: *To nie dla mnie, nie umiem tak. Wdowa jest dla mnie dobra i miła, ale nie mogę znieść tego ich życia. Wstawać mi każde codziennie o tej samej porze, myć się, czesać mnie tam ciągle, ona nie pozwala mi spać w szopie i muszę nosić te durne ciuchy, co mnie duszą. Żadne powietrze się przez nie nie przedostaje i są tak paskudnie ładniutkie, że nie mogę ani usiąść, ani się położyć, ani nigdzie się wytarzać... Na drzwiach od piwnicy nie zjeżdżałem już chyba od wieków! Chodzę do kościoła i tylko się tam pocę. Nie cierpię tych ich kazań! Muchy złapać nie można, pozuć sobie nie można. Całą niedzielę w butach muszę tazić! Wdowa je na komendę, spać chodzi na komendę, wstaje na komendę – wszystko takie obrzydliwie uporządkowane, że już nie mogę tego znieść...*

Szlachetny i dobry, wierny i lojalny w przyjaźni

Kiedy Huck dowiaduje się, że Indianin Joe chce napaść na dom wdowy Douglas, a ją samą oszpecić i zabić, postanawia nie dopuścić do tego czynu. Zawiadamia starego Walijczyka o planowanej zbrodni, a ten udaremnia przestępstwo.

Jako przyjaciel Tomka, nigdy nie zawiódł swojego kolegi, jest mu wierny i oddany. Postawa przyjaciela imponuje mu, więc słucha jego rad, na przykład w sprawie mieszkania u pani Douglas. Początkowo Huck ucieka z domu wdowy, jednak Tomek przekonuje go, że warto spróbować nauczyć się żyć w cywilizowany sposób.

4.3. Ciocia Polly

- * krewna i opiekunka Tomka Sawyera,
- * mieszkanka St. Petersburga.

Nieodłącznym elementem starszej i sympatycznej pani są okulary, o których tak pisze narrator: *Te okulary to jej (...) największa duma. Były bardzo „stylowe” i niekoniecznie miały być funkcjonalne.*

Ciotka Polly, po śmierci siostry, zaopiekowała się Tomkiem i jego przyrodnym bratem, Sidem. Kocha obu malców i pragnie dobrze wypełniać swe obowiązki wychowawcze, lecz Tomek, swoim niestosownym zachowaniem, przysparza jej wielu zmartwień. Polly nie daje sobie rady z żywiołowym temperamentem chłopca i jego przebiegłym usposobieniem, jest zbyt dobroduszna i wrażliwa, a on wykorzystuje jej bezradność: *Przecież ona nigdy nie bije. No, jeśli już, to najwyżej stuknie w głowę tym swoim naparstkiem, no i co z tego? Tylko tak gada i tyle. Gadanie nie boli. Chyba, że się rozpłacze.*

Ona sama mówi o relacji z Tomkiem następująco: *Diabeł mu za skórą siedzi, ale Boże, wybacz mi! To biedactwo to przecież syn mojej zmarłej siostry i nie mam serca go sprać. Gdy mu daruję, zawsze gryzie mnie sumienie, a znowuż, kiedy obrywa, pęka mi serce.*

Polly jest osobą starej daty – dobroduszną, prostolinijną i wierzącą bezkrytycznie we wszystko, co przeczyta. Ślepo ufa „mądrym” radom zawartym w gazetach i jest gotowa przeprowadzać – nawet na Tomku – swoiste lekarskie eksperymenty. Kiedy chłopiec robi się markotny po zerwaniu z Becky, Polly sądzi, że zachorował i robi mu na przemian zimne i gorące kąpiele, a na koniec daje nowy, rzekomo cudowny lek. Na szczęście dziecko „leczy” tym lekiem dziurę w podłodze, a sama Polly wstydzi się swego postępowania na widok szalejącego kota Petera, którego Tomek „częstuje” tym lekarstwem.

Tym, co drażni chłopca najbardziej w zachowaniu ciotki, jest jej przesadna dewocyjna pobożność. Wciąż wspomina dzieciom o Bogu, nieustannie się modli, każe malcom czytać *Biblię*, uczyć się na pamięć fragmentów *Pisma Świętego* i chodzić na nabożeństwa oraz do szkoły niedzielnej. Niewątpliwie uważa ona, że religijną postawę i wiedzę chrześcijańską należy wpaść dzieciom od początku i jest osobą głęboko wierzącą.

4.4. Becky Thatcher

- * córka sędziego pokoju, Jeffa Thatchera,
- * ukochana Tomka Sawyera.

Becky przyjeżdża do St. Petersburga na kilka tygodni przed zakończeniem roku szkolnego. Jest dobrze wychowaną i doskonale ułożoną panienką należącą do tzw. wyższych sfer. Jej ojciec to wybitna osobistość w miasteczku, więc ona sama zawsze dba o to, by pokazać się innym ludziom z jak najlepszej strony. W szkole uczy się bardzo dobrze, jest zdolna, pojętna i grzeczna.



Zanim, powodowana ciekawością, nie wyjęła książki pana Dobbinsa z szuflady jego biurka, nigdy nie została za nic ukarana i nie było z nią żadnych problemów wychowawczych. Dlatego okazuje wielką wdzięczność Tomkowi, gdy ten bierze na siebie jej winę.

Kiedy Tomek spotyka Becky po raz pierwszy, przechodząc w pobliżu domu sędziego, od razu ogarnia go żarliwe uwielbienie dla dziewczynki. Wydaje mu się ona niezmierną piękną: *Cudne, niebieskie oczy, złote włosy splecione w dwa długie warkocze, biała, letnia sukieneczka i haftowane pantalone*. Od pierwszej chwili próbuje zdobyć sobie jej przychyłność i spowodować, by spojrzała w jego stronę. Popisuje się przed nią tak długo, aż w końcu Becky rzuca mu bratek, który on chowa pod sercem. Dzieje gorącej miłości tej pary śledzimy przez całą powieść. Wiemy, że Becky zgadza się zostać narzeczoną Tomka, ale jej duma nie pozwala na bycie nią zaraz po Amy Lawrence. Dowiedziawszy się, że ukochany ofiarował wcześniej swoje serce innej, odchodzi zrozpaczona. Odtrąca go, mimo wielu zabiegów i prób z jego strony, aby znów go zaakceptowała. Wykazuje się przy tym wielkim sprytem, umiejętnie podsycając zazdrość Tomka, kiedy paraduje przed nim z Alfredem. Poniżej obojętnego jej chłopca, aby zemścić się na Sawyerze, co nie świadczy o niej dobrze.

Becky nie wykazuje się ani odwagą, ani siłą charakteru. W trudnych chwilach pozostaje raczej bierna i bezradna, szybko ogarnia ją pesymizm. Podczas szukania wyjścia z jaskini ciągle płacze, szukając wsparcia i pociechy u chłopca. Sama nie wykazuje inicjatywy. Wciąż mówi o śmierci, a swoimi słowami wzbudza poczucie winy u Tomka.



V. WYPRACOWANIA

Temat: *Przygody Tomka Sawyera* – moja ocena powieści.

1. Wstęp

A. W tej części powinieneś przedstawić książkę (wymienić imię i nazwisko autora, tytuł, określić problematykę powieści), np.:

Powieść Marka Twaina pt. „Przygody Tomka Sawyera” na pewno spodoba się chłopcom – miłośnikom przygód i poszukiwaczom skarbów. Dlaczego? Autor w sposób żywy i barwny przedstawia wspaniałe przygody jedenastoletniego Tomka, mieszkańca XIX-wiecznego St. Petersburga, patrząc na nie właśnie

oczami małego chłopca, urwisa i rozrabiaki. Malec marzy o byciu Indianinem, piratem i żołnierzem, wagaruje i ucieka z domu na Wyspę Jacksona, zdobywa złoty skarb i wędruje po jaskiniach... Przy okazji wpada w poważne tarapaty i wielokrotnie naraża się na niebezpieczeństwo.

B. Wyrażenie swojej opinii o książce, np.:

Myszę, że wartka akcja tej książki i interesująca fabuła są szczególnie atrakcyjne dla chłopców, ale nie tylko. Mnie podoba się przede wszystkim sposób prezentacji uczuć przyjaźni i miłości. Sądzę, że każdy z nas powinien wziąć przykład z Tomka, który był wspaniałym przyjacielem dla Hucka i Becky.

2. Rozwinięcie pracy

W tej części możesz opisać dokładniej te elementy dzieła, które Ci się szczególnie podobają, np. sytuacje z życia Tomka i Hucka, wypisać cechy charakteru postaci, w zależności od rodzaju Twojej opinii, np.:

Podziwiam szlachetne zachowanie Tomka, który podzielił się połową złota z Huckiem Finnem, dzięki czemu chłopiec stał się bogaty. Przyjaźń w tym przypadku polegała na bezinteresownym dawaniu szczęścia, a widać ją najwyraźniej w sytuacji...

3. Zakończenie

W tej części podsumowujesz swoją pracę, np.:

Podsumowując, powieść M. Twaina czyta się jednym tchem, gdyż ukazuje chłopca przeżywającego niesamowite przygody w małym amerykańskim miasteczku, które z pozoru wydawałoby się nudne...

Sądzę, że książka M. Twaina ma wiele zalet – pasjonującą akcję pełną niesamowitych i zaskakujących przygód, wspaniałych bohaterów, a przede wszystkim wzruszający wątek miłosny, który mnie zachwycił...

Temat: Opowiedz o jednej z wielu pasjonujących przygód Tomka Sawyera.

Jeśli nie wiesz, jak to zrobić, możesz sporządzić plan ramowy lub szczegółowy danej przygody. Następnie opisz wydarzenie chronologicznie według planu. Możesz wprowadzić również dialog.

Przykład planu szczegółowego opowieści pt. *Zabawa w piratów*.

1. Zawarcie pirackiego paktu przez Tomka, Hucka i Joego.
2. Spotkanie trójki chłopców na skarpie.

3. Porwanie tratwy.
4. Przyplłynięcie do Wyspy Jacksona.
5. Rozpalenie ogniska.
6. Kolacja i sen.
7. Poranna pobudka i łowienie ryb.
8. Śniadanie.
9. Zwiedzanie nieznanego lądu.
10. Tęsknota za domem.
11. Wycieczka Tomka do domu cioci Polly.
12. Powrót do kolegów.
13. Poszukiwania żółwich jaj.
14. Rozmowa na temat powrotu.
15. Pomysł Tomka.
16. Burza na wyspie.
17. Zabawa w Indian.
18. Przeprawa na drugi brzeg.
19. Nocleg w lesie.
20. Wejście na kościelny chór.
21. Ujawnienie się zgromadzonym podczas nabożeństwa żałobnego.



VI. NAJWAŻNIEJSZE CYTATY

Jak to mówią: starego psa nowych sztuczek nie nauczysz. (s. 6)

Tomek pomyślał sobie, że świat właściwie nie jest aż tak beznadziejny. Jednocześnie mimowolnie odkrył wielce istotną prawdę o człowieczej naturze; mianowicie, aby wzbudzić w człowieku nieodparte pragnienie czegoś, wystarczy sprawić, by to, czego pragnie, stało się praktycznie nieosiągalne. Gdyby Tomek był tak wyśmienitym filozofem, jak autor niniejszej książki, zrozumiałby już, że PRACA to coś, co musimy robić, a ZABAWA to coś, do czego nikt nas nie namawia. (s. 14)



VII. SPIS KOMENTARZY DO TEKSTU

Tomek Sawyer:

- * nakrycie Tomka w szpiżarni – s. 5;
- * urwis, nicpoń, leń, wagarowicz, kłamczuch – s. 7;

- * potrafi gwizdać – s. 8;
- * bójka Tomka z nowym przybyszem – s. 10;
- * często wdaje się w bójki – s. 10;
- * malowanie płotu – s. 11;
- * podstęp z malowaniem płotu – s. 12;
- * pierwsze spotkanie Tomka z Becky Thatcher – s. 16;
- * stłuczenie cukiernicy przez Sida – s. 17;
- * uważa się nad sobą – s. 18;
- * nauka fragmentu *Pisma Świętego* – s. 19;
- * dostaje od Mary scyzoryk – s. 20;
- * odświętny wygląd Tomka – s. 21;
- * odkupywanie od kolegów kartek – nagród za znajomość *Biblii* – s. 22;
- * charakterystyka dyrektora szkoły niedzielnej – s. 23;
- * wręczenie Tomkowi *Biblii* jako nagrody – s. 25;
- * zazdrość Amy Lawrence o nową dziewczynkę – s. 26;
- * niedzielne nabożeństwo – s. 27;
- * wypuszczenie chrząszcza – s. 29;
- * dyskusja z Huckiem o sposobie leczenia kurzajek – s. 34;
- * ofiarowanie brzoskwini ukochanej – s. 38;
- * wyznaje Becky miłość – s. 39;
- * kłótnia z Becky – s. 43;
- * przeżycia po rozstaniu z Becky – s. 44;
- * marzenia o przyszłości – zostaniu żołnierzem, Indianinem lub piratem – s. 44;
- * zabawa w Robin Hooda – s. 46;
- * wyprawa z Huckiem na cmentarz – s. 48;
- * zbrodnia na cmentarzu – s. 51;
- * przysięga między Huckiem a Tomkiem spisana krwią – s. 53;
- * upojenie kota lekarstwem – s. 62;
- * awantura z cicią – s. 62;
- * wyprawa Tomka do domu – s. 74;
- * nauka palenia fajki – s. 80;
- * burza na wyspie – s. 82;
- * nabożeństwo żałobne – s. 85;
- * wejście zaginionych do kościoła – s. 86;

- * opowieść o wymyślonym śnie – s. 88;
- * zemsta Alfreda – chłopiec wylewa atrament – s. 93;
- * próba pogodzenia się z Becky – s. 95;
- * aby wybawić Becky, przyznaje się do zniszczenia książki pana Dobbinsa – s. 98;
- * zemsta na panu Dobbinsie – s. 103;
- * wstępuje do zgromadzenia „Braci Wstrzemięźliwości” – s. 104;
- * choroba – s. 105;
- * zeznaje podczas rozprawy Muffa Pottera – s. 109;
- * wyprawa na poszukiwanie skarbów – s. 112;
- * nawiedzony dom – s. 118;
- * spotkanie Indianina Joe – ss. 119, 126;
- * piknik – s. 128;
- * wędrówka Tomka i Becky po jaskini – s. 139;
- * błąkanie się dzieci po jaskini – s. 140;
- * odnalezienie Tomka i Becky – s. 146;
- * śmierć głodowa Indianina Joe – s. 148;
- * wyprawa po złoto – s. 150;
- * odnalezienie skarbu – s. 153.

Ciocia Polly:

- * nosi okulary – s. 5;
- * naiwna, uważa siebie za sprytną; opiekuńcza – s. 6;
- * naiwna, wierzy w porady z kolorowych pism – s. 60;
- * awantura z Tomkiem – s. 62;
- * rozpacz ciotki przekonanej o stracie Tomka – s. 75;
- * tęsknota za Tomkiem – s. 76;
- * wzruszenie wywołane odnalezieniem kory z notatką Tomka – s. 95.

Huckleberry Finn:

- * charakterystyka – s. 33;
- * dyskusja z Tomkiem o sposobie leczenia kurzajek – s. 34;
- * wyprawa na cmentarz – s. 48;
- * przysięga między Huckiem a Tomkiem spisana krwią – s. 53;
- * wdzięczność wdowy Douglas za uratowanie życia – s. 136;

- * choroba – s. 138;
- * trafia pod opiekę wdowy Douglas – s. 158.

Becky Thatcher:

- * pierwsze spotkanie z Tomkiem – s. 16;
- * wyznaje Tomkowi miłość – s. 42;
- * kłótnia z Tomkiem – s. 43;
- * tęskni za Tomkiem – s. 84;
- * zazdrona o Amy Lawrence – s. 91;
- * poniża Alfreda – s. 92;
- * wyjmuje książkę z biurka pana Dobbinsa i rozdiera kartkę – s. 96;
- * piknik – s. 128;
- * wędrowka Tomka i Becky po jaskini – s. 139;
- * błaganie się dzieci po jaskini – s. 140;
- * rozpacz w jaskini – s. 141;
- * odnalezienie Tomka i Becky – s. 146.

OBJAŚNIENIA KOMENTARZY DO TEKSTU



Najważniejsze
momenty akcji



Opisy przyrody



Charakterystyka postaci



Miejsce akcji

OBJAŚNIENIA KOMENTARZY DO OPRACOWANIA



Biografia autora



Wypracowania



Kalendarium życia
i twórczości autora



Najważniejsze cytaty



Rodzaj i gatunek literacki



Spis komentarzy do tekstu



Omówienie lektury



Ważne fragmenty

Spis treści:

PRZYGODY TOMKA SAWYERA.	3
Wstęp	3
Rozdział I.	5
Rozdział II	11
Rozdział III.	15
Rozdział IV.	19
Rozdział V	27
Rozdział VI.	31
Rozdział VII	39
Rozdział VIII.	44
Rozdział IX.	47
Rozdział X	52
Rozdział XI.	57
Rozdział XII	60
Rozdział XIII.	64
Rozdział XIV.	70
Rozdział XV	74
Rozdział XVI.	77
Rozdział XVII	84
Rozdział XVIII.	87
Rozdział XIX.	93
Rozdział XX	95
Rozdział XXI.	99
Rozdział XXII	103
Rozdział XXIII.	106
Rozdział XXIV	111
Rozdział XXV	112
Rozdział XXVI.	117
Rozdział XXVII.	123
Rozdział XXVIII.	125
Rozdział XXIX	127
Rozdział XXX.	132

Rozdział XXXI	139
Rozdział XXXII.	145
Rozdział XXXIII	148
Rozdział XXXIV	155
Rozdział XXXV.	157
Zakończenie	161
OPRACOWANIE	163
I. BIOGRAFIA MARKA TWAINA	163
II. KALENDARIUM ŻYCIA I TWÓRCZOŚCI MARKA TWAINA.	165
III. RODZAJ I GATUNEK LITERACKI	166
1. Rodzaj literacki	166
2. Gatunek literacki	166
IV. OMÓWIENIE LEKTURY	167
1. Czas i miejsce akcji	167
2. Treść utworu	167
Rozdział I	167
Rozdział II	168
Rozdział III	168
Rozdział IV	169
Rozdział V	169
Rozdział VI	170
Rozdział VII.	170
Rozdział VIII	171
Rozdział IX	171
Rozdział X	172
Rozdział XI	172
Rozdział XII.	173
Rozdział XIII	173
Rozdział XIV	174
Rozdział XV.	174
Rozdział XVI	175
Rozdział XVII.	175
Rozdział XVIII	176
Rozdział XIX	177
Rozdział XX.	177

Rozdział XXI	178
Rozdział XXII	179
Rozdział XXIII	179
Rozdział XXIV	179
Rozdział XXV	180
Rozdział XXVI	180
Rozdział XXVII	181
Rozdział XXVIII	181
Rozdział XXIX	181
Rozdział XXX	182
Rozdział XXXI	183
Rozdział XXXII	184
Rozdział XXXIII	184
Rozdział XXXIV	185
Rozdział XXXV	185
3. Jakie wątki występują w powieści?	186
4. Charakterystyka bohaterów.	187
4.1. Tomek Sawyer	187
4.2. Huckleberry Finn.	191
4.3. Ciocia Polly.	192
4.4. Becky Thatcher.	193
V. WYPRACOWANIA.	194
VI. NAJWAŻNIEJSZE CYTATY	196
VII. SPIS KOMENTARZY DO TEKSTU.	196
OBJAŚNIENIA KOMENTARZY.	200

